

UJAWNIAMY

A jednak był TROTYL

Brytyjskie laboratorium potwierdza
obecność środków wybuchowych
na szczątkach
Tu-154M

Co z tego wynika?
Co dalej?

Piszą Marek Pyza i Marcin Wikło

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694



Najlepsze filmy, seriale i sport. Na start
3 MIESIĄCE
BEZ OPŁAT!

HBO HD
HBO GO

GRA O TRON™



O co walczy prezes ZNP

25 marca poznamy rozstrzygnięcie referendum strajkowego zorganizowanego przez ZNP. Strajk z pewnością się odbędzie, bo nauczyciele są zdeterminowani, by otrzymać podwyżki. I nikt zresztą nie twierdzi, że nie powinni godnie zarabiać. Uważam jednak, że zupełnie haniebne jest posługiwanie się dziećmi jako zakładnikami w tym sporze.

„Mamy w ręku potężny oręż, jakim jest promocja uczniów, jeśli go wykorzystamy, to edukacji grozi kompletny kataklizm” – oświadczył prezes Związku Nauczycielstwa Polskiego Sławomir Broniarz, rozpętując burzę. Szefowa MEN skwitowała te słowa stwierdzeniem, że doszło do przekroczenia granicy nieprzekraczalnej. I trudno się z taką oceną nie zgodzić. I choć szef ZNP za te słowa przeprosił, nie można oprzeć się wrażeniu, że kataklizm to jest właśnie to, co prezes Broniarz chce wywołać. Bo jak inaczej można wytłumaczyć groźbę strajku podczas kolejnych egzaminów przetwarzających się przez szkoły? Termin strajku może się zbiec bowiem z zaplanowanymi na kwiecień egzaminami zewnętrznymi: 10, 11 i 12 kwietnia ma się odbyć egzamin gimnazjalny, a 15, 16 i 17 kwietnia – egzamin ósmoklasistów. Matury mają się rozpocząć 6 maja.

Zdążyliśmy się już jednak przyzwyczaić, że od trzech lat co rusz kolejne grupy społeczne chcą wywołać kataklizm lub

przynajmniej wrażenie, że on właśnie nadciąga. Zupełnie jednak niedopuszczalne jest posługiwanie się w tych działaniach dziećmi, także tymi niepełnosprawnymi, bo do strajku mają przystąpić szkoły specjalne. Prezes Broniarz, przystawiając władzy pistolet do skroni, drugą ręką obejmuje około miliona uczniów. Jednak zakładnikami prezesa ZNP stają się także nauczyciele, którym ta forma strajku nie odpowiada, oraz rodzice, którzy wraz z dziećmi będą musieli ponieść konsekwencje odwołanych egzaminów.

Może warto się zastanowić, skąd ta nadzwyczajna aktywizacja szefa ZNP, który na czele związku stoi już od ponad dwóch dekad. Jedną z odpowiedzi jest oczywiście czas przedwyborczy. Wówczas łatwiej politykom wyrwać pieniądze. Strajkiem można także wpłynąć na wyborcze rozstrzygnięcie. Jednak z jeszcze inną odpowiedzią spieszą internauci. Otóż okazuje się, że w 2019 r. kończy się pięcioletnia kadencja prezesa ZNP. Bardzo prawdopodobny jest więc scenariusz, że szef ZNP, walcząc o podwyżki dla nauczycieli (które przecież faktycznie są realizowane), walczy nie tyle o podwyżkę, ile o niezłą (każdy nauczyciel mógłby pozazdrościć) pensję dla siebie. Na kolejną pięcioletnią kadencję.

Dorota Losiewicz





42

**Sodoma
w Watykanie?**
Grzegorz Górny



32

**z Ryszardem Legutką
rozmawia**
Jacek Karnowski



68

**Ponadnarodowa
abstrakcja
czy supermocarstwo**
Aleksandra Rybińska

NA POZĄTEK

- 6 SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 ELGIEBETYWA**
Krzysztof Feusette
- 12 ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejcki
- 14 SZŁOCH I ZGRZYTANIE ZĘBÓW**
Jan Pietrzak
- 15 ŻYDOKOMUNA**
Bronisław Wildstein
- 16 OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 17 POLSKIE OKNO NA ŚWIAT**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 18 ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz
- 19 PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort
- 20 FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

- 22 ANGLICY ZNALEŻLI TROTYL**
Marek Pyza, Marcin Wikło

KRAJ

- 28 KOALICJA GŁUPICH KROKÓW**
Stanisław Janecki
- 32 Z RYSZARDEM LEGUTKĄ**
rozmawia Jacek Karnowski
- 38 Z KS. DR. MARKIEM DZIEWIECKIM**
rozmawia Rafał Porzeziński
- 42 SODOMA W WATYKANIE?**
Grzegorz Górny
- 44 POWRÓT DLA RODZINY**
rozmowa Jaromira Kwiatkowskiego
- 46 CO TU ZAWINIŁO?**
Konrad Kołodziejcki

SIECI KULTURY

- 49 JAK W OKRUTNEJ BAJCE**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 51 ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba
- 52 Z APOSTOLIEM**
rozmawia Jaromir Kwiatkowski
- 54 CZYTANIE JAKO SPORT
EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

- 56 POLECA**
Łukasz Adamski

OPINIE

- 60 ATAKUJĄC POLSKĘ, ATAKUJĄ WĘGRY**
przemówienia premierów Polski i Węgier
- 64 DESTRUKCJA JĘZYKA**
Bronisław Wildstein

ŚWIAT

- 68 PONADNARODOWA ABSTRAKCJA
CZY SUPERMOCARSTWO**
Aleksandra Rybińska
- 71 GDZIE JEST MERKEL?**
Jan Rokita
- 74 WIELKIE ZASĘPIENIE**
Łukasz Adamski

GOSPODARKA

- 76 Z MARKIEM NIECHCIAŁEM**
rozmawia Edyta Hołdyńska

KUCHNIA

- 86 MOJE SMAKI: PRZEMYSŁAW BABIARZ**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 87 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

- 88 HAGADA, CZYLI NARRACJA**
Wojciech Reszczyński
- 90 FELIETONY**
Witold Gadowski, Lech Makowiecki
- 92 CHCESZ WIĘCEJ, DAJ WIĘCEJ**
Aleksander Nalaskowski
- 93 WŁADCY MUCH**
Wiktor Świetlik
- 94 MĄDRY POLAK PO SZKODZIE**
Jan Pospieszalski
- 95 FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska
- 96 DRINK BEZRADNOŚĆ**
Ryszard Makowski
- 97 KSIĘDZA BAKI TEATR GROZY...**
Leszek Długosz
- 98 SPRZECIW SOCJOLOGICZNY**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie



**Ruszając w drogę z AC z opcją
Auto Non Stop w PZU** masz
komfort, jaki daje sprawna pomoc
i auto zastępcze na cały okres
naprawy.

Teraz nowość! Zarejestruj się na portalu moje.pzu.pl i korzystaj z obsługi online.

Umów się z agentem 801 102 102 pzu.pl

Opłata zgodna z taryfą operatora

Informacje o zakresie ubezpieczenia i ograniczeniach odpowiedzialności PZU SA są zawarte w ogólnych warunkach ubezpieczenia PZU Auto dostępnych w Oddziałach PZU i na stronie pzu.pl



Sygnalista nadaje

 Po niecałych ośmiu dniach rada nadzorcza TVP zawiesiła Piotra Pałkę w czynnościach członka zarządu spółki. Powodów decyzji nie podano, ale to, że po awansie dziennikarz nie wycofał sprawy przeciwko TVP (chodziło o zwolnienie kilka miesięcy temu), z pewnością mu nie pomogło. Nie wchodząc w szczegóły, warto odnotować, że w roku wyborczym wracają stare, dobrze znane tradycje rozhuśtywania kluczowych instytucji, które tyle już razy doprowadziły prawicę do klęski.

 Pałka miał reprezentować w zarządzie przede wszystkim Pawła Kukiza, a trochę również premiera Morawieckiego. Prezydenta reprezentuje Marzena Paczuska, której wskazanie było wyraźnym despektem ze strony głowy państwa pod adresem prezesa Kurskiego – bo Kurski wcześniej Paczkę zwolnił. Ponoć prezydent Duda największe pretensje do Kurskiego miał o szpękę noworoczną, w której obsadzono go w roli Adriana. To paradoks, bo Kurski robił dużo, by szpękę, przygotowaną przez Wolskiego i Rachonia, albo złagodzić, albo zablokować. Za dużo nie mógł, bo byłaby przecież awantura na pół kraju, że cenzura wróciła.

 O cenzurę oskarżone zostało także Polskie Radio 24, które zwolniło Marcina Dobskiego. Schemat był ten sam, co zawsze: rozpoczęcie pracy, zniknięcie, dziwny numer, zwolnienie, publiczna awantura, rola ofiary, dyskretne milczenie dobrze poinformowanych. Ciekawe, kto będzie następną ofiarą? Wybór już niewielki, ale to na pewno nie koniec tej pasjonującej historii.

 Mimo wpłacenia kaucji właściciel grupy medialnej PMPG Michał

Lisiecki nie wyszedł od razu z aresztu, do którego trafił w związku z podejrzeniem udziału w zorganizowanej grupie przestępczej, wyprowadzającej majątek z firmy zajmującej się remontami linii kolejowych. Nie wyszedł, bo prokuratura złożyła zażalenie. W tym czasie należące do biznesmena dwa tygodnie podzieliły się rolami: jeden broni Polaków przed LGBT+, drugi broni gejów przed Polakami. Do wyboru, do koloru. Może to model na każdy tydzień?

 Debata wokół LGBT zdominowała ostatnie tygodnie, a tymczasem – jak wynika z niejawnego badania na zlecenie jednej z instytucji rządowych – tylko dwie trzecie Polaków (dokładnie 65,4 proc.) wie, co oznacza ten skrót (lesbijki, geje, biseksualiści, transseksualiści). To i tak niezły wynik. Internet obiegił niedawno filmik pokazujący, że studenci Uniwersytetu Warszawskiego, przepytывani przez dziennikarza, nie potrafili wskazać na mapie Polski województwa lubuskiego. A mówimy o najlepszej uczelni w Polsce.

 W mediach sporo sondaży. Większość wskazuje na faktyczny remis. Co ciekawe, to chyba nie przypadek. Z wewnętrznych sondaży Platformy, także tych jakościowych, wynika bowiem, że opozycja ma małe szanse na przejęcie władzy jesienią. Więc żeby utrzymać Koalicję Europejską i dodać wiary kadrom oraz sympatykom, poszedł rozkaz pompowania bieżących badań. Kto wie, czy wykpiwany sondaż, dający PiS 44 proc., a PO 20 proc. nie ma racji?

*A Gerald Birgfellner
brnie dalej, zmieniając
wersje, „przypominając
sobie” szczegóły, których
wcześniej nie pamiętał.
Ciekawe, czy już dotarło
do niego, że jego nowi
przyjaciele są jeszcze cwańsi
niż on sam? Historia Polski
ostatnich 30 lat usłana jest
trupami tych, którzy tego nie
dostrzegli odpowiednio szybko.*

» PiS domyka listy do Parlamentu Europejskiego. W Małopolsce z trójki walczył będzie Patryk Jaki, w Wielkopolsce z tego samego miejsca Joanna Lichocka. Najciekawszy pojedynek szykuje się jednak na Mazowszu, gdzie Adam Bielan zmierzy się ze Zbigniewem Kuźmiukiem. Ten pierwszy, choć ma jedynkę, to nie ma najlepszych notowań u prezesa PiS. A wszystko za sprawą wywiadu dla tygodnika „Wprost”, w którym Bielan samowolnie omawiał stan zdrowia Jarosława Kaczyńskiego, przebywającego wówczas w szpitalu. To był ten jeden most za daleko.

» **Prof. Zdzisław Krasnodębski** zaproponował Ewie Kopacz – jedynce z list opozycji w Wielkopolsce – debatę po angielsku lub po niemiecku „o polityce europejskiej i roli Parlamentu Europejskiego”. „Dziwi mnie propozycja debaty w języku niemieckim złożona przez pana Krasnodębskiego. Trochę za wcześnie wchodzi w buty Bismarcka, który też chciał, by Polacy o polityce rozmawiali po niemiecku” – odpowiedziała z właściwą sobie lekkością była premier. Ale pomysł prof. Krasnodębskiego raczej mu nie pomoże. Nigdy, pod żadnym pozorem, nie należy wpędzać elektoratu w kompleksy; jakiegokolwiek zyski nie zrównoważą strat.

» Marszałek województwa mazowieckiego Adam Struzik opublikował w mediach społecznościowych grafikę przedstawiającą Jarosława Kaczyńskiego z wąsikiem Adolfa Hitlera. Czy przeprosi? „Nie będzie żadnych przeprosin, bo nikogo nie obraziłem. Pozdrawiam wszystkich nienawistników, ludzi zawziętych, oszczerców, kłamców, pogardliwców, wszystkich bez elementarnego poczucia humoru” – odpowiedział Struzik, zamykając w doskonałej, krótkiej formie całą nikczemność naszej opozycji, brutalnej i agresywnej, a jednocześnie udającej ofiarę.

» Sławomir Neumann z PO ma plan. „Jeśli będzie tak, że my wygrywamy jesienią wybory, chcemy naprawiać państwo, przywrócić Polsce praworządność, a prezydent będzie hamulcowym, to jednym z ruchów, do którego mamy możliwość, jest impeachment” – zapowiedział, precyzując, że „najpierw impeachment, a potem Trybunał Stanu”. Te ich sny o więzieniach pełnych polityków mogą się rzeczywiście spełnić, ale jak konkretnie, to jeszcze się okaże.

» Opozycja próbuje rozwijać się intelektualnie. **Róża Maria Gräfin von Thun und Hohenstein** podzieliła się refleksją na temat Polski i Europy: „Mielśmy tę Unię ożywiać i wzmacniać, ale jesteśmy krajem, który Unię osłabia. Bo to jest jeden organizm i tak to musimy widzieć. Jeśli jeden kraj niszczy praworządność, niszczy prawo, se-

dziowie nie są niezawisli i niezależni, a ten element choruje, to trzeba dać mu antybiotyki, bo on musi wyzdrowieć” – stwierdziła, dodając: „Tylko Polska jest tym problemem, który ciąży na całości”. Jeśli przegrają jesienią, postawią na eutanazję?

» Także Leszek Balcerowicz w formie. „Gdyby każdy Polak wiedział, ile z tego powodu [programów socjalnych] musi zapłacić więcej podatków albo ilu ludzi z powodu PiS-owskiego rozdawnictwa umrze na raka, lub z powodu smogu, zmieniłby zdanie [w sprawie oceny obozu rządzącego]” – stwierdził autor transformacji gospodarczej, która całe pokolenia kosztowała morze zbędnych lez i do dziś odbija nam się czkawką. Lepper wołał: „Balcerowicz musi odejść!”, dziś PiS powinno wołać: „Więcej Balcerowicza!”.

» Dariusz Rosati sądzi, że to nie programy socjalne, ale Kreml dał PiS zwycięstwo. „Jesteśmy przekonani, że rosyjskie trolle były zaangażowane w kampanię w krajach europejskich. Nie jest wykluczone, że pomogły PiS-owi wygrać wybory parlamentarne w 2015 r. [...] Musimy mieć świadomość tego, że Rosji zależy, żeby wspierać partie antyeuropejskie” – alarmował, ostrzegając przed powtórką jesienią. Uroczą jest ta ukryta teza: Kreml drżący przed sprawnością i siłą państwa PO, marzący o obaleniu Tuska.

» Błysnął także **Adam Michnik**, jak zwykle na wysokim C. „Kaczyński posługuje się językiem stalinowskim. Kaczyński powiada jak Stalin: wraz z budownictwem socjalizmu zaostrza się walka klasowa. Opowiadanie, że w Polsce dzisiaj nieszczęścia się biorą z braku dekomunizacji, to kompletny idiotyzm. To nie komuniści dziś zagrażają” – ogłosił, przywołując język z początku lat 90. (może celowo, a może płyta się zacięła). Najciekawsze było jednak stwierdzenie, że dekomunizacja we wschodnich Niemczech „skrzywdziła bardzo wielu ludzi”, a „Niemcy nie stały się w wyniku dekomunizacji ani lepsze, ani uczciwsze”. Ale może przynajmniej kaci nie śmieją się ofiarom w twarz?

» Ciężko być elitą i żyć w Polsce. Zbigniew Holdys twierdzi, że Polacy są nieszczęśliwi. Dlaczego? Tak, zgadli państwo, to wina religii i tradycji: „Jest w naszej kulturze coś niestety paskudnego, że żyjemy w czymś, co religia trochę narzuca, ale myślę, że ona nie jest tutaj najważniejsza, bo to jest po prostu tradycja – w poczuciu winy, grzechu i podobnych atrybutów” – stwierdził, w sumie sprawnie ujmując marzenie lewicy: świat bez konsekwencji. Nie sposób oprzeć się wrażeniu, że po wyjściu z telewizji te wszystkie gwiazdy gaszą uśmiech, zdejmują maski i pokazują twarz smutnych, zepsutych, samotnych zombie.



No i po co mi to było? Wszystko przez tę wpadkę z linkiem do gejowskiego porno, który podczepiłem do komentarza w internecie. Dziennikarz mnie przepytuje, ja mam ciągle przed oczami tamtych gości, nic dziwnego, że popuściłem, za przeproszeniem, wodze fantazji. Ale czy musiałem akurat z adopcją dzieci wyskoczyć? Głupi Paweł! Niemądry Paweł! Teraz będą po mnie jeździć, jak po łysym ogierze – że niekonsultowane, że osobista opinia, że mi się ułalo, mam, czego chciałem. Od początku czułem, że z tą Koalicją Europejską to jakaś lipa i jak przyjdzie co do czego, to te farbowane lisy jeszcze będą sobie LGBT inne cztery litery podcierać.

A ja – co? Wiecznie mam je za innych nadstawiać? Lis pluje, Schetyna telefonu nie odbiera, Trzaskowski nawet się nie uśmiechnie. Trzeba było jednak samemu kandydować, to by się człowiek nie musiał bez przerwy jak ten świniopas tłumaczyć. Wybory w partii też zawałem, nawet Miśło się zgłosił, a ja nic – przyczajony tygrysek, ukryty smoczek. Kamila ideały zdradziła, to się trwało przy Katarzynie. A teraz obie w jednej koalicji siedzą. Wcześniej radni PO w stolicy bonifikatę na wykup mieszkań z 98 na 60 proc. zmniejszyli. Myślę – Rafał nic nie mówi, to ja sprawę rozładuję. Tak rozładowałem, że mi te „błędy rozdawnictwa” do dzisiaj wypominają. Czy ja muszę wiecznie komuś tylek ratować? Głupie pytanie w sytuacji, gdy wszystko stoi na głowie. Robert też już nie wie, co mówi. Raz twierdzi, że jak pupa boli, to dobrze, a teraz chce PiS zrobić „jesień średniowiecza”. Gdzie tu logika?

A tak się chciałem skupić na dziecku. To znaczy – razem z partnerem, bo chyba by się ucieszył, gdyby test wyszedł pozytywnie. Podobno, jak się taki test psychologiczny przed adopcją zrobi, to człowiek odzyskuje siły vitalne. Był nawet facet, który urodził, i to całą trójkę, ale wcześniej był kobietą, więc do końca nie wiem, jak to dokładnie przebiegało. Niby że został mężczyzną, ale w ciążę zachodził? Zresztą i tak już się rozwiódł, bo żona go biła. O, właśnie, muszę sobie zapisać, żeby Rafała zapytać, czy jak gej geja pobije w ramach przemocy domowej, to też będzie podpadało pod Kartę LGBT+? A jakby gej heteryka pobił, to czy jako osoba z gruntu w Polsce prześladowana nie powinien być od razu uniewinniony?

No, ale Rafał ciągle obrażony. Jak Rafalala jakaś. Jakby nie wiedział, że LGBT chcą adoptować dzieci. I jeszcze mi publicznie kazał pilnować wytyczonych zadań. A niby od czego ja mam być w warszawskim ratuszu, jeśli nie od dzieci

Elgiebetywa



KRZYSZTOF FEUSETTE

i młodzieży? Przecież on sam mówił, że w stolicy za orientację seksualną ludzi na bruk wyrzucano i że poza Tramwajem Różnorodności to strach do komunikacji miejskiej wejść, bo miejscowi leją w mordę, kogo popadnie: Murzyna, Mulata, Metysa, Araba, Żyda, Indianina i Eskimosa. A geja najbardziej. Stąd pewnie projekt „Latarnik” – bo pod latarnią podobno jest najciemniej, a my się coraz bardziej ukrywać musimy, jednocześnie coraz bardziej się ujawniając.

Dlatego najlepiej „kaming auta” strzelić jeszcze w przedszkolu. Są już gotowe książeczki, już się ten program oddolnego nauczania tworzy. O, np. taki gender wierszyk dla gender dzieci. „Robert i Paweł w jednym spali domu/ Robert (za przeproszeniem) na górze/ a Paweł (za przeproszeniem) na dole/ Robert spokojny, nie wadził nikomu/ Paweł najdziksze wymyślał swawole/ Ciągle polował po swojej stolicy/ to link do porno, to adopcja dzieci/

pisal, prostował, radość budząc w sieci...”. Śliczne, co? Najlepsze jest wtedy, jak „spogląda przez dziurę”. Albo inny utwór: „Stoi na stacji eLGieBeTywa/ Słuszna, zachodnia i pot z niej spływa/ Thusta oliwa/ Stoi i (za przeproszeniem) sapie, dyszy i (za przeproszeniem) dmucha/ Żar z rozgrzanego jej (za przeproszeniem) brzucha bucha/ Buch – jak gorąco! Uch – jak gorąco!/ Tramwaje do niej podczepiali/ w ramach promocji tęczowej fali/ I pełno ludzi w każdym wagonie/ A w jednym Rafał, a w drugim Krzywonos/ A w trzecim siedzą same transgender/ naładowane turbopopędem/ A czwarty wagon pełen odmieńców/ A w piątym stoi sześciu zboczeńców/ W szósty (za przeproszeniem) armata – o! jaka wielka!/ Płonie z radości tęczowa Brukselka!/ W siódmym przedszkola, żłobki i szkoły/ W ósmym latarnik, częściowo goły/ W dziewiątym – same ostatnie świnię, / W dziesiątym – pedo- i zoo-file.../ A tych wagonów jest ze czterdzieści/ Sam nie wiem, co się w nich jeszcze mieści...”

Przepraszam za to ciągle „za przeproszeniem”, ale ja wiem, w jak homofobicznym kraju żyjemy. Trzeba nareszcie dać polskim dzieciakom wybór, czy wolą mieć dwóch tatusiów, z czego jeden byłby mamusią, czy dwie mamusie, przy czym obie w roli ojca. Wiem, że to może zbyt odważne, jak na grupę wiekową od 0 do 2 lat, ale problem polega na tym, że starsze dzieci mogą już tego nie lyknać. I powinien być obowiązek czytania dziecku jeszcze w łonie matki (albo ojca) – odpowiednich bajek, w których to LGBT żyją na końcu długo i szczęśliwie. O ile oczywiście nie ma się zbyt małego mieszkanka, by to dziecko potem urodzić.



Polski Fundusz Rozwoju

Polski Fundusz Rozwoju
wraz z międzynarodowym
konsorcjum kupił
DCT Gdańsk –
najnowocześniejszy
i największy terminal
kontenerowy w Polsce.

Wspólnie z naszymi partnerami:
PSA z Singapuru i IFM Investors
z Australii w najbliższych latach
zainwestujemy blisko 2 mld zł
w jego rozbudowę, dzięki czemu
stanie się największym
terminalem kontenerowym
na Morzu Bałtyckim.
Nasza inwestycja wzmacnia
pozycję Polski w światowym
handlu. Oznacza także większe
możliwości eksportowe
dla polskich firm.

Inwestycje dla Polski

Infolinia Grupy PFR: 800 800 120
www.pfr.pl



„Ręce precz od naszych dzieci”

18 marca pod stołecznym ratuszem odbył się protest rodziców przeciwko podpisaniu przez prezydenta Warszawy Rafała Trzaskowskiego Karty LGBT+. Rodzice domagali się od prezydenta stolicy wycofania się z zapowiedzi wprowadzenia do szkół edukacji seksualnej opartej na standardach WHO. „Trzeba to powiedzieć wprost. Te standardy edukacji seksualnej to przygotowanie ofiar dla pedofilów. I to właśnie szykują nam rządcy Warszawy. Myśleli, że nikt tych standardów nie przeczyta, ale na szczęście jest inaczej i możemy się z treścią zapoznać. To jest to, co panowie Trzaskowski i Rabiej proponują warszawskim dzieciom” – mówił w trakcie protestu rodziców Mariusz Dzierżawski, jeden z organizatorów manifestacji.

„Nie ma naszej zgody na to, aby ktoś obcy wchodził pomiędzy nas a nasze dzieci w tak intymnej sprawie, jaką jest seksualność. Seksualność jest czymś pięknym i ma prowadzić do relacji, ale nigdy do wynaturzenia! [...] Seksualizacja dzieci to przestępstwo!” – apelowała z kolei Dominika Figurska, mama, aktorka i radna sejmiku mazowieckiego.

Wśród protestacyjnych plakatów można było zobaczyć m.in. hasła: „Stop manipulacji, dewiacji, pedofilii”, „Stop LGBT”, „Wychowanie tak, indoktrynacja nie”, „Nie róbcie z polskich szkół sodomy”, „Ręce precz od naszych dzieci”.

Protestujący rodzice podkreślali, że nie ma ich zgody na wprowadzenie do szkół edukacji seksualnej opartej na standardach WHO, które zakłada deklaracja LGBT+. W ocenie Centrum Życia i Rodziny deklaracja stoi w sprzeczności z konstytucyjnymi prawami rodziców do wychowania dzieci zgodnie z wyznawanymi przez nich wartościami. Nie bierze pod uwagę, że wprowadzenie dodatkowych treści do nauczania szkolnego wymaga zgody rodziców. 

DŁ

DERYZM
WIACJA



OD POCZĘCIA
TOŚCI ŻYCIA

OWSKI
G. V. ODEJDŹ
NIE HAŃB
RZĘDU

BEWIANCI Z
RATVSZA
ŁAPY PRECZ
OD DZIECI
W SZKOLACH

Koszmar postępowców

W 2017 r. wiceprezydent USA Mike Pence powiedział w „The Washington Post”, że nie jada nigdy kolacji z kobietami, jeżeli nie ma z nim jego żony. Nie pije też nigdy z obcymi kobietami alkoholu. Pence stosuje zasady głoszone przez charyzmatycznego amerykańskiego pastora i telewizyjnego kaznodzieję Billa Grahama (1918–2018), który zachęcał ewangelików płci męskiej, aby nie spotykali się sam na sam z kobietą inną niż ich żona. Słowa Pence’a przypomniano po wybuchu afery #Metoo, gdy mężczyźni pracujący w biurach z kobietami zaczęli panicznie unikać wzroku koleżanek, by potem nie paść ofiarą oskarżeń o molestowanie seksualne. Wywołało to wściekłość niektórych feministek. No bo jak to? Kobiety kuszą mężczyzn? Przecież to seksizm! Kobieta nigdy nie kusi! To mężczyzna jest napalony jak piec w hucie i myśli od rana tylko o tym, jak molestować i gwał-



Fot. Diego G Diaz/Shutterstock.com

cić koleżanki z pracy. No, ale jednocześnie nie wolno mu unikać kobiet sam na sam. Sytuacja bez wyjścia, nieprawdaz?

Kilka dni temu do słów Pence’a odniosła się senatorka Kamala Harris. Jest ona jedną z pretendentek do walki o nominację Partii Demokratycznej w wyścigu o Białą Dom w 2020 r. Jej zdaniem słowa Pence’a są oburzające. „To absurdalne, że kobieta nawet w sprawach zawodowych nie może mieć możliwości spotkać się z wiceprezydentem USA”. Oczywiście to nieważne, że rzecznikzką wiceprezenta jest kobieta Alyssa Farah, a Pence przez lata pracował z kobietami i je awansował.

Na domiar złego dla lewicy równie zdeklarowane poglądy ma córka wiceprezenta – Charlotte Pence. Absolwentka Harvard Divinity School opowiedziała się za obroną „marginalizowanych i opresyjnie traktowanych”

nienarodzonych dzieci. „Tak, aborcja jest pogwałceniem prawa do życia istoty ludzkiej” – napisała w konserwatywnym „Washington Times”. Dodała, że aborcja świadczy o ostracyzmie społeczeństwa wobec najsłabszych i odrzuceniu ich z tegoż społeczeństwa. Porównała też ruchy pro-life do abolicjonistów walczących z niewolnictwem. To argument dr Alvedy King, bratanicy Martina Luthera Kinga, która od lat zdecydowanie walczy z aborcją, dotyczącą wyjątkowo mocno środowiska afroamerykańskie.

Cóż, szybkie obalenie (w drodze impeachmentu) mającego trzecią żonę i oskarżonego o liczne romanse Donalda Trumpa oznaczałoby prezydenturę konserwatywnego Mike’a Pence’a. A Ivanka Trump zostałaby zamieniona na Charlotte Pence. To już byłby dla postępców prawdziwy koszmar.

Lukasz Adamski

W centrum Jerozolimy ma być odsłonięty pomnik poświęcony ofiarom niemieckiej blokady Leningradu. Liczący ponad 8 m obelisk – ze względu na kształt słupa zwieńczonego symbolicznym płomieniem – nazwano „świecą pamięci”. „Świecę” będzie można oglądać w eksponowanym miejscu – tuż obok pałacu prezydenckiego. To kolejny taki pomnik w Izraelu. W Netanii w 2012 r. odsłonięto wielki monument ku czci Armii Czerwonej.

W tej chwili nad budową „świecy” pracuje grupa architektów z Rosji i Izraela. Pomnik jest inicjatywą merostwa Petersburga, które chciało w ten sposób uczcić pamięć ofiar niemieckiej blokady oraz – jak czytamy w oficjalnym komunikacie – „podnieść prestiż Północnej Stolicy Rosji”. Dwa lata temu jego koncepcję przyjęły władze Jerozolimy oraz żyjący w Izraelu weterani z Leningradu. Liczbę mieszkających w Izraelu ofiar blokady z lat 1941–1944 ocenia się na 1,3 tys. osób.

Na razie nie jest znany termin odsłonięcia pomnika. Wiadomo jedynie, że uroczystości ma uświetnić Władimir Putin, którego zaprosił do Jerozolimy premier Izraela Benjamin Netanjahu. Pomnik blokadników jest kolejnym przejawem zbieżnej polityki historycznej Rosji i Izraela. Punkt widzenia większości Żydów jest tu jasny: Związek Sowiecki był totalitarny, ale gdyby nie jego żołnierze, Niemcom udałoby się

Izrael

Historyczny sojusz

wymordować znacznie więcej ich przodków. Z dużą sympatią odnoszą się też do Armii Czerwonej. W jej szeregach walczyło wielu Żydów, którzy mogli dzięki temu pomścić śmierć swoich rodaków. Skoro więc Związek Sowiecki powstrzymał Holokaust, to należy mu się wdzięczność.

Ta wspólnota pamięci przenosi się również na teraźniejszość. I nie chodzi o pomniki ani udział premiera Izraela w obchodach Dnia Zwycięstwa w Moskwie. Rosja jest postrzegana w Izraelu jako ważny partner na Bliskim Wschodzie, z którym wprawdzie zdarzają się zatargi, ale który może skutecznie wpływać na zachowanie Iranu uznawanego dziś przez Jerozolimę za wroga numer jeden.

Rzecz jasna Rosja wykorzystuje swoją pozycję. Nie bez znaczenia jest tu istnienie w Izraelu silnej liczebnie diaspory rosyjskich Żydów. Ma ona wpływ na tamtejszą opinię publiczną, kształtując – świadomie lub nie – punkt widzenia zgodny z interesem Rosji. Niektórzy twierdzą nawet, że wspólny (co nie oznacza skoordynowany) celem Rosji i Izraela jest utrzymanie jak największego zaangażowania Stanów Zjednoczonych na Bliskim Wschodzie. Interes Izraela jest tu oczywisty – bezpieczeństwo. A Rosji? Rosja celuje w Europę. Nie obrazi się więc, jeśli Amerykanie będą zajęci gdzie indziej.

Konrad Kolodziejski



Słowacja

Wyborcy przeciw układom

Pierwsza tura wyborów na Słowacji nie wyłoniła prezydenta. Zdecydowaną faworytką drugiej rundy jest jednak 46-letnia prawniczka Zuzaná Čaputová, która uzyskała 40,55 proc. głosów. Na drugim miejscu znalazł się związany z rządzącą socjaldemokratyczną partią Smer 53-letni komisarz UE Maroš Šefčovič, na którego zagłosowało 18,67 proc. wyborców.

Taki rezultat pierwszej tury był zwińczeniem sekwenji wydarzeń, do których doszło w 2018 r. na Słowacji. Zaczęło się od morderstwa dziennikarza śledczego Jána Kuciaka, po którym w dużych miastach rozlały się wielkie manifestacje antyrządowe. Ich skutkiem była wymuszona dymisja premiera Roberta Fico. Na światło dzienne wyszły wtedy niejasne powiązania między politykami, biznesmenami a półświatkiem przestępczym. Rozczarowanie całą klasą polityczną spowodowało, że w społeczeństwie pojawiło się zapotrzebowanie na nowe twarze i programy.

Beneficjentem zmiany nastrojów społecznych okazała się Zuzaná Čaputová, reprezentująca nieobecną w parlamencie liberalną partię Postępowa Słowacja. Ona sama dała się poznać jako działaczka organizacji pozarządowych. Jej największym sukcesem była likwidacja uciążliwego wysypiska śmieci w Pezinoku koło Bratysławy. W 2016 r. otrzymała za to Nagrodę Goldmanów, czyli „ekologicznego Nobla”. Zwycięzczyni pierwszej tury jest zwolenniczką utrzymania obecnej ustawy aborcyjnej oraz opowiada się za przywilejami małżeńskimi dla par homoseksualnych, łącznie z adopcją dzieci. Wywołuje to zaniepokojenie przywódców różnych odłamów chrześcijaństwa, z Kościołem katolickim na czele.

Wybory ujawniły też słabość prawicy. Choć większość Słowaków jest konserwatywna obyczajowo i przywiązana do tradycji katolickiej, ich polityczna reprezentacja jest niezwykle rachityczna. Partia chadecka, która niegdyś rządziła krajem, jest dziś cieniem dawnej siebie. Znaczniejsze poparcie mają narodowcy, ale oni zrażają większość elektoratu radykalizmem hasel.

Wybór Čaputovej nie oznacza jednak liberalnej rewolucji obyczajowej, ponieważ uprawnienia prezydenta są ograniczone. Istotne zmiany mogą przynieść tylko wybory parlamentarne.

Grzegorz Górny



Wielka Brytania

„Mr Speaker” torpeduje brexit?

Spiker brytyjskiej Izby Gmin John „Ziggy” Bercow nie pozwolił na to, by posłowie trzeci raz głosowali nad brexitowym dealem, który premier Theresa May wynegocjowała z Brukselą. Powołał się przy tym na (dawno zapomnianą i niestosowaną od 1920 r.) zasadę zawartą w podręczniku parlamentarnej procedury „Erskine’a Maya” z 1844 r., zabraniającą „kolejnych głosowań nad tym samym dokumentem, jeśli izba go już raz odrzuciła”. Postawiło to brytyjską premier w trudnej sytuacji i zmusiło do wnioskowania w Brukseli o przedłużenie brexitowych negocjacji o trzy miesiące. Jak donosi brytyjski „The Guardian”, May chciała wnioskować o opóźnienie brexitu nawet o rok, ale wobec groźby dymisji kilkunastu eurosceptycznych ministrów zrezygnowała z tak długiego okresu. Czy jednak Bruksela przyzna jej te dodatkowe trzy miesiące? To obecnie mało prawdopodobne.

Strona unijna sygnalizuje, że wolałaby zakończyć sprawę do 22 maja, czyli przed wyborami do Parlamentu Europejskiego. Tymczasem eurosceptyczni torysi zastanawiają się, czy spiker Izby Gmin – ich wieloletni partyjny kolega, niegdyś tak konserwatywny, że nosił koszulki z napisem: „Powieście Nelsona Mandelę” – celowo nie torpeduje procesu wyjścia Wielkiej Brytanii z Unii Europejskiej. Zarzucają mu, że sympatyzuje z laburzystami, a jego żona Sally, która od początku z ferworem lobbowała za pozostaniem Zjednoczonego Królestwa w europejskiej wspólnocie, „ma na niego zbyt wielki wpływ”. Brytyjskie gazety także nie pozostawiają suchej nitki na spikerze: „Jest arogancki i pompatyczny” – pisze „Daily Mail”. A „The Sun” zarzuca mu, że zachowuje się niczym „kieszonkowy Napoleon”. Jak podkreśla ekspert instytutu Policy Exchange w Londynie Stephen Laws: „Zaufanie w bezstronność spikera zostało mocno nadszarpnięte”.

Bercow natomiast uważa, że zrobił to, co należy, czyli jako jedyny trzymał się reguł i zasad, przy okazji wprowadzając nieco powagi i porządku do chaotycznego procesu brexitu. Twierdzi, że miał prawo zapobiec trzeciemu głosowaniu nad umową May. „Nie można w kółko powtarzać tego samego głosowania, licząc na inny wynik” – podkreślił. „Może pani premier nie przeszkadza utrata wiarygodności, ale parlament nie może sobie na to pozwolić” – przekonywał.

Paradoksalnie decyzja Bercowa, niezależnie od tego, czym jest umotywowana, uczyniła twarde brexit bardziej prawdopodobnym. I wszystko wskazuje na to, że w tej sytuacji May poprosiła Brukselę o przedłużenie negocjacji już tylko po to, by móc się lepiej przygotować na wyjście z Unii bez porozumienia.

Aleksandra Rybińska

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Szloch i wrzask w obozie złej zmiany

Nerwowy harmider dochodzi z obozu złej zmiany. Odstawiony przez prezesa Schetynę od Brukseli minister Boni przypomniał sobie, że był przeciwnikiem okradania Polaków z OFE, kiedy premier Tusk postanowił zabrać 152 mld ludziom i zasilić budżet. Przypominam, że trwał wtedy rabunek VAT. W każdym razie wróciła pamięć byłemu zapewne już wkrótce europosłowi Boniemu. Jakże to dziwactwa dzieją się z ludźmi pozbawionymi fuchy. W obronie pokrzywdzonego wystąpiła profesor Środa, wymyślając Schetynie, że na liście umieścił „człowieka z puszki”, premiera Cimoszewicza.

A posłanka Pitera szlocha z innego powodu – że niemądry vice Rابية ujawnił wszem wobec główny cel swych politycznych ambicji i zrobił to przedwcześnie! Chodzi o modyfikację społeczeństwa w guście LGBT. Najpierw partnerstwo, potem małżeństwo i adopcja.

Prominentny peeselowiec minister Sawicki twierdzi, że udział w Koalicji Europejskiej trzeba przeczekać jak chorobę zakaźną. Może się mylić kolega prezesa Kamysza, bo po zakażeniu czerwönką nie zawsze wraca się do zdrowia. Przekonuje się o tym społeczność nauczycielska, poderwana do strajku przez czerwonego bossa. Nigdy pod rządami PO ani



**Jan
Pietrzak**

SLD nie rzucał takich grózb jak obecnie. A wtedy nauczyciele zarabiali znacznie gorzej. Grozi, że urządzi dzieciakom totalny kataklizm, na złość brzydkiemu PiS. Patrzenie państwo, jakie instynkty wywala w ludziach rutynowa w demokracji kampania wyborcza.

Nie ukrywajmy, że pewną przyjemność sprawił nam poseł Niesiołowski, z którego wylał się niepohamowany strumień brzydkich wyrazów pod adresem byłego kompana. „Schetyna to żalosna kreatura, która nie zasługuje na splunięcie. [...] pokazał, że jest odrażającą kreaturą”. Prawda, że miło posłuchać takiej charakterystyki przywódcy Koalicji Europejskiej? Osobiście dziesiątki lat zajmuję się przypinaniem lat i latek różnym waśniakom, ale tak śmiało sobie nie pocynam. Bezimmunitetowy poseł Niesiołowski jest w przededniu kampanii wyborczej świetnym przykładem kogoś, kto nigdy nie powinien wchodzić do polityki. Jako profesor od robaków żyłby sobie łagodnie, wzbogacając wiedzę o żukach gnojnikach...

Zastanówcie się, kandydaci, czy nie jesteście zbyt rozchwiani emocjonalnie, by zabierać się do tej trudnej, lecz niezbędnej, pracy. Przede wszystkim zastanówcie się, szanowni wyborcy. Macie trochę czasu...



**Z Patrycją i Wiktorią Kazadi,
uczestniczkami tanecznego show TVP2
„Dance, dance, dance”, rozmawia Jolanta
Gajda-Zadworna**

W siostrach siła?

Patrycja: Jak najbardziej. Cudownie jest dzielić taneczny parkiet z siostrą, a nie obcą osobą.

Ta bliska relacja pomogła w przejściu na drugą stronę telewizyjnej sceny? Od roli prowadzącej taneczne show do uczestniczki?

Patrycja: Dla mnie okazało się to strasznie trudne. Nie spodziewałam się, że będzie aż tak ciężko. Nie ukrywam, że Wiktoria zbiera mnie z podłogi po każdym treningu.

Młodsza siostra, a taka silna? Różnica wieku nie przeszkadza?

Wiktoria: Mam 17 lat, potrafię już sporo z siebie dać, a dzięki Pati mogę się rozwijać.

I wykonywać coraz trudniejsze zadania?

Patrycja: To prawda, tak jak w pierwszym odcinku tańczyliśmy dokładnie to, co chciałyśmy, tak od drugiego pojawiły się wyzwania. Ale stawiliśmy im czoła. Mamy nadzieję, że widzowie docenią efekt, bo pracujemy naprawdę ciężko. Trenujemy 4–6 godzin dziennie.

Czy obecność Ewy Chodakowskiej w jury – w kwestii figury i kondycji – wpływa na was motywująco czy stresująco?

Wiktoria: To nasza ulubiona jurorka. Zdecydowanie motywuje. I ogólnie jest dużą inspiracją.

BRONISŁAW WILDSTEIN

Żydokomuna

*Komunizm naszemu krajowi narzucił
Stalin, który był nie Żydem, ale antysemitą.
Wcześniej rozprawił się z konkurentami
do władzy w aparacie partyjnym, których
spora grupa była pochodzenia żydowskiego*

Niesprawiedliwe ataki czyniące z Polaków współników Holokaustu wywołują efekt wahadła, który z jednej strony każe postrzegać siebie jako świętych, z drugiej – odegrać wobec narodu, który w sposób nieuprawniony nas pomawia. Za taki naród uznawani są w sposób naturalny Żydzi. Odruch to zrozumiały i po ludzku nieunikniony, co nie znaczy, że należy go akceptować. Na rasistowskie brednie o „wysysaniu antysemityzmu z mlekiem matki” nie należy odpowiadać ich lustrzaną wersją o antypolonizmie.

Jednym z jej elementów jest opowieść o „żydokomunie”, czego konsekwencją jest wyobrażenie, że to Żydzi wprowadzili do Polski komunizm. Nie miejsce tu, by analizować udział Żydów w systemie komunistycznym. Owszem, twórcą jego współczesnej wersji był Karol Marks, Żyd z pochodzenia, ale wystarczy przeczytać jego „W kwestii żydowskiej” (nie tylko zresztą), aby zobaczyć, jaka głęboka była jego niechęć do narodu, z którego etnicznie się wywodził.

Udział ludzi pochodzenia żydowskiego w ruchu komunistycznym był duży i znacznie przekraczał ich procentową liczbę w społeczeństwach, w których powstawał. Przyczyny były złożone. Najważniejsza to poszukiwanie możliwości i awansu, które utrudniało pochodzenie żydowskie, a komunizm był snem o świecie bez podziałów i ograniczeń, kolejna to wpisana w kulturę żydowską tradycja mesjanistyczna, którą w zeświecczonej wersji prezentował marksizm. Nie znaczy to, że za ideologię tę odpowiada judaizm, bo równie uzasadniona jest jej interpretacja jako chrześcijańskiej herezji. Niezależnie jednak od rodowodu tej laickiej religii, a w dużej mierze ze względu na ten jej charakter, przystąpienie do komunizmu w pierwszym okresie jego trwania oznaczało odcięcie się od żydowskiej i każdej innej narodowej tożsamości.

U ludzi przyzwyczajonych do postrzegania rzeczywistości w prostych kategoriach i wrogo nastawionych do ideologii rewolucyjnej nadreprezentacja w jej szeregach Żydów oznaczała ich spisek w celu przejęcia władzy nad światem. Ta wizja wzmacniana była przez tych obrońców tradycyjnych porządków, którzy uznawali, że sprowadzenie nastrojów buntu do żydowskiej konspiracji definitywnie je spacyfikuje.



Celowoła w tym Rosja i jej ochrana, produkując falsyfikat „Protokoły mędrców Syjonu”, który po dziś dzień znajduje życzliwych czytelników. Tę metodę kontynuował Hitler i jego ekipa – wprawdzie ponieśli oni klęskę, ale propaganda na tę skalę nie mogła zniknąć bez śladu.

To charakterystyczne, że duża część antykomunistycznych Rosjan o rewolucję bolszewicką oskarża „obcych”. Głównie Żydów, ale także Polaków – bo Dzierżyński stworzył Czekę, a w jej kilkuosobowym zarządzie funkcjonował inny nasz rodak, późniejszy szef tej instytucji, Wacław Mienżyński – a także Łotyszy, których pewna liczba odgrywała tam znaczącą rolę.

Obecna opowieść o Żydach, którzy jakoby zainstalowali w Polsce komunizm, ma podobny charakter. W punkcie wyjścia jest ona zupełnym nonsensem. Komunizm naszemu krajowi narzucił Stalin, który był nie Żydem, ale antysemitą. Wcześniej rozprawił się z konkurentami do władzy w aparacie partyjnym, których spora grupa była pochodzenia żydowskiego. Od połowy lat 30. nie mieli oni nic do powiedzenia w Związku Radzieckim.

Nadreprezentacja ludzi o takim pochodzeniu w strukturze państwa w pierwszych latach zaprowadzania komunizmu w Polsce jest pochodną ich liczby w przedwojennym ruchu komunistycznym, a także polityki divide et impera, którą z lubością uprawiał Stalin. Wyliczanie, jak wielki odsetek ludności żydowskiej stanowili oni po wojnie, jest o tyle absurdałne, że w Polsce zostali komuniści i ich sympatycy, a inni w dużej mierze z niej uciekli. Inna sprawa, że po traumie Holokaustu Żydzi próbowali znaleźć dla siebie w miarę bezpieczne miejsce również w aparacie władzy.

Jakkolwiek by liczyć, Żydów we władzach PRL, nawet w jego stalinowskiej fazie, była mniejszość. Czy znaczy to, że za komunizm należy obciążyć naród polski, spośród którego wywodziła się większość zarządzających państwem i partią na etapie jego instalacji i wszyscy w drugim, zdecydowanie dłuższym okresie?

Czy ci, którzy opowiadają o żydokomunie, nie zauważają, że odwołują się do ponurej rasowej identyfikacji narodu? Na tym polega sprawdzanie rodowodu członków aparatu władzy bez zastanowienia się, czy pochodzili oni z rodzin zasymilowanych i kim się czuli. W ten sposób naród zaczynamy rozumieć biologicznie, a nie kulturowo, co w wypadku Polski jest szczególnie pozbawione sensu.

Nie przypuszczałem, że będę czuł się zmuszony o tym jeszcze pisać. Jest to bardzo przykra konieczność.

OGNIEM NA WPROST

Lenin i LGBT

Wraca sprawa Śląska Cieszyńskiego, a konkretnie jego części zwanej Zaolziem (leży na południe od rzeki Olzy). Na szczęście w pozytywnym kontekście, gdyż teren ten był kością niezgody pomiędzy Polską a Czechami. Historycznie i etnicznie (na przełomie XIX i XX w. polskojęzyczna ludność tego obszaru stanowiła 60,6 proc. ogółu mieszkańców, natomiast w roku 1910 w wyniku nasilonej germanizacji i czechizacji odsetek ten zmniejszył się do 54,8 proc. wobec 27,1 proc. czesko- i 18 proc. niemieckojęzycznej) teren ten powinien po I wojnie światowej przapaść Rzeczypospolitej. Jednak 23 stycznia 1919 r. wojska czechosłowackie przekroczyły linię demarkacyjną i zaatakowały nieliczne oddziały polskie, anektując obszar Zaolzia. Odwdzięczyliśmy się w październiku 1938 r., dokonując wraz z Niemcami podziału naszego południowego sąsiada. Po II wojnie znów wkroczyli tam Czesi i tak zostało do dziś. Także miejscowość Kocobędz (Chotěbuz), w której dziś mieszka aż 21,3 proc. Polaków, pozostała po drugiej stronie granicy. Niedawno Praga przywróciła polską nazwę Chotěbuza, instalując dwujęzyczne napisy. Przywoity gest ze strony Czechów wart odnotowania, czego nie można powiedzieć o Litwinach robiących ciągle trudności z nazwiskami i nazwami pisanyymi tylko w ich, dla nikogo niezrozumiałym języku.

WDoncaster w hrabstwie Yorkshire w północnej Anglii dziesięciu nastoletnich Brytoli po piwie darło się wniebogłosy. Ponieważ zbliżała się północ, mieszkająca w sąsiedztwie Rumunka zwróciła im uwagę, tłumacząc, że jej dzieci nie mogą spać. Gdy ostrzegła, że wezwie policję, chuligani rzucili się na nią, bijąc ją dotkliwie. Przy okazji wykrzykiwali: „Ty polska ci...o, zasługujesz na nauczkę! Wracaj do domu!”. Zanim przyjechała policja, damscy bokserzy zdążyli uciec. Jak to mawiają? Kowal zawiń! a Cygana powiesili?

Wzwiązku z trwającą w naszym kraju próbą zawłaszczenia przestrzeni publicznej przez nieliczny odsetek ludzi mających poważne problemy z własną seksualnością nie należy zapominać o osiągnięciu do historii. A tam sensacja. Wszystko za sprawą opublikowanej biografii Włodzimierza Iljicza Lenina autorstwa J. W. Sokołowa. Szczególną uwagę zwracają listy członka politbiura KC WKP(b), pierwszego sekretarza leningradz-



kiego Obkomu partii, Grigorija Zinowiewa do wodza październikowej rewolty z lipca 1917 r., odkryte po otworzeniu jego osobistego archiwum. Oto fragmenty. Zinowiew do Lenina: „Nie uwierzysz, jak mi jest tutaj tęskno bez ciebie, jak mi ciebie brakuje i naszych pieśczęt...”. Towarzysz Zinowiew nawiązuje tu do chwil „szczęścia” spędzonych z Włodzimierzem Iljiczem w szalasie nad jeziorem Razliw podczas ukrywania się przed policją. Bolszewicka propaganda przedstawiała później tamten czas jako okres heroizmu i ciężkiej pracy. „Nie uwierzysz, ale nikogo nie tknąłem od tamtego czasu, kiedy wyjechałeś” – pisał dalej Zinowiew. „Uwierz, że ani mężczyzny, ani tym bardziej kobiety nie tknąłem i nie tknę”. I dalej: „A czy nie zarosła twoja pupcia [Lenina] podczas naszej rozłąki? Czy przez ten czas nic się z nią nie stało? Wkrótce przyjadę, jak tylko tutaj uporam się ze sprawami, i zajmimy się przeczyszczeniem twojego słodkiego tyłeczka. Ja wkrótce przyjadę i nie wypuszczę cię już więcej z moich objęć, cokolwiek by nie mówiła ta sekutnica!”. Chodzi oczywiście o żonę Włodzimierza Iljicza – Nadeždę Krupską, która siłą rzeczy pogodziła się ze zboczeniem męża w imię dobra wszechświatowej rewolucji proletariatu.

Na początku lat 70. puszczano w PRL propagandowy film „Lenin w Polsce”. Przyszły wódz rewolucji szwendał się w nim po Tatrach i Poroninie w słomianym kapelusiku, aż go zatrzasnęli w krakowskim więzieniu na Montelupich. Do historii tej nawiązywał kawał opowiadany w Polsce podczas emisji tego wybitnego dzieła Xmuzy. W moskiewskiej Galerii Trietiańskiej przewodnik oprowadza wycieczkę pionierów. Szczególną uwagę zwraca na obraz z szalasem, z którego wystają dwie pary gołych nóg – damskich i męskich. Plótno nosi tytuł „Lenin w Polsce”. „Oto towarzysz Feliks Dzierżyński i Nadeжда Krupka” – wyjaśnia młodzieży pracownik galerii. „A gdzie Lenin?” – pyta zdumiony pionier. „Lenin w Polsce”. Dziś środowiska LGBT stanowczo protestują przeciwko tej seksistowskiej odpowiedzi przewodnika. Powinna brzmieć: „Lenin nad jeziorem Razliw”. Skądinąd walczący o tzw. prawa mniejszości w świetle tych rewelacji mogliby wziąć Lenina na patrona swoich poczyni.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor



MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA

Polskie okno na świat

Około 30 proc. produktów, którymi handluje się na całym świecie, transportowanych jest w kontenerach. Globalny poziom wzrostu rynku intermodalnego, czyli transportu przy użyciu zróżnicowanych środków, w tym statków, wynosi 4,7 proc., a w Polsce nawet 16 proc. Transportowanie towarów ultrakontenerowcami obniża poziom zużycia paliwa w transporcie morskim o blisko 40 proc., a emisję dwutlenku węgla o ponad połowę.

Większość polskich nabrzeży portowych pozostawała do tej pory w rękach zagranicznych inwestorów, a najnowocześniejszy z nich – terminal kontenerowy w Gdańsku – z racji swoich rozmiarów nie jest w stanie sprawnie obsługiwać wszystkich potencjalnych klientów. Ograniczeniom w infrastrukturze od wielu lat niezmiennie towarzyszyły liczne kontrole i utrudnienia fiskalne spowalniające transport odmiennie, niż się to dzieje w np. w Hamburgu lub w Rostoku. Z uwagi na niższe koszty i sprawniejszą logistykę wielu importerów decyduje się na transport towarów via niemieckie porty, a nie polskie, mimo że te ostatnie są bliżej położone. Różnica obrotów pomiędzy portem w Hamburgu a jego gdańskim odpowiednikiem jest ogromna i w 2014 r. wynosiła odpowiednio: 145,7 mln ton i 32 mln ton.

Deepwater Container Terminal (DCT) w Gdańsku to najszybciej rozwijający się port kontenerowy w Europie, jeden z 15 największych europejskich portów towarowych i jedyny terminal głębokowodny w regionie basenu Morza Bałtyckiego. DCT Gdańsk jest zlokalizowany na przecięciu bałtyckich szlaków handlowych i ma strategiczną pozycję jako główna brama na rynek Polski i region Europy Środkowo-Wschodniej. Terminal ten charakteryzuje się najszybszym czasem transportu towarów z Dalekiego Wschodu, który wynosi 32 dni na trasie Szanghaj–Gdańsk.

Dzięki staraniom rządu PiS w najbliższym czasie 100 proc. udziałów DCT Gdańsk zostanie objętych przez Polski Fundusz Rozwoju (PFR) i dwóch zagranicznych partnerów – globalną grupę portową Peugeot Société Anonyme (PSA) oraz fundusz Investment Fund Managers (IFM). Konsorcjum z polskim udziałowcem w składzie chce zainwestować w DCT Gdańsk ok. 2 mld zł w ciągu czterech lat. Celem jest uczy-

nienie go największym terminalem kontenerowym na Bałtyku. Do 2021 r. terminal ma osiągnąć łączną przepustowość 3 mln kontenerów. Premier Mateusz Morawiecki stwierdził, że w powszechnej świadomości nazwa DCT Gdańsk nie jest tak rozpoznawalną marką jak Orlen, PKO, Lotos czy KGHM, ale to właśnie gdański terminal kontenerowy jest gospodarczo największym polskim oknem na świat.

PS Przykład planowanego przejścia i rozbudowy DCT Gdańsk jest jednym z licznych dowodów na to, że rząd Zjednoczonej Prawicy dokłada wszelkich starań, by wdrażać prorozwojowe idee i koncepcje dla Polski, których wielkim propagatorem był śp. prezydent Lech Kaczyński – o czym przynajmniej w szeroko pojętym obozie patriotycznym powszechnie wiadomo. Z ogromną przykrością i zaskoczeniem odnotowałam w jednym z ostatnich numerów tygodnika uchodzącego za prawicowy wyjątkowo obelżywy względem moich Rodziców komentarz autorstwa pewnego znanego pisarza, którego przytaczać w tym miejscu nie jestem w stanie. 

Prestiżowe nagrody dla autorów „Sieci”



Jerzy Jachowicz



Wojciech Biedroń

Konkurs Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich na najlepsze materiały w polskich mediach, uznawany w środowisku za najważniejszy, także w tym roku okazał się udany dla autorów tygodnika „Sieci”.

„Laur Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich” za rok 2018 przyznano Jerzemu Jachowiczowi za – jak wskazano w uzasadnieniu – odwagę i wyznaczanie standardów dziennikarstwa śledczego w wolnej Polsce oraz za to, że „ryzykował wiele, zajmując się tajemnicami byłych już esbeków i mafii”.

Redaktor Wojciech Biedroń został laureatem najważniejszej, Głównej Nagrody Wolności Słowa, która przyznawana jest „za publikacje w obronie demokracji i praworządności, demaskujące nadużycia władzy, korupcję”. Uznanie jury zyskał artykuł „Jak mafia rządziła Warszawą”.

Pełną listę nagrodzonych znajdują państwo na portalu wPolityce.pl. Serdecznie gratulujemy!

Zebrała **Dorota Łosiewicz**

Wyjść po angielsku

Minister ds. europejskich we francuskim rządzie Nathalie Loiseau nazwała swojego kota Brexit. Zwierzak miał sobie zasłużyć na to miano, ponieważ siedzi w otwartych drzwiach i miauczy, że chce wyjść. Pani minister trzeba pogratulować poczucia humoru i przyznać, że określenie wyjść po angielsku zasadniczo zmieniło znaczenie. Z wyjść tak, by nikt tego nie zauważył, na wyjść z takim hukiem, że na pewno nikt tego nie przeoczy.



**800
mln zł**

– tyle wyniósł po lutym tego roku deficyt budżetu państwa. To 2,8 proc. założonego na 2019 r. planu
– podał resort finansów.

3.00

– na tę godzinę z 2.00 przesunemy zegarki z soboty na niedzielę 31 marca, aby z czasu zimowego przejść na letni.

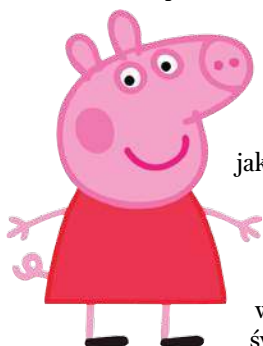
**800
tys.**

– tyle osób skorzystało do tej pory z profilu zaufanego, by sprawdzić swój e-PIT; od początku marca niemal 200 tys. osób założyło profil
– informuje Ministerstwo Cyfryzacji.

Peppa pod ostrzałem

Znana i lubiana bajka „Świnka Peppa” znalazła się w ogniu krytyki środowisk postępowych. I to wcale, przynajmniej tym razem, nie dlatego, że rodzinę tworzą tam mama, tata i dwójka dzieci, ale z powodu użycia określenia „strażak”. Londyńska straż pożarna skrytykowała popularny program telewizyjny dla dzieci, stwierdzając, że słowo »strażak« (ang. fireman) to »przestarzały stereotyp płciowy«, który szkodzi próbom zatrudnienia większej liczby strażaków płci żeńskiej. Zamiast tego jej zdaniem używać się powinno słowa »firefighter«.

Odcinek, który został poddany krytyce, nosi tytuł »The Fire Engine« i zaczyna się od słów narratora: »Mama Świnka jest ubrana jak strażak (fireman)« – czytamy na rp.pl. Podobno używanie nieaktualnych stereotypowych sformułowań dotyczących płci uniemożliwia młodym dziewczętom zostanie strażakami. Jeśli to są wszystkie problemy strażaków w dzisiejszym świecie, to chyba trzeba się cieszyć.



Poszkodowani

Prowadzący w jednej z miejskich bibliotek w USA lekcje dla dzieci „Drag Queen Storytime” („Opowieści drag queen”) okazał się skazanym za przestępstwa seksualne pedofilem. Prawdę odkryła grupa rodziców pro-life z Houston w Teksasie, a o sprawie pisze m.in. pch24.pl Ciekawe, czy posłanka Scheuring-Wielgus wpadnie na pomysł założenia stowarzyszenia poszkodowanych przez drag queen. Szczerze wątpię.



Ostał się ino Wurst

Conchita Wurst, która w 2014 r. wygrała konkurs Eurowizji, nie będzie już dłużej „kobietą z brodą”. Drag queen zapowiedziała, że teraz będzie po prostu Wurstem, i przywdziała polyskujący, obcisły kombinezon, który zakrywa całe ciało. Zniknęły suknie, makijaż, broda, długie włosy, a nawet... twarz. Cała zmiana, a jakże, wiąże się z promocją nowego projektu muzycznego Wurst. Czyli miałaś, babo, brodę, miałaś, chłopie, biust, ostał ci się ino Wurst.



„Nie pamiętam, by ktokolwiek z branży stalowej czy paliwowej starał się do mnie dotrzeć z informacjami o problemach z wyłudzeniami” – zeznał przed komisją śledczą ds. VAT Paweł Graś, były sekretarz stanu w kancelarii premiera. Aha, czyli afery VAT-owskiej nie było

Organizm zmodyfikowany

Światem wstrząsa nowa moda. Ludzie już nie tylko modyfikują swoje ciała tak, żeby zgadzały się z odczuwaną przez nich płcią (o ile ta nie pokrywa się z tym, co zafundowała im matka natura), lecz modyfikują je tak, by po prostu zaskakiwały. Mieliliśmy już rozszczepienie końcówki języka czy barwienie gałek ocznych oraz okaleczanie się, by powstały wymyślne bliźny. Okazuje się, że to wszystko jest już passé. Wprost.pl donosi o nowej modzie. Chodzi o usuwanie muszli ucha, czyli środkowej części małżowiny. „Przykład takiego zabiegu na swoim koncie na Instagramie zaprezentował Chai Maibert, zawodowo zajmujący się tego typu zabiegami”. Wyglądajmy śmiało, który wpadnie na pomysł, by usunąć sobie połowę mózgu lub całą głowę. To dopiero będzie ubaw.

Fot. Andrzej Wiktor, Shutterstock (cz), mat. prasowe, instagram.com

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Emigracja na Podkarpacie

Z decentralizujemy Polskę! Dajmy więcej władzy samorządowym województwom! Niech Pomorze ma prawo finansować in vitro, a Podkarpacie zakazać aborcji! Z taką propozycją wystąpiła na łamach „Rzeczpospolitej” trójka naukowców, z cenionym przeze mnie politologiem i historykiem prof. Antonim Dudkiem na czele.



**Dominik
Zdort**

Autorzy streszczonej powyżej koncepcji uważają, że pozwoli ona uniknąć sytuacji, gdy władza centralna narzuca głęboko podzielonemu społeczeństwu swoje „jedynie słuszne” poglądy.

Polska jest tradycyjnie państwem unitarnym, z silną władzą centralną. Tę cechę osłabiły dwie decyzje, jakie podjęliśmy po 1989 r.: wstąpienie do Unii Europejskiej i reforma tworząca 16 dużych samorządowych regionów – co stopniowo osłabia państwo. Koncepcja trójki naukowców idzie jeszcze dalej, daje bowiem władzom wojewódzkim kompetencje ustrojowe, uprawnienia parlamentu i rządu.

Pytanie, czy w Europie, w której widać powrót do myślenia w kategoriach interesów narodowych, takiej osłabionej Polsce będzie łatwiej sobie radzić. Trójka naukowców wprawdzie twierdzi, że chciałaby przenieść na samorządy decyzje nie w sprawach polityki zagranicznej, ale w kwestii idei i moralności, lecz oczywiste jest, że za podziałem ideowym z natury rzeczy przyszedłby polityczny.

Warto też zauważyć, że akurat wymienione przez autorów kwestie – in vitro, aborcja, przywileje dla LGBT – to tematy misyjne, dotyczące wartości. Zwolennicy Polski „progresywnej” nie ustąpią, zanim nie zmuszą wszystkich czterolatków do nauki masturbacji, a przeciwnicy eutanazji będą zabiegać o jej zakaz nie tylko w całym państwie, lecz również za granicą. Decyzja, aby oddać te tematy w ręce każdego województwa z osobna, dla żadnej ze stron nie byłaby do przyjęcia.

Na koniec – co z takimi odmieńcami jak ja? Od pół wieku mieszkam w Warszawie i nadal nie podzielam libertyńskich poglądów większości moich sąsiadów. Nie chciałbym, aby moje dzieci przekonywano w szkole, że para gejów jest tak samo normalna i wartościowa jak małżeństwo mężczyzny oraz kobiety. Nie chciałbym też, aby kiedyś jakiś lekarz zapewnił mi „godną śmierć” za pomocą zastrzyku z pentobarbitalu.

Co mam zrobić, jeśli samorządowcy w „progresywnym” amoku zgodzą się na związki partnerskie i eutanazję na Mazowszu, a państwo polskie nie będzie w stanie ich powstrzymać, bo zrzeknie się swoich kompetencji? Mam emigrować za granicę, na Podkarpacie?

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

RZECZY POSPOLITE

Równanie w dół

We Francji rezygnuje się praktycznie z nauczania dzieci matematyki. Wystarczy, że przemnożą, dodadzą, odejmą i tyle – tak stwierdzili spece od edukacji i wychowania młodego pokolenia nad Sekwaną. U nas królowa nauk mają już nie być przedmiotem obowiązkowym na egzaminie dojrzałości – o takiej propozycji się mówi. W sumie, jak się dobrze zastanowić, to nie za bardzo mi się przydają w życiu całki i funkcje, którymi byłem dręczony przez ciało pedagogiczne w liceum. Może więc słusznie? – przyszło mi do głowy. Ale z drugiej strony cały ten, wydawałoby się na pierwszy rzut oka, niepotrzebny balast wiedzy ogólnej składał się zawsze na pewien multidyscyplinarny poziom wykształcenia i erudycji człowieka po maturze, który wiedział, kim był Juliusz Cezar, potrafił wymienić organizm jednokomórkowy, mógł podać wzór chemiczny (najpopularniejszy to C_2H_5OH) albo wreszcie wyliczyć pole trójkąta.

Gdy zajrzeć dalej w głąb dziejów, to nauka w szkołach przynosiła kiedyś jeszcze większe obciążenia – znajomość łaciny i greki czy biegłość w mitologii oraz wiedza o arcydziełach dawnych mistrzów malarstwa i literatury.



**Tomasz
Łysiak**

Wszystko to – jak za zdmuchnięciem ekranu LCD – obróciło się w proch i niebyt. Będziemy coraz głupszy.

Czasem bierze przerażenie, gdy się widzi filmy pokazujące dramatyczny stan niewiedzy młodych ludzi, którzy na pytanie w ankiecie ulicznej, np. „Kto napisał »Boską komedię« Dantego?” odpowiadają: „Nie wiem” lub otwierają szeroko usta ze zdziwienia, słysząc prośbę o podanie autora „Dziadów” Mickiewicza.

Kiedys śmialiśmy się z Amerykanów, którzy kończąc szkoły, nie znali najistotniejszych faktów z historii i mieli zerową wiedzę z geografii. Dzisiaj choroba zidiocenia kolejnych pokoleń rozwija się w zastraszającym tempie.

Pewna młoda dziennikarka radiowa, z którą miałem styczność jakiś czas temu, nie знаła słowa „Wersal”. Nie wiedziała, co to jest, z czym można taką nazwę skojarzyć, a tym bardziej, jakie może mieć przenośne znaczenie. Ukończyła studia polonistyczne z tytułem magistra. Było to przerażające. Oznaczało jakiś straszny problem związany z ciągłym obniżaniem poziomu nauczania i wymogów stawianych ludziom kończącym szkoły. Oby nie było jeszcze gorzej.

„Osiem dni” plus

To nieszczęście urodzić się Polką czy Polakiem, ale bywają gorsze rzeczy, bo za kilka dni ma uderzyć w Europę wielki meteoryt, akurat nie w Tworki pod Warszawą, lecz daleko od naszej zachodniej granicy. Spanikowani Niemcy więc uciekają do Rosji. Niestety, po drodze mają do pokonania nas: naród cofniętych w rozwoju chamów, śmierdzieli, kocmołuchów z obrazkiem Matki Boskiej przy kiblu, ochlapusów, gwałcicieli, złodziei i morderców. Taki w każdym razie poszedł w świat poprzez kanał HBO nasz zbiorowy portret w niemieckim serialu „Osiem dni”. I lament się rozległ jak Polska długa i szeroka, że w oczach Niemców to u nas syf, malaria, kiła, mogiła i mucha tse-tse...

A bo to pierwszy raz nas tak malują? A serial „Nasze matki, nasi ojcowie”, w którym prócz wymienionych cech mamy jeszcze gębę żydożerców? Mogę też przypomnieć nieco starsze, jak niby-komedia „Polka weselna”, 90-minutowy koncentrat niemieckich stereotypów o nas, czy film tego samego gatunku „Ożeń mi”: dla Niemców, którzy zrobili sobie wypad do Polski, wjechał na taśmę produkcyjnej w zrujnowanej fabryce rząd Polek śniących, że któryś z dojczyków weźmie je tam, gdzie wszystko jest lepsze ponad wszystko. Goście wiedzieli, co z nimi zrobić,

bo „słowo Slavin (Słowianka) pochodzi od Sklavin (niewolnica)” i „same się o to proszą”...

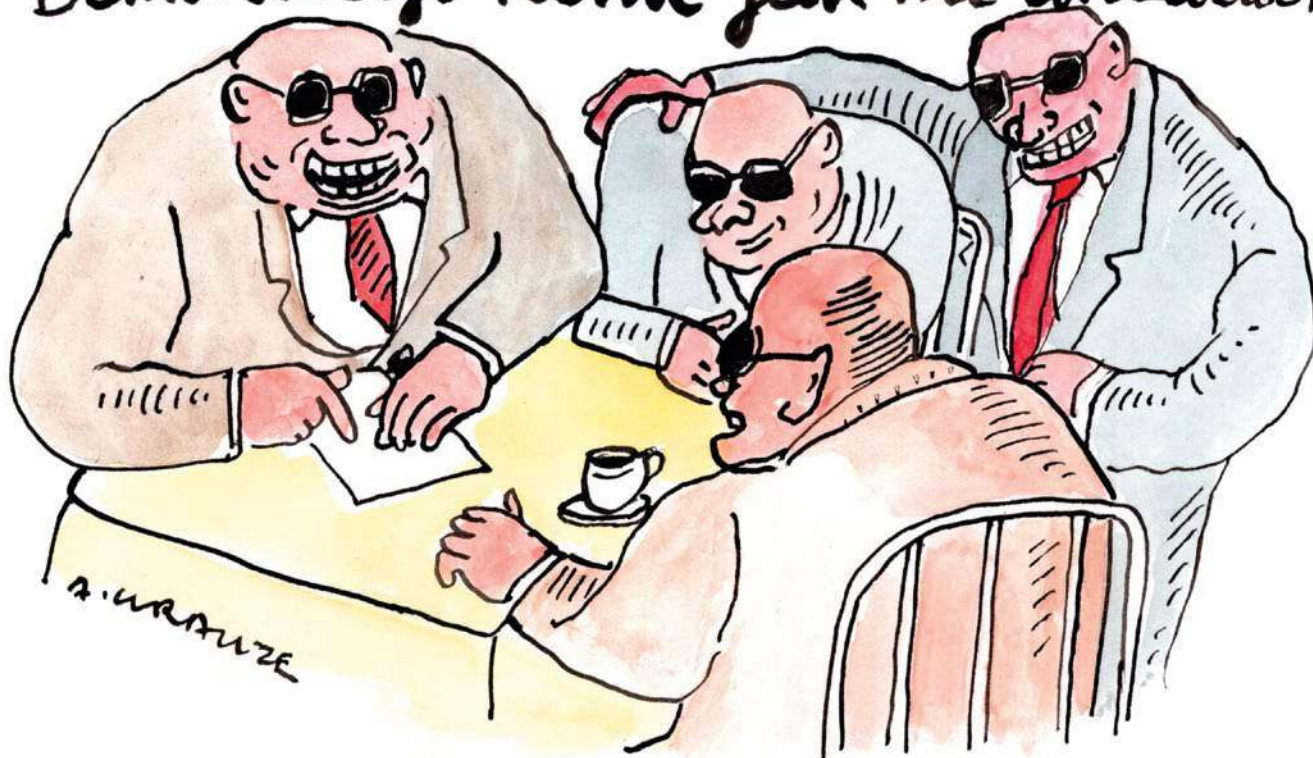
O podobnych perłach niemieckiej kinematografii mogę długo, ale trudno nie wspomnieć wielkiej fali Polenwitez, czyli antypolskich kawałów, z których zachęta z telewizyjnego „Late Night Show” (Sat 1), wymyślona podczas powodzi stulecia: „Można już jeździć do Polski, wreszcie jest tam bieżąca woda!”, należy do łagodniejszych. A reklamy radiowe i telewizyjne, jak ta sieci MediaMarkt z „polskimi złodziejami”, którzy puścili personel tych sklepów w gaciach? A dyfamująca akcja „Bilda”, który podczas mundialu i mistrzostw Europy w piłce kopanej publikował „Zestaw najlepszych Polenwitez”, np. z zagadką: „Co powstanie ze skrzyżowania Polaka z pajakiem? Ośmioręczny parobek dla niemieckich chłopów”... Oj, było tego, było.

Ot, trzy dekady dobrosąsiedztwa w tzw. masowym przekazie. Każde uogólnienie jest krzywdzące, nie wszystkich Niemców to bawi, są i krytyczni wobec takiej twórczości. Ale choć jako ten „Pole-Kathole” nie życzę nikomu źle, po najnowszej dawce z „Ośmiu dni” myślę sobie: może jednak niech uderzy ten meteoryt, przybędą, zobaczą, może się czegoś nauczą? Pytanie tylko, czy wróć...



**Piotr
Cywiński**

Ty z ubecji, ja z ubecji i Komitet Obrony
Demokracji rośnie jak na drożdżach!



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI
E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00, (22) 718 30 61, (22) 463 49 95
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY:
ŁUKASZ ADAMSKI, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, ADAM CIESIELSKI,
PIOTR CYWILSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSSETTE,
MARCIN FIJOLEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-
ZADWORNIA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSZYNA GRZYBOWSKA,
JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-
ZIELIŃSKA, JACEK KARŃOWSKI, MICHAŁ KARŃOWSKI, KONRAD
KWIATKOWSKI, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSAK, RYSZARD
MAKOWSKI, MAJA NARBUŃT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ
PAWLIŃSKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ

POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA,
ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDLECKI, WOJCIECH
STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIEŁUK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW
WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT,
ANDRZEJ ŻYBERTOWICZ

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR,
JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE:
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI – KIEROWNIK
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
MACIEJ MAJTCZAK, LIDIA SŁOWIKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA:
ANNA ŁABECKA, ANNA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKĄ ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS



WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
01-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN Oraz WARUNKI PRENUMERATY
NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL

**WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY
DOKONYWAĆ NA KONTO:**

91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128,
01-472 GDYNIA,

W TYTUŁE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE
ADRESOWE DO WYSYŁKI Oraz RODZAJ
PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI
PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ
BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA
ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.
PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI
Klienta „RUCH” POD NUMERAMI: 22 693 70 00
LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE
W GODZINACH 7⁰⁰ – 17⁰⁰.

KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KAKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOZNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JEZYKI OBCE).
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
BEZUMIOWA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNA.



FOT. NA OKŁADCE: PAPUŁEK TURCZYK

Anglicy znaleźli trotyl

W próbkach pobranych z wraku Tu-154M znaleziono ślady materiałów wybuchowych. To sensacyjny wniosek z częściowych badań brytyjskiego laboratorium współpracującego z Prokuraturą Krajową. Co oznacza taki wynik? Czy uprawdopodobnia tezę o wybuchu na pokładzie tupolewa? Jak wpłynie na dalsze śledztwo w sprawie katastrofy smoleńskiej? Co jeszcze dzieje się w tym postępowaniu?

To informacja skrywana przez śledczych. Dowiedzieliśmy się jednak, że przed kilkoma tygodniami do polskiej prokuratury nadeszło pismo informujące o cząstkowych wynikach badań prowadzonych w Forensic Explosives Laboratory (FEL), podległej brytyjskiemu ministerstwu obrony jednostce specjalizującej się w badaniach kryminalistycznych związanych z materiałami wybuchowymi.

Angielscy eksperci przebadali kilkadziesiąt spośród ponad 200 próbek przekazanych przez Prokuraturę Krajową w maju 2017 r. Na zdecydowanej większości z nich znaleziono ślady substancji używanych do produkcji materiałów wybuchowych. Jak się dowiadujemy, chodzi o trotyl, ale też inne składowe. Prokuratura nie chce komentować tych rewelacji, jednak nasze ustalenia potwierdziliśmy u kilku źródeł.

Dodajmy jeszcze, że zgodnie z umową zadaniem brytyjskiego laboratorium nie jest interpretacja wyników badań, lecz przede wszystkim odpowiedź na pytanie, czy w przekazanych próbkach znajdują się ślady materiałów wybuchowych. Już wiemy, że brzmi ona: tak.

FEL jest częścią DSTL (Defence Science and Technology Laboratory), ośrodka o międzynarodowej sławie. W przeszłości zajmował się on m.in. badaniem materiału z katastrofy samolotu Pan American, który w wyniku zamachu bombowego spadł w 1988 r. na szkockie Lockerbie. Wśród głośnych spraw, jakie DSTL badał w XXI w., są m.in. zamach terrorystyczny w Londynie w 2005 r. czy próba otrucia byłego współpracownika brytyjskiego wywiadu Siergieja Skripała. To właśnie w DSTL poddano badaniom substancję nowiczok, użytą w celu uśmiercenia byłego pułkownika GRU.

CO TO OZNACZA?

Jakie znaczenie dla śledztwa i ustalenia przyczyn katastrofy ma informacja o odnalezieniu za granicą śladów trotylu oraz innych substancji? Kolosalne. Choć na stawianie ostatecznych hipotez wciąż jest za wcześnie. Przed laty w tej sprawie kuszono się o definitywne rozstrzygnięcia, mimo że materiał dowodowy mocno je podważał. Dlatego warto się wstrzymać z jednoznacznymi opiniami do momentu przeprowadzenia wszystkich analiz.

Trudno stwierdzić, kiedy może to nastąpić. Anglicy dotychczas przebadali mniej niż połowę z dostarczonego im materiału. Swoje analizy – na innych próbkach – prowadzi



MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

jeszcze laboratoria w Belfascie i w Rzymie (jako jedyni dziennikarze z Polski przyglądaliśmy się pracy włoskich karabinierów, opisaliśmy je w „Sieci” nr 33/2017). Gdy spłyną wszystkie wyniki, prokuratorzy zajmą się ich interpretacją. Być może tylko w tym celu powołają kolejnych specjalistów z zagranicy. To standardowa praktyka.

Warto zaznaczyć, że śledztwo smoleńskie nie skończy się szybko. Jeśli bowiem weźmiemy pod uwagę, ile mogą potrwać dalsze analizy kryminalistyczne w zagranicznych laboratoriach, a także to, że amerykańscy eksperci od badania katastrof lotniczych (o czym za chwilę) dopiero rozpoczynają pracę, trzeba się liczyć z tym, że postępowanie potrwa jeszcze nawet kilka lat.

Jednak informacje, które spłynęły z Kent, pozwalają zupełnie inaczej spojrzeć na dawne ustalenia śledztwa prowadzonego przez wojskową prokuraturę. Kwestia odnalezienia materiałów wybuchowych była jedną z najszerzej komentowanych. I nic dziwnego, bo związana jest z bezpośrednią przyczyną katastrofy. Przypomnijmy, po raz pierwszy o odnalezieniu trotylu dowiedzieliśmy się z artykułu Cezarego Gmyza w „Rzeczpospolitej” w 2012 r. Po tej publikacji dziennikarz został zwolniony, a razem z nim z redakcji tygodnika „Uważam Rze” odeszła zdecydowana większość autorów.

Wówczas dowiedzieliśmy się, że w czasie pobytu w Smoleńsku prokuratorów i techników policyjnych w 2012 r. przenośne detektory materiałów wybuchowych wskazywały na wielu fragmentach wraku obecność trotylu i innych materiałów wybuchowych. Prokuratura tłumaczyła później, że to zawodne urządzenia, które mogły w taki sam sposób reagować np. na... pastę do butów. Co innego twierdził wówczas ich producent, wskazując, że to sprzęt, który się nie myli.

PROBLEM DLA CLKP

Dużą wagę ma to, że próbki, które wysłano do brytyjskiego DSTL, to te same, którymi w 2013 r. zajmowało się polskie Centralne Laboratorium Kryminalistyczne Policji. Nie odnalazło ono śladów materiałów wybuchowych. Można więc wysnuć jasny wniosek: angielskie badania podważają ekspertyzy prowadzone przed kilkoma laty w CLKP. W tygodniku „Sieci” (nr 25/2014) opisaliśmy, w jaki sposób „skręceno” te badania.

Po pierwsze, przyjęto wówczas przedziwną metodologię pracy. Założono, że obecność materiału wybuchowego w danej próbce będzie można uznać pod warunkiem, że

potwierdzi się to w każdej z czterech metod chromatograficznych (GC/TEA, GC/MS, GC/ECD, HPLC/DAD) zastosowanych do badań. Jednak owe cztery metody do siebie nie przystawały, co ujawnili na naszych łamach niezależni eksperci, wybitni specjaliści od identyfikacji związków organicznych, nieżyjąca już prof. Krystyna Kamińska-Trela i prof. Sławomir Szymański. Wskazywali, że za bardzo różnią się czułością i selektywnością. Co więcej, jak informowaliśmy w tygodniku „Sieci”, Łukasz Matyjasek i Wojciech Pawłowski, biegli prowadzący w CLKP badania smoleńskich próbek, w czasie wykładu seminaryjnego na Uniwersytecie Warszawskim w listopadzie 2014 r. stwierdzili, że metoda GC/MS (Mass Spectrometry) bywa zawodna. Na dowód pokazali film z kontrolowanego wybuchu materiału heksogenowo-trotylowego, po którym badanie GC/MS dało wynik negatywny, a tylko metoda GC/TEA (Thermal Energy Analyser) potwierdziła użycie wspomnianych substancji. Jak więc ci sami pracownicy CLKP, dysponujący taką wiedzą, mogli przyjąć absurdalne założenie, że wszystkie cztery metody muszą dać pozytywny wynik, aby potwierdzić znalezienie środków wybuchowych? Cel był jasny: przeprowadzić analizy tak, aby nic nie wykryć. Badacze z CLKP nie wiedzieli, że ich wykładu słucha również dziennikarz od lat zajmujący się katastrofą smoleńską. Gdyby mieli tego świadomość, być może nie obnażyliby swoich kombinacji.

Na zdecydowanej większości z 200 próbek przekazanych przez Prokuraturę Krajową w maju 2017 r. laboratorium podległemu brytyjskiemu ministerstwu obrony odkryto ślady substancji używanych do produkcji materiałów wybuchowych

Po drugie, wyniki badań, które policyjni laboranci dostarczyli prokuratorom, zawierały inne manipulacje. Drobiazgowo opisywaliśmy sprawę chromatogramów (wykresów odnoszących się do każdej badanej próbki) wyrysowanych przy metodzie GC/TEA, w których charakterystyczne „piki” (skoki krzywej) CLKP zinterpretowało jako świadectwo obecności ftalanów, węglowodorów, terpenów czy estrów kwasu fosforowego. Rzecz w tym, że żadna z tych substancji nie zawiera azotu, a detektor GC/TEA reaguje wyłącznie na obecność związków z tym pierwiastkiem. Prof. Kamińska-Trela i prof. Szymański potwierdzili to u producenta sprzętu, z którego korzystało CLKP. Co więc wskazywały „piki”? Według niezależnych ekspertów były to sygnały charakterystyczne dla RDX, czyli heksogenu,

substancji wykorzystywanej do produkcji wielu materiałów wybuchowych, m.in. C4. Owe sygnały wystąpiły w ponad 100 badanych próbkach!

Po trzecie, również metoda GC/ECD (Electron Capture Detector) miała aż w 150 próbkach wykazać sygnały zgodne z wzorcem RDX. Ten fakt biegli z CLKP po prostu zignorowali.

Te manipulacje tuszowali ówczesny szef CLKP Waldemar Krawczyk (z wykształcenia chemik) oraz prokuratura wojskowa, która nie zainteresowała się w należyty sposób dostarczonymi jej przez pełnomocnika rodzin mec. Piotra Pszczółkowskiego kolejnymi opiniami wspomnianych profesorów chemii.

Nie sposób nie stawiać pytań: czy wobec wyników badań w Wielkiej Brytanii ktoś wróci do „ustaleń” CLKP? Czy ktokolwiek odpowie za torpedowanie śledztwa wyjaśniającego przyczyny śmierci prezydenta RP i towarzyszącej mu delegacji?

POMOC Z ZACHODU

Podkreślmy raz jeszcze: od stwierdzenia, że znaleziono ślady materiałów wybuchowych, do ustalenia przyczyn katastrofy droga jest jeszcze daleka. Trzeba znaleźć precyzyjną odpowiedź na pytanie: jeśli rzeczywiście coś wybuchło, to co, gdzie i za czyją sprawą. Nad tym śledczy wciąż pracują. Nie sami, lecz z pomocą uznanych ekspertów z zagranicy.

Przed kilkoma dniami prokuratorom udało się dopiąć umowę z zespołem ekspertów pod kierownictwem prof. Goonga Chena z Texas Agricultural and Mechanical University, wybitnego matematyka, który kierował grupą badaczy opracowujących symulację katastrofy malezyjskiego samolotu MH370, a także zasymulował katastrofę maszyny Germanwings, która zdarzyła się we francuskich Alpach w 2015 r.

Obok Chena w zespole znajdzie się m.in. Robert Benzon, doświadczony badacz katastrof lotniczych z amerykańskiej NTSB (National Transportation Safety Board, Narodowej Rady Bezpieczeństwa Transportu), który pracował przy wyjaśnianiu dziesiątków poważnych katastrof lotniczych w ostatnich dekadach, m.in. boeinga 747 nad Lockerbie, samolotów McDonnell Douglas DC-8 w Ohio i na Florydzie, boeingów 737 w Indiach, Japonii, Afganistanie, Rosji, Indonezji, Anglii, Gujanie, Illinois i Kalifornii, boeingów 747 w Holandii i Anglii, airbusa 320 w Hondurasie czy airbusa A340 w Kanadzie. Jednym z jego ostatnich ważnych zadań w kraju było prowadzenie postępowania w sprawie wodowania airbusa A320 US Airways na rzece Hudson.

Innym członkiem zespołu jest Richard A. Marquise, były wyższy oficer śledczy FBI, specjalista ds. ścigania karnego i terroryzmu, który kierował amerykańską grupą zadaniową pracującą na miejscu katastrofy w Lockerbie i później w trakcie procesu sądowego dotyczącego tego zamachu.

Prof. Chen będzie współpracował również z Philipem J. Morrisem, profesorem inżynierii lotniczej z Pennsylvania State University, Jamesem Thurmanem, specjalistą ds. materiałów wybuchowych, b. agentem specjalnym FBI i wieloma innymi ekspertami, których udało się pozyskać do pomocy



w śledztwie, a o których poszukiwanie nawet nie pokusiła się prokuratura wojskowa.

Trwa już przekazywanie materiałów, na których pracować będą specjaliści z zespołu prof. Chena. Ich zadaniem będzie wydanie interdyscyplinarnej opinii o przyczynach katastrofy, uwzględniającej różne dziedziny nauki i wszel-

kie aspekty tragedii smoleńskiej (o swoim zaangażowaniu w postępowanie smoleńskie opowiadali na łamach „Sieci” nr 12/2018).

Prokuratura podjęła też współpracę z węgierskimi ekspertami od tupolewa z Centrum Naukowo-Badawczego Pharmaflight pod Debreczynem.

CO JESZCZE BADAJĄ

Do Prokuratury Krajowej można mieć pretensje o skromną politykę informacyjną. Rzeczywiście, śledczy w mundurach w latach 2010–2016 częściej wydawali komunikaty, spotykali się z dziennikarzami, ale z ich przekazów niewiele wynikało. Dowiadaliśmy się, ile zgromadzono kolejnych tomów akt, ilu świadków przesłuchano. Materiały puchły, ale brakowało rzeczowych analiz przybliżających nas do prawdy o katastrofie. Gdy takowe się pojawiały, przekręcano ich treść.

Może więc lepiej, że jest ciszej, ale za to bardziej profesjonalnie.

W ubiegłym roku ekipa śledczych wyjechała na miejsce katastrofy. Nie mogli prowadzić własnych badań, niczego dotykać, lecz jedynie wskazywać Rosjanom, jakie fotografie wraku życzą sobie wykonać. Jeszcze w zeszłym roku z Moskwy przysłano te zdjęcia. Nie jest to materiał satysfakcjonujący prowadzących śledztwo, ale prokuratorzy wychodzą z założenia,

REKLAMA

KOKOSZA

GROSZ DO GROSZA

WWW.KOKOSZA.ORG

#UZBIERANE



złóż klasę do projektu



gry i zabawy edukacyjne



gotowe scenariusze do zajęć

Projekt realizowany
z Narodowym Bankiem Polskim
w ramach programu edukacji ekonomicznej

NBP Narodowy Bank Polski

patron honorowy:



MINISTERSTWO
PRZEDSIĘBIORCZOŚCI
I TECHNOLOGII

partner:

FUNDACJA GPW

patroni medialni:

TVP abc



Polskie Radio
dzieciom

**DZIENNIK
GAZETA PRAWNA**

eprasa.pl 6dc9945d0e



Fot. M. Czuchra

Swoje analizy – na innych próbkach – prowadzą jeszcze laboratoria w Belfaście i w Rzymie. W 2017 r. jako jedyni dziennikarze z Polski przyglądaliśmy się pracy specjalistów z laboratorium kryminalistycznego włoskich karabinierów

że lepszy rydz niż nic. Nie skarżą się na zachowanie strony rosyjskiej, bo w przyszłości zamierzają na Siewiernyj wybrać się raz jeszcze, prawdopodobnie z biegłymi.

Wśród innych materiałów, jakie poddawane są analizie, znajdują się zdjęcia, które wykonaliśmy, przygotowując w zeszłym roku reportaż ze Smoleńska („Sieci” nr 37/2018). Wykorzystaliśmy wówczas drona, który odtworzył ścieżkę ostatnich kilkunastu sekund lotu Tu-154M według parametrów zapisanych w rejestratorach samolotu (nieco podniesioną w końcowej fazie lotu dla bezpieczeństwa urzędnika). Dzięki tym filmom po raz pierwszy mogliśmy się naocznie przekonać, w jaki sposób polska maszyna była sprowadzana na pas przez rosyjskich kontrolerów, a właściwie obok pasa... Nasze filmy były też pierwszym tak precyzyjnym zapisem filmowym ukształtowania terenu przed lotniskiem, co może mieć znaczenie przy odwzorowywaniu ostatnich sekund lotu tupolewa.

Jak wiadomo, przed rokiem zakończyły się ekshumacje ciał ofiar katastrofy. Prokuratorzy zarządzili je, by naprawić błędy swoich poprzedników – nasze prawo wymaga, aby wobec niewyjaśnionych przyczyn tragicznej śmierci obywateli polskich przeprowadzić sekcje zwłok. Nawet były prokurator generalny Andrzej Seremet przyznał w grudniu 2016 r., że sekcje zwłok w Moskwie zostały przeprowadzone „niezbyt skrupulatnie”. Powiedzieć, że to delikatne określenie, to niewiele powiedzieć. Dokumentacje z rosyjskich sekcji zostały bowiem co najmniej sfalszowane (opisywano w nich np. organy, które ofiary miały usunięte w wyniku zabiegów medycznych). W dodatku wyszło na jaw, że szczątki pasażerów zostały zbezczeszczone – w ciałach znajdowano śmieci, serce zaszyte w nodze, niedopałek papierosa w płucach...

Dzięki ekshumacjom wszystkich ofiar wyszedł na jaw skandaliczny sposób traktowania zmarłych przez Rosjan. Okazało się, że 69 szczątków pochodzących od 26 osób trafiło do tru-

Śledztwo smoleńskie szybko się nie skończy. Trzeba się liczyć z tym, że postępowanie potrwa jeszcze nawet kilka lat

mien innych ofiar. Osiem ciał zostało w całości zamienionych. Dokonywano zupełnie makabrycznych odkryć, jak np. w jednej trumnie dwóch głów, trzech nóg i czterech miednic.

Do sporządzenia opinii medyczno-sądowych śledczy powołali międzynarodowy zespół biegłych, w którego skład poza polskimi specjalistami weszli też najlepsi europejscy eksperci, m.in. z Danii, Szwajcarii i Portugalii. Łada dzień do Prokuratury Krajowej powinny spłynąć ostatnie dokumenty posekcyjne.

Podsumowując – prokuratorów wspierają naukowcy z Polski i ze świata, doświadczeni badacze katastrof lotniczych i agencji FBI, najlepsze laboratoria kryminalistyczne w Europie, prywatne firmy z branży lotniczej, polska Żandarmeria Wojskowa i służby specjalne. Gdyby to śledztwo było w ten sposób prowadzone od początku, zapewne znalazłbyśmy już odpowiedź na zasadnicze pytanie: co wydarzyło się rankiem 10 kwietnia 2010 r. nad Smoleńskiem?

Choć podkreślamy, że warto czekać na wyniki badań z wszystkich laboratoriów i wszelkie zaplanowane analizy, wiadomości, które dziś nadchodzą z Wielkiej Brytanii, zbliżają nas do rozwiązania zagadki.

Sukces i odważne plany

Z niemałym optymizmem w KGHM rozpoczęto rok 2019

Choć nie wszystkie okoliczności były sprzyjające, a czynniki zewnętrzne niekiedy nastrajały optymistycznie, zakończony właśnie audyt potwierdził słuszność linii obranej przez zarząd KGHM Polska Miedź SA. Świadczą o tym wyniki, które zaprezentowała dolnośląska spółka. W skali rocznej zanotowano wzrost o 0,82 proc., łączny przychód wyniósł 20,526 mld zł, a zysk netto 1,658 mld zł, co daje poprawę wyniku o 8 proc. w porównaniu z 2017 r. To jednak nie koniec sukcesów.

WYŻSZE WSKAŹNIKI

– Założony dla spółki na 2018 r. plan produkcji miedzi elektrolitycznej przekroczyliśmy o 1,6 proc., zanotowaliśmy również wyższą o 2 proc. produkcję srebra. Doskonała realizacja założeń spowodowała wyższą o 1,7 proc. sprzedaż naszych produktów – mówi prezes zarządu KGHM Polska Miedź SA Marcin Chludziński.

Na sukces złożyły się głównie podejmowane przez zarząd strategiczne decyzje. To uruchomienie inicjatyw rozwojowych, podpisanie nowych długoterminowych umów z partnerami czy przegląd aktywów w Polsce i za granicą miały największy wpływ na osiągnięte rezultaty.

– Przyjęte wskaźniki – EBITDA Grupy Kapitałowej KGHM oraz EBITDA dla KGHM Polska Miedź SA – przekroczyły w 2018 r. poziom zaplanowany w budżecie – kontynuuje Marcin Chludziński. Ponadto KGHM jest największym polskim eksporterem m.in. na niezwykle ważny rynek chiński. – Strategiczną pozycję handlową z Państwem Środka potwierdziliśmy, podpisując w listopadzie 2018 r. nowy kontrakt na dostawy katod miedzianych. W ciągu pięciu najbliższych lat dostarczymy firmie China Minmetals pro-

dukty o wartości sięgającej 4 mld dolarów – dodaje prezes KGHM Polska Miedź SA.

GEOPOLITYKA MA ZNACZENIE

Sytuacja na tak newralgicznym rynku jest często uzależniona od splotów wydarzeń o charakterze lokalnym i światowym. W 2018 r., a szczególnie w pierwszym jego kwartale, odczuwano jeszcze skutki awarii pieca z poprzedniego roku w Hucie Głogów.

Z drugiej strony na cenę miedzi wpływały i wciąż oddziaływały wydarzenia geopolityczne, czego doskonałym przykładem jest wojna handlowa między Stanami Zjednoczonymi a Chinami. Na światowe i europejskie rynki rzutuje również sprawa brexitu i wciąż będącego w trakcie przygotowań scenariusza opuszczenia przez Wielką Brytanię struktur Unii Europejskiej.

– Niewiele tego typu podmiotów mamy w kraju. W ciągu pół wieku spółka wyprodukowała 18 mln ton miedzi. Drugie tyle znajduje się pod ziemią – mówi Grzegorz Tobiszowski, wiceminister energii, który odpowiadał na pytania posłów w trakcie posiedzenia sejmowej komisji do spraw energii i skarbu państwa.

CZTERY RAZY „E”

Następne plany KGHM Polska Miedź SA są nie mniej odważne. Te dotyczą szczególnie wyższego przerobu rudy w Sierra Gorda – kopalni odkrywkowej położonej na pustyni Atacama w północnej części Chile. W nowej strategii przygotowanej na lata 2019–2023 nakreślono najważniejsze kierunki rozwoju, które w obiegu zaczęły być popularnie nazywane planem czterech „e”: elastyczność, efektywność, ekologia i e-przemysł. To znak, że globalna firma musi łączyć uniwersalne i światowe tendencje.

Koalicja Głupich Kroków

Koalicja Europejska jest najszerszą dotychczas formą jednoczenia opozycji i jednocześnie największym zagrożeniem dla samej siebie



STANISŁAW JANECKI

Fot. Mateusz Grochocik/East News



Dopiero gdy Koalicja Europejska zaczęła funkcjonować, okazało się, że samo jej stworzenie było znacznie łatwiejsze niż utrzymanie. Przede wszystkim dlatego, że wspólnota programowa jest tak ogólnikowa, iż nie wiadomo, jak koalicja ma się przedstawiać na zewnątrz. Oczywiście spoiwo, jakim jest idea antypis, to za mało. Podobnie jak ogólniki o obrobie Unii Europejskiej przed siłami ją rozsadzającymi. Wtedy jedynym przeciwnikiem Koalicji Europejskiej byłaby Konfederacja KORWIN Braun Liroy Narodowcy. Ale orientowanie się federacji stworzonej przez Grzegorza Schetynę na to ugrupowanie nie tylko by ją marginalizowało, lecz wręcz ośmieszało. Wyborcy Koalicji Europejskiej mogą wprowadzić wiele przekłnąć, ale istnieje granica racjonalności w walce ze zjednoczoną prawicą. Dlatego wymyślanie kolejnych dowodów na dążenie Prawa i Sprawiedliwości do wyprowadzenia Polski z UE napotyka barierę samoosmieszenia. „Jak długo można konia batem bić?” – pytają posłowie Polskiego Stronnictwa Ludowego, najbardziej sceptyczni wobec antypisowskiej histerii. PSL chciałoby być

racjonalne, ale trudno mu się przebić przez ścianę nieracjonalności przede wszystkim w szeregach PO.

Okazało się także, że układanie listy Koalicji Europejskiej najwięcej problemów wywołało w PO. Doszły tu do głosu nie tylko zadawnione urazy Schetyny wobec takich polityków jak Danuta Hübner, Barbara Kudrycka, Bogdan Zdrojewski, Michał Boni, Julia Pitera, Elżbieta Łukacijewska czy Waldy Dzikowski, lecz również skutki wojen frakcyjnych toczonych w Platformie właściwie od 2009 r., a tylko trochę spacyfikowanych, gdy 26 stycznia 2016 r. obecny przewodniczący zaczął rządzić partią. Do tego dochodzą pretensje o oddawanie koalicjantom miejsc, które powinny bezdyskusyjnie przypaść politykom PO, i tu zgodnie wymieniany jest Włodzimierz Cimoszewicz.

ZEMSTA SCHETYNY

Wprowadzić oficjalnie w PO nie mówi się o Schetyńce tak, jak robi to Stefan Niesiołowski (wyrzucony z PO we wrześniu 2016 r.), określający lidera Koalicji Europejskiej jako „żałosną kreaturę, która nie zasługuje na splunięcie, [...] coś

wyjątkowo plugawego”, ale niechć do niego często eksploduje wyzwiskami. Schetyna celowo przedłużał ujawnienie ostatecznej wersji listy, żeby się przekonać, jak reagują ci, którym zrobił łaskę. Wedle moich informacji przewodniczący PO bardzo źle zareagował na penany i poklony oddawane przez Radosława Sikorskiego Donaldowi Tuskowi, gdy już wymieniał byłego szefa MSZ jako jedynekę w województwie kujawsko-pomorskim. Schetyna przełamał swoją niechć do Sikorskiego spowodowaną tym, co mówił o nim w restauracji Amber Room, a co zostało nagrane. Gdy te nagrania ujawniono, Schetyna się wściekł i obiecał, że Sikorski gorzko tego pożałuje. Ówczesny szef MSZ mówił wtedy: „Grzesiu, boczkiem, boczkiem, a jak przychodzi ci do czego, to tchórz. [...] Zero kreatywności. Każdy z nas powinien sobie zdawać sprawę, do czego się nadaje, a do czego się nie nadaje. Idealny numer dwa. [...] Taki knajacki styl trochę. To jest za mało na premiera. On nie czaruje ludzi. Donald ma ten czar, ma ten teflon, ma ten koci zmysł, ma te antenki czule społecznie. Grzegorz niczego z tego nie ma [...], jest takim, no, trochę żulikiem z lwowskich”.



Konferencja liderów Koalicji Europejskiej. Na zdj.: Władysław Kosiniak-Kamysz (PSL), Katarzyna Lubnauer (.N), Grzegorz Schetyna (PO), Małgorzata Tracz (Zieloni), Włodzimierz Czarzasty (SLD), Warszawa, 24 lutego 2019 r.

Sikorski kipł też z frakcji Schetyny, która niby jest wielka, „a tam trzech, k...”. Kpił również z przewodniczenia przez Schetynę sejmowej komisji ds. zagranicznych: „W ogóle nie zaistniał w tej funkcji. [...] Ma to w du...e. [...] Tak naprawdę chodziło tylko o ten gabinet [tzw. pieczęć]”. Potem Sikorski przez wiele miesięcy usiłował Schetynę udobruchać i ogłębnie przeprosić. Po niedawnych hołdach wobec Tuska szef PO się odgraża, że „Sikorski może się jeszcze mocno zdziwić”.

Schetyna bardzo ograniczył wycinanie tych, którzy mu kiedykolwiek podpadli, ale niczego nie zapomniał. Sam sobie nałożył ograniczenia, gdyż żeby politycznie przeżyć, musi wygrać wybory do Parlamentu Europejskiego choćby jednym mandatem. Poza szefem Platformy inni politycy tego ugrupowania twierdzą, że przegrana jednym mandatem też nie byłaby tragedią, ale sam przewodniczący uważa, iż porażkę wykorzystają jego przeciwnicy w partii, a przede wszystkim Tusk. Dlatego nie może przegrać i dlatego wybacza więcej, niż wybaczał kiedykolwiek wcześniej. Ale to jego miłosierdzie ma swoje granice i nawet jeśli nie wycofa ogłoszonych już kandydatów, może im

Schetyna nie jest w stanie panować nad koalicją tak jak nad PO, więc nie potrafi zmusić różnych polityków tej koalicji do mówienia wspólnym głosem

bardzo utrudnić prowadzenie kampanii. A przede wszystkim dotyczy to Sikorskiego. Wygrana jedynek Koalicji Europejskiej jest ważna, ale gdyby wygrał z nimi ktoś z odleglejszego miejsca, Schetyna wcale by się tym nie zmartwił.

Walki frakcyjne i podjazdowe wojenki między poszczególnymi kandydatami z listy Koalicji Europejskiej bardzo wpływają na przekaz tego federalnego ugrupowania. Niby najważniejsze powinno być walenie w PiS, ale jak to skutecznie robić, gdy dywersanci są we własnych szeregach i z nimi także trzeba walczyć? Jak wynika z tego, co mówią zwolennicy Ewy Kopacz i Donalda Tuska w PO, Schetyna celowo zaostża rywalizację między poszczególnymi kandydatami z koalicyjnej listy, gdyż wtedy to on będzie rozjemcą i panem sytuacji. Ten styl nie podoba się

w PSL i SLD, ale partia Czarzastego ma niewiele do gadania, więc po przewodniczącym Platformy to spływa. Z PSL liczy się znacznie bardziej.

SOJUSZ POKRZYWDZONYCH

Schetyna nie jest w stanie panować nad koalicją tak jak nad PO, więc nie potrafi zmusić różnych polityków tej koalicji do mówienia wspólnym głosem. To dlatego zdarzają się takie wpadki jak deklaracje Pawła Rabiejy w sprawie LGBT i edukacji seksualnej dzieci (eufemistycznie nazywanej antydyskryminacyjną). Odkręcanie tego, co wizerunkowo zepsuł Rabiej i w pewnym sensie także Trzaskowski, zajmuje czas i energię, a przez to nie ma żadnego konkurencyjnego przekazu Koalicji Europejskiej, który dawałby

jej przewagę nad PiS. Do tego dochodzi wynoszenie na zewnątrz animozji wewnątrz koalicji, gdyż tylko w ten sposób pokrzywdzeni mogą opowiedzieć o niesprawiedliwości, która ich spotyka, a niektórzy chcą się po prostu zemścić. Te animozje są zresztą często bardzo stare, jak w przypadku konfliktu między obecnym i byłym szefem wielkopolskich struktur PO Rafałem Grupińskim a Waldym Dzikowskim. Lider koalicji woli mieć więcej nowych ludzi na dobrych miejscach na liście, gdyż tylko oni będą mu wszystko zawdzięczali. Ci, którzy są w Brukseli i Strasburgu od lat, są praktycznie niesterowalni – jak Pitera czy Kudrycka. Od przeciwników Schetyny w PO usłyszałem, że pokrzywdzeni zamierzają podczas całej kampanii dostarczać do mediów informacji o wewnętrznych konfliktach, bo jeśli mają wylecieć z PO, to z hukiem i za coś konkretnego, a nie pokątnie i bez wyraźnego powodu. Chcąc ich uspokoić, niektórym Schetyna obiecuje dobre miejsca w wyborach do Sejmu i Senatu, lecz mało kto ma do niego zaufanie w tej kwestii.

GEN SAMOZNISZCZENIA

Mniejsze ugrupowania Koalicji Europejskiej nie istnieją bez pokazywania swoich odrębnych celów programowych, szczególnie tych budzących kontrowersję, a nawet otwarty sprzeciw, bo tylko w taki sposób mogą politycznie zaistnieć. A to oznacza kolejne wpadki i kłopoty. Ale jeśli nie będą tego robiły, nie wydostaną się z pułapki bycia satelitami, a z czasem wasalami, by ostatecznie rozpuścić się w PO. Partia Teraz Ryszarda Petru nie ma wprawdzie żadnej politycznej wagi, ale nawet w jej wypadku Schetyna nie mógł sobie pozwolić na żadne ekstrawagancje, dlatego wyrazista Joanna Scheuring-Wielgus została wypchnięta z koalicji i będzie startować z listy Wiosny Roberta Biedronia. Politycy z mniejszych koalicyjnych ugrupowań skarżą się, że Schetyna chce im odebrać jakąkolwiek podmiotowość i charakter, a przez to po prostu znikną, nawet gdyby po wyborach chcieli przywrócić poprzedni stan, czyli startować samodzielnie. Koalicjanci zdają sobie sprawę, że szef



Michał Boni pomimo niezadowolenia ze swego miejsca na liście będzie jednak kandydatem Koalicji Europejskiej do Parlamentu Europejskiego

Fot. Andrzej Wiktor

PO chce ich anihilować po wyborach, a początkiem tego ma być zatrzymanie we frakcji Europejskiej Partii Ludowej 90 proc. tych, którzy zdobędą mandaty. W SLD można usłyszeć, że Schetyna chce z jego kandydatów zrobić „użytecznych idiotów”, ale mu się to nie uda. Z kolei bliscy współpracownicy przewodniczącego Platformy chcą się zakładać, że ten plan się uda, gdyż nie ma sensu wiązać politycznej przyszłości z SLD: z jednej strony wchłanianego przez PO, z drugiej – wysysanego przez Wiosnę Biedronia. Czarzasty ma mieć tego świadomość, tylko nie miał innego wyjścia niż wstąpienie do koalicji i uratowanie SLD jeszcze przez kilka miesięcy. W partii panuje jednak powszechne przekonanie, że już w czerwcu 2019 r. padnie hasło: „Sztandar wyprowadzić!”, jak to było z PZPR w styczniu 1990 r.

Tusk, ustawiający się w roli superintendenta, nie kibicuje Schetynie w anihilowaniu mniejszych ugrupowań, gdyż to tylko obecnego przewodniczącego PO wzmacnia. Stały kontakt Tusk podtrzymuje tylko z Władysławem Kosinią-Kamyszem, żeby nim grać wobec Schetyny. Dlatego mamił prezesa PSL stanowiskiem premiera po wyborach parlamentarnych jesienią 2019 r. Gdyby szef Platformy wyraźnie przegrał z PiS wybory do europarlamentu, tylko prezes PSL by na tym skorzystał, o ile w partii nie wybuchnie bunt, co jest możliwe, gdy PSL zdobędzie np. tylko jeden mandat.

Na zewnątrz Koalicja Europejska staje się czymś w rodzaju Ministerstwa Głupich Kroków znanego ze skeczu Monty Pythona, gdyż wiele jest sprzecznych interesów, które wywołują różne paroksyzmy, szczególnie wokół tematów ideologicznych i światopoglądowych. Wewnątrz Koalicja Europejska będzie (już jest) terenem wojen podjazdowych, a w końcu może nawet swego rodzaju wojny domowej. To wszystko sprawia, że może się nie udać prowadzenie jednolitej, skutecznej kampanii, nawet w ostatniej jej fazie. Tym bardziej że koalicja będzie musiała reagować na kolejne wpadki rozsadzające ją od środka (jak LGBT+, seksualizacja dzieci czy zagrożenie dla promocji i matur) oraz dające paliwo Zjednoczonej Prawicy i przeszkadzające w zrealizowaniu jednego wspólnego przekazu. Koalicja Europejska faktycznie jest najszerszą formą jednoczenia opozycji, lecz została tak pomyślana, że jednocześnie jest największym zagrożeniem dla samej siebie. Ma w sobie gen samozniszczenia. I nie musi tego zmienić zapowiadany udział europejskich polityków w polskiej kampanii. To może tylko uświadomić, jak niesamodzielną jest Koalicja Europejska, jak bardzo jest narzędziem w rękach eurokratów, którzy potrzebują polskich mandatów, ale nic poza tym. A Polacy nie lubią ingerencji z zewnątrz w ich wewnętrzne sprawy, tym bardziej tak bezczelnej i absolutnie instrumentalnej, jak zapowiada to np. Frans Timmermans.

Więcej energii na to, co ważne

Grupa Energa realizuje rozwiązania dla odbiorców energii elektrycznej, przewidziane przez ustawodawcę.

Ceny prądu w taryfie G za 1 kWh w 2019 roku pozostają na poziomie cen z 2018 r.

STABILNE

CENY

PRĄDU



Energa



*Jacek Karnowski rozmawia
z prof. **Ryszardem Legutką**,
eurodeputowanym PiS
i kandydatem tej partii w majowych
wyborach do Parlamentu
Europejskiego z Małopolski,
współprzewodniczącym grupy
Europejskich Konserwatystów
i Reformatorów
w europarlamencie*

Rządzący dziś Unią są w panice

Znów mam poczucie, że jestem świadkiem bardzo ważnego procesu, podobnie jak w roku 1980 czy 1989. To jest czas historyczny, który daje może i wątpliwości, ale jednak nadzieję. Uczestnictwo w tym ma coś uwznioślającego

Ciężki bój czeka pana w wyborach do Parlamentu Europejskiego. W Małopolsce o mandaty walczą także Beata Szydło i Patryk Jaki.

Ryszard Legutko: Tak, będzie ciężko, ale podobnie było i pięć lat temu. Trzeba pracować i pokornie czekać na werdykt wyborców. Pokora

jest najważniejsza, bo choćby ostatnie wybory samorządowe pokazały, że nawet bardzo znane nazwiska niczego nie gwarantują.

Czy Zjednoczona Prawica dostanie mandat do rządzenia na kolejne cztery lata? I na ile ważna jest ta

„pierwsza tura”, czyli wybory europejskie?

Wybory do Parlamentu Europejskiego są ważne, ponieważ one zdecydują o dynamice politycznej w kluczowych miesiącach. Jeśli PiS wygra, to zyska bardzo dużo w sferze wizerunkowej. Opozycja, która nazwała

siebie „europejską”, uczyniła z Unii niemalże swoją własność. Dokonała przywłaszczenia. Jeśli wygramy, to ta uzurpacja się rozpadnie.

Stawką jest więc również obalenie pewnych fałszywych kodów, które próbuje się wdrukować społeczeństwu?

Tak. Musimy też pamiętać, że Polska jest nadzieją dla wielu ludzi w Europie, widzą w tym, co robi nasz rząd, ważną alternatywę. To także jest istotna stawka tej batalii.

Czy zjednoczenie się opozycji pod sztandarem Koalicji Europejskiej zaskoczyło PiS? Analitycy sympatyzujący z PiS zakładali, że logika ordynacji skłoni PSL i SLD do samodzielnego startu.

Zgoda, też sądziłem, że partie opozycji się nie dogadają, bo przecież to mandatowe ciastko jest niewielkie, trudno się nim podzielić. Ostatecznie zawarto porozumienie dość ekscentryczne, które też może mieć różne skutki uboczne. W jednej wielkiej drużynie znaleźli się przedstawiciele zarówno reżimu komunistycznego, jak i ówczesnej opozycji. Mamy tam i Leszka Millera, i Jerzego Buzka. To zresztą szczególnie symboliczne zestawienie, bo pamiętamy przecież, jak mocno w latach 1997–2001 ówczesny szef SLD poniewierał ówczesnym premierem.

Liczył mu m.in. zmarłych w czasie zimy bezdomnych.

Tak, to było prawdziwe palowanie. Do dziś pamiętam zgnębiałą, zmęczoną twarz Jerzego Buzka. Teraz jednak idą razem.

Czy tzw. piątka Kaczyńskiego znów poniesie PiS? Oferta jest bardzo hojna, ale z drugiej strony w pewnym sensie ten film publiczność już widziała. Ludzie wsparcie chętnie przyjmą, ale czy podziękują przy urnach?

Słychać takie obawy, bo rzeczywiście druga porcja leku zazwyczaj nie jest tak skuteczna jak pierwsza. Z drugiej strony to jest jednak potwierdzenie tego, że realizujemy obietnice i jeste-

śmy skuteczni. To z kolei daje wiarygodność, rzecz w polityce bezcenna.

W tle toczy się bój o trzecie miejsce, pomiędzy Wiosną Biedronia a ruchem Kukiza. Kto wygra ten wyścig, być może kluczowy dla przyszłości Polski?

Być może nikt. Obie te partie wytracają sympatyków. Wiosna też traci i będzie traciła, bo wyborca lewicowy nie ma powodu, by głosować na Biedronia, skoro postulaty światopoglądowe przejęła Koalicja Europejska. Nie sądzę też, by Biedroń był zdolny do odegrania roli przywódcy czegoś większego, to nie jest ten typ.

Pachnie produktem?

To jest produkt wzmacniany także przez zagranicę, zachwyconą tak postępową propozycją. To jednak Biedronia nie uratuje, on skończy się szybciej niż ruch Palikota.

Zjednoczona opozycja to rzeczywistość zbiór dość ekscentryczny, ale połączony wręcz nienawiścią do PiS. Nie ma dnia bez oskarżenia o fałszyzm, bez porównania partii Kaczyńskiego i jego samego do NSDAP, do Hitlera. Czy tam już nie ma ludzi na tyle uczciwych, by byli zdolni do głośnego powiedzenia, że to absurd i zwykłe kłamstwo?

Wygląda na to, że nie ma. Była minister nauki prof. Barbara Kudrycka w jednej z wypowiedzi użyła sformułowania „trzy lata terroru”. Terroru! Coś niebywałego dzieje się z głowami tych bądź co bądź wykształconych ludzi. Używają słów, których znaczenia zdają się nie rozumieć. Antypisowska furia najwyraźniej niszczyła ich umysły i dlatego wypowiadają opinie tak obezwładniająco głupie.

Są to rządy wręcz ostentacyjnie unikające wrażenia, że wkraczają w sferę wolności, czasem kosztem przyzwolenia na zjawiska ewidentnie złe dla kraju.

Przed wszystkim jesteśmy krajem, w którym wolności jest być może najwięcej w całej Europie. To jest dobre pytanie: co się dzieje z tymi pisarzami, profesorami, aktorami, którzy

te wszystkie głupoty o NSDAP, Stali nie i Berii wygadują? Na te wszystkie idiotyzmy i obelgi dano przyzwolenie. Nie tylko można tak mówić, lecz nawet jest to dobrze widziane: im większe chamstwo i im skrajniejszy absurd, tym większa duma i samozadowolenie. Nobliwe towarzystwo w smokingach zachowuje się jak żulia, ciesząc się, że może wytupać ministra. To ma być oznaka przynależności do plemienia ludzi szlachetnych.

I każdy, kto nie chce wypaść z obiegu, musi tą dzidą rzucić?

Tak, jest w tym coś z pierwotnego rytuału. Smutną konsekwencją jest to, że to chamstwo, które się tak rozpanoszyło, zabija każdą możliwość rozmowy. Jak i o czym rozmawiać z ludźmi, którzy mówią o „trzech latach terroru” albo porównują PiS do NSDAP? Nie da się. A przecież należałoby rozmawiać o naszym ustroju, o reformach, o Unii Europejskiej. Szczególnie wkurza mnie, że robią to środowiska ludzi wykształconych, o których zwykło się mówić, że są kulturalni. Ale, jak widać, ta kulturalność wyparowała bez reszty.

Z drugiej strony są to procesy globalne. Równie brutalnie atakuje się Trumpa, Salviniego, Orbána, zwolenników brexitu. Czy to jest jakoś reżyserowane?

Rzeczywiście, są sprawy, które zostały nam oszczędzone. Nie było u nas publicznego, zbiorowego placzu, a w Stanach był taki po wyborze Trumpa. Nie ma wyrzucania z uniwersytetów czy wytupywania przez studentów nie lubianych przez towarzystwo naukowców, choć już pewne sygnały da się zauważyć. Czy to jest reżyserowane? Nie, ale na pewno od pewnego czasu obserwujemy w całym świecie zachodnim ugruntowywanie się monopolu politycznego. Powstał system miękkiego, lecz niezwykle dotkliwego despotyzmu sprawowanego przez tzw. główny nurt. Kto nie należy do głównego nurtu, musi być albo faszystą, albo wariatem, albo złodziejem.

Czy lewica nie widzi tego, że zbudowała już autorytaryzm, który za chwilę będzie totalitaryzmem? Czy

nie widzi, że „państwo ogrodnik”, wyrrywające niemiłe mu chwasty, przed którym przestrzegał choćby Bauman, staje się straszliwą rzeczywistością za sprawą jej działań?

Ta elita intelektualna, która i na świecie, i w Polsce tworzy język i pojęcia wykorzystywane później przez polityków, nie uczy się ani nie wyciąga wniosków. Niby wiedzą, że nie powinno się nakręcać bez końca emocji politycznych, niby wiedzą, że oponentów politycznych nie można traktować jak wrogów, że trzeba się „pięknie różnić”, a robią dokładnie odwrotnie. To oczywiście jest poparte argumentem, który sprowadza się do takiego twierdzenia: „My jesteśmy zwolennikami i reprezentantami różnorodności, a wy jej wrogami, więc zamknijcie wasze wredne pisowskie mordy”. To ma usprawiedliwiać to latanie z maczugą, którą okłada się każdego przeciwnika.

Pomysł Salviniego zakłada opcję zerową, a więc rozwiązanie dotychczas istniejących w PE grup po prawej stronie i budowę całkowicie nowej, z nim w roli ojca chrzestnego. Stanowisko PiS jest takie, że to propozycja nierealna

Nawet wówczas, gdy – jak na Zachodzie – jest już bardzo słaby.

W Parlamencie Europejskim na ok. 750 posłów 600 ma takie samo zdanie we wszystkich istotnych sprawach, a mimo to tę jednoznaczną większość potwornie denerwuje samo istnienie 150-osobowej mniejszości. Ta mniejszość jest nieustannie zakrzykiwana i wytupywana. Powiedziałem już kiedyś w parlamencie: czy dopiero gdy wszyscy na tej sali będą myśleli i mówili tak samo, ogłosicie prawdziwy triumf różnorodności i zwycięstwo pluralizmu? I nie jest to żart, to prawdziwy cel. A gdy powiemy komuś z tego głównego nurtu, że jest zamordystą, to się oburza. Jak to, on, liberał, zamordystą?

Ten system wzbudza jednak reakcję. Mamy Trumpa, Salviniego, brexit, Polskę i Węgry, kłopoty we Francji, narodziny partii VOX w Hiszpanii. Pytanie, czy to ostatnie, desperackie powstanie zagonionej w kąt wolności, czy początek poważniejszej zmiany?

Tego nie wiemy, ale musimy działać w oparciu o założenie, że to jednak poważny proces. To nasza misja i nasza rola. Osobiście znów mam poczucie, że jestem świadkiem bardzo ważnego procesu, podobnie jak w roku 1980 czy 1989. To jest czas historyczny, który daje może i wątpli, ale jednak nadzieję. Uczestnictwo w tym ma, użyję tego słowa, coś uwznioślającego.

Czy ten moment historyczny przyniesie zmianę już w maju? Viktor Orbán stwierdził, że pojawia się szansa na odsunięcie od władzy

w Europie pokolenia '68, ale to chyba jednak przesadny optymizm.

Z pewnością strona rządząca jest dziś w panice, co samo w sobie jest zjawiskiem dobrym. Głoszą, że gdy w Komisji Europejskiej pojawią się komisarze wskazani przez PiS, Salviniego i Orbána, będzie to oznaczało paraliż. Moim zdaniem jest pewna szansa na nadkruszenie tego monolitu.

Jak to będzie wyglądało na poziomie Parlamentu Europejskiego? Powstanie zupełnie nowa grupa?

Pomysł, który wyszedł ze strony Salviniego, zakłada opcję zerową, a więc rozwiązanie dotychczas istniejących grup po prawej stronie i budowę całkowicie nowej, z nim w roli ojca chrzest-

nego. Nasze – Prawa i Sprawiedliwości – stanowisko jest takie, że to propozycja nierealna. Grupa EKR, Europejscy Konserwatyści i Reformatorzy, to mocna grupa, trzecia co do wielkości, złożona z ponad dwudziestu kilku delegacji, ze sporymi szansami na rozwój mimo odejścia torysów.

Co więc proponujecie?

Chcielibyśmy zbudować maksymalnie szeroką frakcję, co nie jest łatwe, bo przecież ludzie mają ambicje. Salvini, który ma poczucie, że jest na fali, chciałby budować wokół siebie.

Orbán pewnie też, choć na razie Fidesz został jedynie zawieszony w prawach członka Europejskiej Partii Ludowej.

Co prawda Orbán zapowiadał, że w przypadku zawieszenia sam wystąpi, ale czułem, że to się skończy odłożeniem sprawy na później. Prawdą jest, że wielu członków EPL, zwłaszcza z Francji czy ze Skandynawii, szczerze Orbána nienawidzi. Z drugiej strony mandaty premiera Węgier są słabnącej EPL potrzebne. Wracając do naszej grupy: zasadnicze pytanie dotyczy tego, czy uda nam się stworzyć siłę na tyle liczną, by mieć mniejszość blokującą niekorzystne decyzje. A to będzie wiadomo po wyborach, gdy poszczególne delegacje zobaczą, jakie propozycje leżą na stole, i zdecydują.

Czy brexit finalnie okaże się skutecznym upokorzeniem kraju, który považyl się na rzecz z punktu widzenia głównego europejskiego nurtu nie do pomyślenia?

Tego jeszcze nie wiadomo. Brytyjczycy są w pewnej mierze sami sobie winni. Pani premier May nie okazała się repliką Margaret Thatcher. Popelniła kilka grubych błędów, z niepotrzebnym rozpisaniem wyborów na czele. Ale mimo wszystko wygląda na to, że do brexitu jednak dojdzie, że nie będzie jak to zwykle w Unii – głosujemy aż do pożądanego skutku. Gdyby Londyn poprosił o np. roczne przedłużenie okresu wychodzenia, to być może brexit dałoby się odwrócić, ale skoro prosi o kilka tygodni, to oznacza, że Brytyjczycy wychodzą.

Mam świetnie działającą firmę,
**a TANI GAZ i fachowców
z TAURONA!**

Ty też tak możesz – zadzwoń:

 **555 444 555**

(opłata jak za zwykłe połączenie telefoniczne, zgodnie z taryfą operatora)

- ✔ 5% taniej niż u największego sprzedawcy gazu w Polsce.
- ✔ Szybka pomoc fachowców w razie awarii.
- ✔ Minimum formalności i bezpieczeństwo przy zmianie sprzedawcy.

Co oznaczałoby odwołanie brexitu?

Oznaczałoby to z jednej strony pozostanie naszego sojusznika w Unii, a z drugiej – aż boję się myśleć, jak bardzo wzrosłaby pycha europejskich przywódców. Już dziś budują oni świat, w którym nie ma żadnego wyboru.

Opozycja stale głosi, że Prawo i Sprawiedliwość dąży do polexitu. Robi to uparcie, choć każdy, kto zna PiS, wie, że to zwykła fantazja.

Żyjemy w kłamstwie, jesteśmy atakowani gigantycznym kłamstwem. Polską rządzi rzekomo odpowiednik NSDAP, za nami trzy lata terroru, a sędziowie są represjonowani przez kaczystowski reżim, choć przecież to ci, którzy mają odwagę wspierać reformę, są sekowani. W sprawie kłamstwa na temat polexitu ignoruje się nawet to, że każdy, kto podjąłby taką inicjatywę, musiałby być politycznym samobójcą, bo przecież znamy postawy Polaków w tej kwestii. To jest nie tylko nieuczciwa broń polityczna, lecz także zabieg perswazyjny, który ma wywołać w Polakach nawyk odrzucania wszystkiego, co jest krytyką Unii, co nie jest jej apologią. Każda krytyka Brukseli staje się grzechem, złem, jest równoznaczna z dążeniem do zniszczenia UE.

Niektórzy przedstawiciele polskiej opozycji nie ukrywają, że ich zdaniem to Unia powinna decydować o kierunku, w którym podąża Polska. Z czego wynika ta postawa?

Zdaniem tych ludzi, gdy rządzi prawica, to z natury rzeczy o wszystkim, co ważne, powinna decydować Unia, bo prawica jest niebezpieczna. A gdy rządzą oni, czyli nasi tzw. Europejczycy, lewica, Platforma i koledzy, to Unia powinna rządzić dlatego, że oni i UE to jedno. A więc w każdej sytuacji rządzić ma Unia. To jest kolejna odsłona tego, co w naszych dziejach przewija się już od stuleci: przekonania, że powinien się nami zaopiekować jakiś mądrzejszy, silniejszy, sprawniejszy podmiot zewnętrzny – albo Rosja, albo Prusy, albo Napoleon, albo Związek Sowiecki. Czasem ma to charakter zwykłej zdrady, czasami kolaboracji,



Polska jest nadzieją dla wielu ludzi w Europie, widzą w tym, co robi nasz rząd, ważną alternatywę. To także jest istotna stawka tej wyborczej batalii

czasami Realpolitik, czasami pozornie oczywistego kompromisu, a czasem wynika z naiwności, jak choćby wiara w Napoleona czy w gwarancje Anglii i Francji. Unia jest doskonałym kandydatem na takiego opiekuna, bo jest zachodnia, nowoczesna, europejska, a do tego my – jak się mówi – jesteśmy jej częścią. No i zabezpiecza naszych „Europejczyków” przed „przypadkowym werdyktem” wyborczym narodu.

Niedawno powiedział pan, że rozgrywa się wielka bitwa cywilizacyjna, a my, Polacy, jesteśmy na pierwszej linii frontu. Dodał pan, że Polska w tej chwili jest jednym z niewielu krajów na świecie, które są zdolne ocalić wolność. Czy jednak rzeczywiście robimy wszystko, czego wymaga od nas starówka tej batalii? Czy np. można ocalić wolność, nie stawiając otwarcie czoła ludziom w typie George’a Sorosa?

Zawsze można robić więcej, niż się robi. W tej chwili musimy jednak tę wolność zabezpieczyć przed konkretnym zagrożeniem, które może się pojawić w chwili zmiany władzy w Polsce. Bo to będzie nieprawdopodobne uderzenie w naszą wolność, przy pełnym aplauzie Europy i jej in-

stytucji. Musimy zdawać sobie sprawę z tego, co mamy. Na przykład w sferze mediów, przy wszystkich zastrzeżeniach, trudno znaleźć kraj z tak szerokim spektrum pluralizmu. To w dużej mierze efekt społeczeństwa obywatelskiego, bo przecież liczne, ważne media powstały oddolnie, właściwie od zera. Gdy opowiadam o tym kolegom z innych krajów, nie kryją oni zazdrości, bardzo chcieliby czegoś podobnego u siebie. W Niemczech czy we Francji jest właściwie jedna opinia, podzielana przez wszystkie partie poza nową AfD, przez wszystkie media i wszystkie uniwersytety.

Czy kolejne cztery lata dla PiS oznaczałyby uspokojenie sytuacji w Polsce, zejście opozycji ze ścieżki hysterii i paniki moralnej?

Bardzo na to liczę. Dziś mamy bowiem do czynienia z szaleństwem politycznej nienawiści. Gdy wchodziłem do polityki w 2005 r., dawało się jeszcze rozmawiać, były wspólne spotkania i uzgodnienia, a w parlamencie w Brukseli działał Klub Polski. Później wyrzucono Saryusza-Wolskiego, przyszedł Protasiewicz i rozmowa stała się niewyobrażalna. To bardzo szkodzi Polsce.

Forum Innowacji

15 – 16 kwietnia 2019, Tarnów

REWOLUCYJNE TECHNOLOGIE PRZYSZŁOŚCI



- 2 dni debat, warsztatów i prezentacji o biznesie, nauce i innowacjach
- Startup Award, pula nagród: 100 000 zł
- Małopolska Startup Award, nagroda: wyjazdy na największe targi innowacyjności do Tokio, Kuala Lumpur, Hanoweru, Mediolanu, Singapuru i Tel Awiwu
- Robot Show, nagroda: 10 000 zł
- Hackaton <Zaprogramuj_Tarnów/>, nagroda: 12 000 zł

www.economicaccelerator.pl

www.forum-ekonomiczne.pl



Rzeczpospolita
Polska



MAŁOPOLSKA

Unia Europejska
Europejski Fundusz
Rozwoju Regionalnego





Ksiądz dr Marek Dziewiecki

Rozwydrzenie seksualne
to najszybsza droga
do zagłady każdej
cywilizacji

**Z ks. dr. Markiem
Dziewieckim,
doktorem psychologii,
rozmawia Rafał Porzeziński**



Fot. Maciek Michanowski/Raj Media

Gdy seks staje się bogiem

Ruchy promujące lesbijki, gejów, biseksualistów i transseksualistów oraz tajemniczy „plus”, czyli inne rodzaje seksualnych preferencji, zyskały silnych promotorów we władzach polskich miast. Wiceprezydent Warszawy stawia sprawę jasno: dziś edukacja seksualna i związki part-

nerskie, jutro adopcja dzieci przez homoseksualistów. Czy widzi ksiądz – jako duszpasterz i wykładowca – akceptację takiego kierunku działań w szerokich kręgach społecznych i u ważnych ludzi w Kościele?

Marek Dziewiecki: Zaczniemy od tego, że ludzie, którzy stali się znie-

woleni popędem i seksualnością, którzy publicznie chwalać się swoim wyuzdaniem, chcą być wychowawcami dzieci. Aspirują też do tego, by decydować o tym, jakie przekonania i postawy powinni mieć dorośli. Działacze LGBT+ to nie tylko lesbijki, geje, biseksualiści i transseksualiści, lecz także inne mniejszości seksualne, m.in. pedofile, zoofile czy nekrofile. Zdecydowana większość społeczeństwa przeciwstawia się demoralizującym i destrukcyjnym pomysłom aktywistów LGBT+. Są w tym względzie wyjątki, których logicznie nie potrafię wytłumaczyć. Nie jestem w stanie zrozumieć, jak ktoś, kto nie jest uwikłany w rozwydrzenie seksualne, mógłby choćby pośrednio wspierać ludzi, którzy publicznie kpią z Boga i człowieka, z małżeństwa i rodziny, z wychowania dzieci i troski o przyszłość ludzkości. Działacze LGBT+ kpią sobie publicznie nawet z homoseksualistów. Poniżają tych homoseksualistów, którzy żyją w czystości i szukają pomocy terapeutycznej. Mówią o nich z nienawiścią i pogardą. Z kolei biseksualiści, transseksualiści czy ci, którzy samych siebie zaliczają do „queer” (szaleńców), walczą z własną płcią, która jest zapisana w ich ciele.

Dodajmy, że silne lobby usiłują zakazać terapii osób pragnących się leczyć z homoseksualizmu. Czy dziś ten, kto stanie w obronie oczywistych praw i wolności, w obronie rozumu, musi się liczyć z tym, co spotkało naszą mistrzynię świata Zofię Klepacq i kurator Barbarę Nowak?

Aktywiści LGBT+ wiedzą o tym, że są manipulatorami i że nie mają merytorycznych argumentów na uzasadnienie swoich działań i żądań. W dyskusji na merytoryczne argumenty na temat indywidualnych i społecznych konsekwencji homoseksualizmu czy seksualizacji dzieci nie mieliby żadnych szans. To dlatego stosują terror słowny i wprowadzają cenzurę. O ludziach, którzy mają odwagę mówić o oczywistych faktach, np. o powiązaniu czynnego homoseksualizmu z erotomanią, chorobą AIDS czy z pedofilią, wyrażają się w sposób wulgarny i skrajnie agresywny. Publicznie starają się takie osoby poniżyć i ośmieszać. Środowiska LGBT+ żądają dla siebie przywilejów, prawa do demoralizowania dzieci, a także bezkarności nawet wtedy, gdy łamią konstytucję. Reszta społeczeństwa ma udawać, że się na to wszystko chętnie zgadza. Przedstawiciele LGBT+ za „tolerancyjnych” uznają tych, którzy boją się aktywistów gejowskich, a homofobami nazywają tych, których to aktywiści gejowscy się boją.

Ulegniemy jako społeczeństwo tej dyktaturze?

Dziwi mnie to, że ta zdecydowana większość społeczeństwa, która przeciwstawia się ludziom opętanym seksualnością, czyni to w sposób mało stanowczy czy używa argumentów, które nie są najsilniejsze i które nie demaskują zamiarów działaczy LGBT+. Sporo ludzi dobrej woli daje się wciągnąć w dyskusje o tzw. tolerancji czy o „neutralnej” światopoglądowo edukacji seksualnej, albo o akceptowaniu różnorodności, podczas gdy są to jedynie tematy zastępcze, którymi środowiska LGBT+ usiłują ukryć swoje prawdziwe cele. Uważam, że demaskowanie perwersyjnych zamysłów tych środowisk to moralny obowiązek każdego, kto odróżnia ludzi od zwierząt, miłość od popędu i pożądania, a mał-

żeństwo od związków opartych na erotomanii i zasadzie współżycia kogokolwiek z kimkolwiek i jakkolwiek.

„Orientacja seksualna” to termin oręż. Pytam księdza jako psychologa, czym ona jest w istocie?

Ten neutralnie brzmiący termin został wprowadzony po to, żeby ukrywać prawdę o ludziach, dla których seks stał się bogiem. Ładniej przecież brzmi powiedzenie, że ktoś kieruje się orientacją seksualną niż powiedzenie prawdy, że ktoś redukuje swoje człowieczeństwo do bycia samcem czy erotomanem, który jest niewolnikiem seksualnej przyjemności za każdą cenę. Ci, którzy kierują się tzw. orientacją seksualną, to ludzie najbardziej zdezorientowani w myśleniu i postępowaniu. Gwałciciele i pedofile też kierują się orientacją seksualną, a skutki tego są tragiczne. Używając tego typu słownictwa, trzeba by powiedzieć, że człowiek dojrzały kieruje się orientacją intelektualną, moralną, religijną, społeczną, ale nie orientacją popędową. Ludzie normalni kierują się rozumem, miłością, odpowiedzialnością, a także normami moralnymi, społecznymi i prawnymi, a nie popędem, który jest ślepy.

Dlaczego zlepek słów „ksiądz pedofil” przestał bukwersować, a słowa „homoseksualista pedofil” postrzegane są jako tzw. mowa nienawiści?

To kolejny przejaw cynicznych manipulacji środowiska LGBT+ i jego medialnych oraz politycznych sponsorów. Fakty bowiem są dokładnie odwrotne: zdecydowana większość księży – 99,93 proc. i są na to twarde dane – nie ma nic wspólnego z pedofilią, podczas gdy pedofilia zdecydowanie najczęściej występuje u homoseksualistów, zarówno duchownych, jak i świeckich. Opublikowany kilka dni temu przez biskupów raport o przypadkach pedofilii pośród duchownych w naszym kraju w sposób oczywisty potwierdza te fakty. Kilka procent księży homoseksualnych odpowiada za 60 proc. przypadków pedofilii. Seksualne krzywdzenie dzieci jest zatem statystycznie dziesiątki razy częstsze u osób homoseksualnych niż u osób heteroseksualnych. W latach

80. ubiegłego wieku wybuchł w USA skandal wykorzystywania seksualnego osób nieletnich przez duchownych. Dobrze udokumentowane już po roku 2002 dane pokazują jeszcze bardziej wyraźnie związek homoseksualizmu z pedofilią. Okazało się, że w USA ponad 80 proc. przestępstw pedofilskich dopuścili się księża homoseksualni. Nie wyeliminujemy pedofilii, a nawet nie zmniejszymy jej skali, jeśli będziemy ukrywać to, że największe zagrożenie dla nieletnich płynie ze strony środowisk gejowskich.

Kto przyznaje gejom prawo do adopcji dzieci, ten godzi się na wzrost przypadków seksualnego dręczenia dzieci. Na zachodzie Europy mówi się już od kilku dekad o tzw. dobrej pedofilii. Prof. Harris Mirkin wykazał, że w USA „organizacje pedofilskie były początkowo częścią koalicji gejowsko-lesbijskiej” („The pattern of sexual politics: feminism, homosexuality and pedophilia”, w: „Journal of Homosexuality”, nr 37/1999, s. 1–24). To nie przypadek, że ci, którzy ukrywają to, że promocja homoseksualizmu oznacza promocję pedofilii, publicznie bronią pedofilów, jeśli ci nie są księżmi. Klasycznym przykładem jest tu Roman Polański. Gdy sąd udowodnił mu seksualne wykorzystywanie dzieci, to przedstawiciele środowiska liberalnego ofiary tegoż reżysera zaczęli nazywać „nieletnimi prostytutkami”. Państwa, w których społeczności LGBT+ mają dużo do powiedzenia, coraz bardziej obniżają wiek, w którym kontakt seksualny z dziećmi uznawany jest za legalny.

Czy według księdza osoby o skłonnościach homoseksualnych powinny móc przyjmować sakrament kapłaństwa?

Taka możliwość powinna być bezwzględnie wykluczona. Po Soborze Watykańskim II, w kontekście rewolucji seksualnej 1968 r., niektórzy moralisci katoliccy zaczęli głosić zasady sprzeczne z Biblią i nauczaniem Kościoła. Przykładem był ks. Charles Curran, który twierdził, że homoseksualizm jest równie dobry jak heteroseksualizm. Takie podejście do seksualności przeniknęło do wielu

seminariów i zakonów na świecie. W konsekwencji zaczęto przyjmować kleryków bez pytania o ich seksualność. W 1989 r. amerykański socjolog ks. prof. Andrew Greeley wprowadził pojęcie „lawendowej mafii”. Już wtedy ostrzegał, że kapłaństwo katolickie staje się coraz bardziej zdominowane przez gejów. Mówił o „lawendowych”, czyli zdominowanych przez homoseksualistów, plebaniach, klasztorach, kuriach i seminariach. Równocześnie okazywało się, że setki duchownych w USA chorują i umierają na AIDS, czyli na typową chorobę czynnych homoseksualistów. W 2000 r. ks. prof. Donald Cozzens, teolog i terapeuta, rektor seminarium duchownego w Cleveland, Ohio, opublikował książkę pod tytułem „Zmieniające się oblicze kapłaństwa: refleksja o kapłańskim kryzysie duszy”. Napisał w niej, że „na początku XXI w. kapłaństwo jest bądź staje się gay profession”.

Dziś mamy tragiczne konsekwencje tamtych błędów. Historia także w tym względzie potwierdziła, że Bóg się nie myli, gdy zarówno w Starym, jak i Nowym Testamencie tak stanowczo przestrzega przed homoseksualizmem. Obecnie przyjmowanie do seminariów duchownych kandydatów o skłonnościach homoseksualnych jest na szczęście wykluczone. 31 sierpnia 2005 r. papież Benedykt XVI zatwierdził „Instrukcję dotyczącą kryteriów rozeznawania powołania w stosunku do osób z tendencjami homoseksualnymi w kontekście przyjmowania ich do seminariów i dopuszczania do święceń”. Instrukcja wyjaśnia, że przeszkodą wykluczającą święcenia kapłańskie jest samo posiadanie skłonności homoseksualnych. W 2008 r. Kongregacja Wychowania Katolickiego wydała instrukcję „Zasady korzystania z dobroku psychologii w procesie przyjmowania kandydatów i ich formacji do kapłaństwa”. Dokument ten stwierdza, że osoba z tendencją homoseksualną nie może zostać przyjęta do seminarium. Jeśli natomiast taka skłonność pojawi się już podczas pobytu w seminarium, to kleryk nią obciążony musi je natychmiast opuścić i starać się wyleczyć to zaburzenie swojej osobowości poza seminarium.

Komu najbardziej zależy na tym, byśmy jako społeczeństwo stali się, jak to ksiądz określa, „bezpłodnymi erotomanami”. Przecież to prosta droga do końca cywilizacji.

Wprost może zależy na tym jedynie jakiejś garstce desperatów. Pośrednio natomiast do upadku naszej cywilizacji prowadzą wszyscy ci ludzie, którzy niszczą własne człowieczeństwo. Najłatwiej zniszczyć człowieka i więzi oparte na miłości wtedy, gdy ktoś w centrum uwagi i swojej tożsamości postawi seksualność. Ktoś taki nieuchronnie staje się erotomanem, który dla chwili przyjemności poświęci wszystko, łącznie z własnym zdrowiem, sumieniem i życiem. Komuś takiemu jest wszystko jedno, co stanie się jutro nawet z nim samym. Tym bardziej kogoś takiego nie interesuje przyszłość narodu ani ludzkości.

W programie „Ocaleni” w TVP1 mówił ksiądz o tym, że pornografia upośledza nasze człowieczeństwo, zamienia nas w niewolników popędów oraz czyni niezdolnymi do budowania trwałych, szczęśliwych więzi. Wielu psychologów powie, że to demonizowanie zjawiska, a odrobina pikanterii w związku nie zaszkodzi.

Tego typu lekceważenie powagi problemu to celowy zabieg, który ma ukryć prawdę o tym, że pornografia działa na ludzi jak zniewalający narkotyk, uzależnia i niszczy relacje międzyludzkie. Pornografia nie tylko prowadzi do erotomanii. Prowadzi także do uczenia się chorej filozofii życia, w której chwilowa przyjemność myłona jest z trwałą radością i uznawana jest jako jedyny sens seksualności. To tak, jakby wmawiać ludziom, że jedynym sensem jedzenia jest doznawanie przyjemności podniebienia. To w oczywisty sposób prowadzi do kompulsywnego jedzenia i otyłości. Skutki pornografii są o wiele bardziej tragiczne niż skutki obżarstwa. To nie przypadek, że w procesach sądowych gwałcicieli wychodzi na jaw, że są oni uzależnieni od pornografii. Także wśród psychologów mamy osoby skazane za to, że rozpowszechniały zakazaną prawem pornografię dziecięcą. Nic dziwnego, że oni sami czy ich kole-dzy mówią o pornografii z ideologiczną

nonszalancją, która jest odporna na kontakt z rzeczywistością.

Coraz młodsze dzieci sięgają po pornografię. Dane zebrane m.in. przez dr. Szymona Grzelaka i te, do których dociera od lat Stowarzyszenie „Twoja Sprawa”, są alarmujące. Rodzice często nie zdają sobie sprawy z tego, jak mocno uzależnione są ich dzieci. Jak mądrze pomóc dzieciom i rodzicom?

Również w tej dziedzinie widzimy wewnętrzną sprzeczność w postawach środowisk liberalnych i związanych z działaczami LGBT+. Z jednej strony mówią oni dużo o prawach dziecka i o ochronie nieletnich. Z drugiej strony pozwalają na zabijanie dzieci w fazie rozwoju prenatalnego, odmawiając im człowieczeństwa i traktując je jak „zlepek komórek”, chociaż takie pojęcie w ogóle nie istnieje w biologii czy naukach medycznych. Podobnie z jednej strony liberalowie przestrzegają przed złym dotykem, a z drugiej strony chcą, by zgodnie z zaleceniami WHO dorośli uczyli dzieci w przedszkolu masturbacji. Nieograniczony obecnie dostęp dzieci do pornografii to jeden z najbardziej okrutnych przejawów barbarzyństwa w Europie i Polsce. W wieku dorastania tylko nieliczni herosi mogą się oprzeć tego typu bodźcom. W tej sytuacji pierwszymi ratownikami dzieci powinni być rodzice. To mama i tata mają czuwać nad tym, by ich dziecko nie miało kontaktu z pornografią w domu za pomocą urządzeń elektronicznych. Rodzice powinni też czuwać, by w kioskach i innych miejscach publicznych nie były pokazywane pisma czy filmy pornograficzne, a także by szkoła, do której chodzą ich dzieci, nie stała się miejscem inicjacji pornograficznej. Z kolei zadaniem księży jest pomaganie dzieciom, by czuły się kochane przez Boga i by uczyły się szacunku do osób drugiej płci, a także do własnego ciała. Zadaniem spowiedników jest pomaganie dzieciom już uwikłanym w pornografię, by nie patrzyły na siebie tylko przez pryzmat tej słabości i by uwierzyły, że z pomocą Boga i Bożych ludzi są w stanie wyjść z tego uzależnienia i powrócić do cieszenia się życiem w czystości. ▀



Poczta Polska ułatwia firmom dotarcie z reklamą

Poczta Polska ma specjalną ofertę dla przedsiębiorców, którzy chcą zainteresować swoimi usługami określone grupy docelowe. Szacuje się, że wydatki na Direct Mail jako kanał komunikacji reklamowej osiągnęły w Polsce w 2018 r. ok. 550 mln zł

Jeśli przedsiębiorca chce ze swoją ofertą dotrzeć do określonej grupy docelowej, np. osób młodych lub emerytów, to dzięki usłudze Direct Mail Poczta Polska jest w stanie określić, w jakiej dzielnicy miasta czy w jakim regionie ich znajdzie. Co więcej, Poczta gotowa jest zrealizować określone zamówienie na wszystkich etapach procesu – od kreacji, profilowania odbiorców, przez druk, aż po dystrybucję.

SKUTECZNA REKLAMA W CZASACH SPAMU

Dużą część działań marketingowych przeprowadza się on-line. W efekcie internet przeładowany jest reklamą, która przestaje działać. Skrzynki e-mailowe zasypywane są materiałami reklamowymi, a ich właściciele instalują zaawansowane programy zabezpieczające przed ich zaśmiecaniem.

Jak pokazuje raport OnAudience.com (Cloud Technologies), Polacy są liderami w blokowaniu reklam w sieci. 46 proc. odsłon w polskim internecie jest zablokowanych. To niemal co druga reklama. Wynika to z tego, że na komputerze użytkownika co miesiąc wyświetla się ponad 1,7 tys. masowych banerów reklamowych. Z „Raportu z badania wpływu zjawiska spamu na emocje użytkowników i wizerunek marek” opracowanego przez DBMS Sp. z o.o. wynika, że natarczywy spam budzi negatywne emocje. Tym samym i niepersonalizowana reklama internetowa (spam) przestaje działać, daje odwrotny skutek do zamierzonego.

W EU 120 PRZESYŁEK REKLAMOWYCH NA MIESZKAŃCA

Poczta Polska ma w swojej ofercie wiele usług, które mogą być wykorzystywane przez klientów jako kanał komunikacji reklamowej. Chodzi m.in. o przesyłki marketingowe (te w pełni adresowane) uważane za najskuteczniejszą formę marketingu bezpośredniego, umożliwiającą nawiązanie i podtrzymywanie relacji z konkretnymi odbiorcami na terenie kraju, i np. reklamę produktową, potocznie na rynku nazywaną „samplingiem”, czyli wydawanie klientom materiałów reklamowych i próbek towarów w placówkach pocztowych.

W 2015 r. Poczta Polska uruchomiła specjalny Portal Centrum Direct Mail, na którym opublikowane są wszystkie informacje dotyczące usług Direct Mail Poczty Polskiej, najciekawsze case studies – przykłady kampanii reklamowych z wykorzystaniem Direct Mail wraz z informacjami o ich skuteczności oraz wyniki badań marketingowych i wypowiedzi ekspertów z branży marketingu bezpośredniego w Polsce i na świecie.

W państwach Europy Zachodniej na jednego mieszkańca przypada rocznie ok. 120 adresowanych przesyłek reklamowych. W Polsce, Direct Mail też już zaczyna zyskiwać na popularności i wiele firm docenia jego skuteczność. Z roku na rok ilość środków przeznaczanych w budżetach marketingowych firm na ten kanał komunikacji rośnie.



Fot. Shutterstock

Sodoma w Watykanie?

3 kwietnia odbędzie się polska premiera książki francuskiego socjologa Frédérica Martela „Sodoma. Hipokryzja i władza w Watykanie”, która ukaże się nakładem Agory. Jej autor od dawna zapowiadał, że wywoła ona prawdziwe trzęsienie ziemi w Kościele katolickim. Ale nic takiego się nie stało. Dlaczego?

Swiatowa premiera publikacji, do której doszło 21 lutego w Rzymie, zakończyła się jednak kląpą. Podczas prezentacji Martel nie był w stanie odpowiedzieć na najprostsze pytania watykaniści, publicznie okazując swą irytację ich docieklivością.

Główna teza jego pracy mówiąca, że w Watykanie działa wpływowe lobby homoseksualne, miała wstrząsnąć Kościołem. Została jednak przyjęta bez większych emocji, ponieważ dla uważnych komentatorów religijnych jest to od dawna oczywistością. Francuz postawił tezę, że Watykan jest dziś największą na świecie społecznością gejowską, a duchowni o takich skłonnościach stanowią aż 80 proc. kurii rzymskiej. Powszechnie jednak przyjęto te szacunki za wyolbrzymione. Nawet watykaniści zwracający uwagę na rzeczywisty problem, jakim jest „lawendowa mafia” za Spizową Bramą, uznali, że autor z tymi liczbami mocno przesadził.

Po sensacyjnych zapowiedziach spodziewano się, że Martel ujawni wiele nazwisk hierarchów należących do tęczęowego lobby, ale nic takiego się nie stało. Z wysokich rangą dostojników wymienił tylko kolumbijskiego kardynała Alfonsa Lopeza Trujilla. Obnażona została również metodologia zastosowana przez socjologa przy pisaniu pracy.



GRZEGORZ GÓRNY

Chwalił się on mianowicie, że przeprowadził 1,5 tys. wywiadów z osobami wtajemniczonymi w sprawy watykańskie. Okazało się, że w wielu przypadkach umawiał się na spotkania na zupełnie inny temat, podczas rozmowy starał się poruszyć sprawy dotyczące homoseksualizmu, jednak często ten wątek nie był podejmowany przez rozmówców.

MEDIALNA OPERACJA

W przypadku „Sodomy...” niewątpliwie mamy do czynienia z wielką operacją medialną. Świadczy o tym zarówno rozmach przedsięwzięcia (wydanie książki w ośmiu językach w 20 krajach), jak i wybór daty oraz miejsca światowej premiery – 21 lutego w Rzymie, dokładnie w dniu, w którym zaczynał się watykański szczyt poświęcony pedofilii w Kościele.

Rodzi się pytanie o cel całej akcji. Jakie intencje kierowały autorem ujawniającym lobby gejowskie, skoro on sam deklaruje się jako homoseksualista? Martel twierdzi, że jego celem jest zdemaskowanie hipokryzji duchownych, którzy prowadzą podwójne życie: z jednej strony oficjalnie reprezentują instytucję, która potępia czyny homoseksualne, a z drugiej – sami potajemnie takich czynów się dopuszczają. Skoro jest ich w Watykanie przytłaczająca większość, to znaczy, że głównym

problemem nie jest ani nieczystość, ani homoseksualizm, lecz hipokryzja. Dlatego – jak postuluje francuski socjolog – należy zerwać z życiem w obłudzie, stanąć w prawdzie i zaakceptować seksualną odmienność, tak jak zrobił to cały świat.

Francuz nie ukrywa, że jego faworytem jest Franciszek, którego reforma Kościoła bardzo mu się podoba. Ma nadzieję wpisać się w projekt „nowego paradygmatu”, jaki reprezentuje obecny pontyfikat. Na czym miałyby to polegać? Otóż jeśli Kościół w wielu krajach akceptuje komunie dla osób rozwiedzionych w ponownych związkach, ponieważ jest ich wiele, a mają one dobrą wolę trwać we wspólnocie wiernych, to dlaczego nie miałyby zaakceptować homoseksualizmu księży, którzy również mają dobrą wolę i nie chcą porzucać szeregów duchowieństwa? Konsekwencją przyjęcia takiego stanowiska byłaby oczywiście zmiana nauczania w sprawie homoseksualizmu. Gdy połączymy to z postulatami likwidacji celibatu, otrzymamy zgodę na kapłanów w związkach jedнопłciowych – tak jak jest to praktykowane w niektórych wyznaniach protestanckich. Takie pomysły zgłaszają zresztą już od jakiegoś czasu publicznie biskupi niemieccy.

HOMOFOB, CZYLI HOMOSEKSUALISTA

Negatywnymi bohaterami w książce Martela są natomiast najwięksi hipokryci, czyli ci, którzy najostrzej potępiają czyny homoseksualne, lecz sami się ich potajemnie dopuszczają. W tej kwestii autor opiera się nie tyle na dowodach, ile na odsłonięciu pewnego mechanizmu psychologicznego, mającego charakteryzować kapłanów, którzy „nienawidzą siebie”. Mówi on, że „im bardziej duchowny jest homofobiczny, tym bardziej prawdopodobne, że jest homoseksualistą”. Martel dokonuje więc sprytnego zabiegu mającego na celu zamknięcie ust wszystkim krytykom homoseksualizmu wśród księży. Na każdego bowiem, kto spróbuje się zmierzyć z tym problemem, padnie natychmiast cień podejrzania o przynależność do „lawendowej mafii”. De facto kryje się za tym chęć sparaliżowania woli sprzeciwu wobec lobby gejowskiego w Kościele.

Nic więc dziwnego, że najmocniej dostaje się dostojnikom broniącym odwiecznego nauczania Kościoła w sprawach etyki seksualnej. Wśród nich znajduje się m.in. amerykański kardynał Leo Burke, odmalowany jako sybaryta opływający w luksusy. Koronnym argumentem na to ma być... bogato urządzone łazienka w jego watykańskich apartamentach. Tymczasem każdy, kto był w rzymskim mieszkaniu purpurata i miał okazję zajrzeć do tego pomieszczenia, mógł się przekonać, że nie odbiega ono od standardów spotykanych wśród zamożnych rodzin włoskich. Jeśli Martel spodziewał się tam znaleźć dziurę w podłodze, to zapewne musiał się czuć rozczarowany.

Książka miała być ważnym i dyskutowanym wydarzeniem podczas watykańskiego szczytu w sprawie pedofilii, ale tak się nie stało. Organizatorzy konferencji unikali bowiem jak ognia tematyki homoseksualnej. Wbrew wszelkim

statystykom za wszelką cenę chcieli udowodnić, że ta preferencja seksualna nie ma nic wspólnego z molestowaniem nieletnich przez duchownych, a za całe zło odpowiada klerykalizm.

W swej pracy Martel nie koncentrował się na tej tematyce. Przyznał jednak, że kultura tajemnicy panująca wśród gejowskich księży utrudnia im potępienie duchownych oskarżonych o molestowanie nieletnich. I znów wynika z tego logiczny wniosek, by usankcjonować homoseksualizm kapłanów, bo w ten sposób skończy się z kulturą tajemnicy, a tym samym utrudni się tuszowanie pedofilskich afer.

GEJE, CZYLI SODOMICI

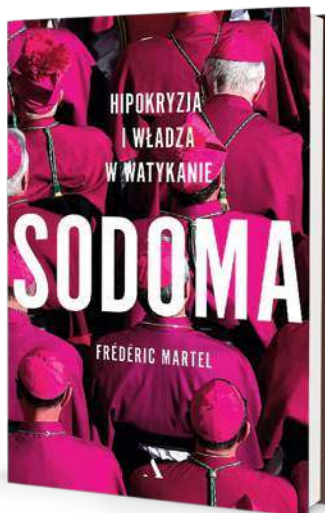
Na 550 stron książki aż 230 poświęcono pontyfikatowi Jana Pawła II. Widać, że nie jest to ulubiony bohater autora. Martel stawia Karolowi Wojtyłce liczne zarzuty. Na przykład, że był „mizoginem” i „jednym z najbardziej homofobicznych papieży w historii Kościoła”, choć otaczał się gejowskimi kapłanami. Że przez swój sprzeciw wobec prezerwatyw spowodował śmierć na AIDS ponad 35 mln ludzi na całym świecie. Że stworzył system, w którym „ludzie odurzeni władzą i złymi nawykami nie mieli żadnej przeciwwagi, która mogłaby powstrzymać ich dewiacje”. Że nie był w stanie w swym otoczeniu „oddzielić ziarna od plew”. To zarzuty dość słabe, mające raczej charakter prywatnych opinii, zwłaszcza w porównaniu z zapowiedziami samego autora, który opowiadał w prywatnych rozmowach, że po jego książce będziemy musieli masowo burzyć w Polsce „świętki” (czyli pomniki Jana Pawła II).

Martel sugeruje też, że Watykan za pontyfikatu polskiego papieża finansował działalność podziemnej „Solidarności” z pieniędzy pochodzących z podejrzanych źródeł, jak okryty złą sławą Bank Ambrosiano, narkotykowe kartele kolumbijskie czy reżim Augusta Pinocheta. Pośrednikami w tych transakcjach mieli być – według Francuza – ukryci homoseksualiści, np. dyrektor Ambrosiano bp Paul Marcinkus, kard. Trujillo z Kolumbii czy „gejowska mafia”, która zdominowała otoczenie Pinocheta.

W ogóle Martel przypisuje homoseksualistom niezwykłą siłę sprawczą. Już wcześniej pisał o tym w swej książce z 2012 r. „Jak gejowska kultura zmienia świat”. Czytając ją, od-

nosi się wrażenie, że nie sposób zrozumieć dzisiejszego świata bez poznania tajemnych sprężyn wprawiających w ruch wiele mechanizmów społecznych, za którymi stoją właśnie wpływowi przedstawiciele tej orientacji. Być może wie, o czym mówi, ponieważ sam należy do tego środowiska.

Niewątpliwą zasługą autora jest to, że podnosi ważny temat, jakim jest istnienie „lawendowej mafii” w Kościele. Ujawnia też wiele szczegółów dotyczących funkcjonowania owego lobby w Rzymie. Wprowadza znów do obiegu publicznego dawno wyparte słowo „Sodoma”, jakby przypominając, że jeszcze sto lat temu na pederastów mówiono powszechnie sodomici.



Powrót dla rodziny

Anglia, choć wciąż jest dobrym miejscem do prowadzenia działalności gospodarczej, staje się coraz gorszym do życia rodzinnego. To również jest powód, dla którego wiele osób decyduje się na powrót – przekonuje w rozmowie z Jaromirem Kwiatkowskim **Tomasz Kania**, przedsiębiorca, który wraz z rodziną wrócił do Polski po 13 latach pobytu w Londynie

Co zdecydowało o tym, że podjęliście decyzję o powrocie?

Tomasz Kania: Nie chcieliśmy, aby dzieci wychowywały się bez dziadków, tęskniliśmy za rodzeństwem. Żona pracowała jako nauczycielka w angielskiej szkole codziennie od 7 do 19 i potrzebowała zmiany. Bardzo chciała wrócić do Polski. Termin porodu drugiego dziecka wypadł na wrzesień 2018 r. Wyobraziłem sobie jej samotność, gdy ja wychodziłbym do pracy na cały dzień, a ona zostawałaby sama z dwójką dzieci. Mimo że mieszkaliśmy w bardzo dobrych warunkach, to jednak daleko od przyjaciół rozsianych po całym Londynie i wiem, że czułaby się samotna.

Twoja żona wróciła pierwsza. Ty w Londynie musiałeś jeszcze pozamykać swoje sprawy.

Tak. Iwonka skończyła rok szkolny, z tego co pamiętam, 22 lipca, a dzień

później siedzieliśmy już z naszym pierwotnym w samolocie do Polski, bo to był ostatni dzwonek, aby móc lecieć. Wróciłem do Londynu pozmakać swoje sprawy. Myślałem, że w miesiąc wszystko pozalatiwam, ale się nie udało. We wrześniu przyleciałem do Polski na poród, po czym zostawiłem rodzinę pod opieką dziadków, rodzeństwa i przyjaciół i na początku października wróciłem do Londynu dopilnować sprzedaży mieszkania i dokończyć zakontraktowane wcześniej zlecenia. Wszystko zakończyłem przed świętami i na Boże Narodzenie zameldowałem się już w Polsce.

Z tego, co pamiętam, dobrze sobie radziłeś w Londynie. Przypomnij, czym się zajmowałeś.

Prowadziłem działalność budowlaną oraz eventową – nagłaśnianie oraz prowadzenie imprez i zabaw [pod szyldem Wodzireje znad Tamizy – przyp. J.K.]. Byłem także zaangażowany w tworzenie Katolickiego Radia Londyn, przy którym powstał projekt Misja 52 dla małżonków [inspirujące zadania na każdy tydzień w roku, które małżonkowie mogą realizować wobec siebie nawzajem, aby pobudzać kreatywność i twórczość w związku – przyp. J.K.]. Pod szyldem tych projektów organizowaliśmy wiele wydarzeń i warsztatów dla Polonii, jak choćby Święto Rodziny w Laxton Hall, warsztaty dziennikarskie i finansowe, ale też nocną Męską Drogę Krzyżową po klifach w Eastbourne.

Wróciłeś do rodzinnych Kielc. Jaki będzie teraz los tych wszystkich projektów, które prowadziłeś w Londynie? Czym chcesz się zająć w Polsce?

Przenoszę do Polski swoją działalność budowlaną oraz wodzirejską, choć czasem jeszcze będę latał do Londynu na gościnne występy. Radio obecnie działa jako portal informacyjny. Podjęliśmy jednak decyzję, że nie będziemy dalej w ten projekt inwestować, gdyż spełnił już swoją funkcję. Natomiast pięknie rozwija się Misja 52. W zeszłym roku wydailiśmy książeczki dla małżonków z inspirującymi zadaniami, powstał sklep internetowy, w grudniu ukazał się

pierwszy numer miesięcznika „Misja 52 – Inspiracje dla Małżonków”, a w styczniu Małżeńska Gra Plan-szowa. Zainwestowaliśmy w rozwój wspomnianego miesięcznika i kończymy prace nad nowym portalem dla małżonków – Misja 52. Udało się zgromadzić wokół tego projektu wartościowych twórców i chcemy to grono stale powiększać. Warto dodać, że magazyn jest całkowicie bezpłatny, utrzymuje się z naszych produktów, które tworzymy dla małżonków. Większość z nich jest dostępna za tzw. dobrowolną cegiełkę – każdy sam decyduje, ile może zapłacić, i przy okazji wspiera nasze dzieło.

Nie obawiasz się, że po tylu latach spędzonych w Anglii pierwszy okres w Polsce może być trudny?

Na pewno trudno się przestawić na tutejszy system biurokracji. W Polsce oferuje się przedsiębiorcom rozpoczynającym działalność gospodarczą dotację. O wiele lepszym pomysłem byłoby radykalne podwyższenie kwoty wolnej od podatku. To byłaby najlepsza zachęta, aby tu przyjeżdżać i inwestować. Przez 13 lat pobytu w Anglii ani razu nie byłem w żadnym urzędzie. Raz do roku rozliczałem się z podatku, a tamtejszy ZUS, w przybliżeniu, kosztował rocznie tyle, ile tutaj trzeba płacić miesięcznie. Nie chodzi o to, aby nagle traktować powracających jak święte krowy i tworzyć dla nich osobne przepisy. Warto natomiast korzystać z ich doświadczenia i jeśli są alternatywne i dobre rozwiązania dla przedsiębiorców, które już działają choćby w Anglii, to może warto usiąść do rozmów i ten potencjał wykorzystać? Owoce będą zbierać wszyscy.

Kilkanaście miesięcy temu postawiłeś tezę, że po brexicie będą wyrzucać z Anglii Polaków, ale w białych rękawiczkach. Jak według twoich obecnych obserwacji będzie wyglądać los Polaków w Anglii? Na razie w kwestii brexitu panuje wielkie zamieszanie i na dobrą sprawę nie wiadomo, na jakich zasadach to wyjście się odbędzie. Jak to wpływa na sytuację Polaków?

Wciąż jest wiele znaków zapytania i wszyscy mają już dość niepewności, także Brytyjczycy. Teza, którą postawiłem jakiś czas temu, dotyczyła ogólnie wszystkich obywateli ze wschodniej Europy, zwłaszcza osób, które zbudowały sobie życie na zasiłkach. Dopóki będzie dobrobyt, będzie spokojnie. W przypadku kryzysu, najłatwiej będzie ruszyć tych, którzy nie protestują publicznie ani nie podpalają ulic. Widać, że Polacy interesują się swoją przyszłością i starają się zabezpieczyć swój pobyt na Wyspach, bez względu na rządowe gwarancje. Inna sprawa, że Anglia, choć wciąż jest dobrym miejscem do prowadzenia działalności gospodarczej, staje się coraz gorszym do życia rodzinnego. To również jest powód, dla którego wiele osób decyduje się na powrót.

Zwróciłeś się z apelem do ojców, którzy pracują samotnie w Anglii, by wracali do Polski, bo rodziny ich potrzebują. Rodziny zawsze potrzebują ojców...

W moim artykule, który ukazał się w drugim numerze miesięcznika „Misja 52”, opisałem, jak mój syn zareagował, gdy nie było mnie przez trzy miesiące z powodu zamykania spraw na Wyspach. Dzieci zawsze cierpią, nawet jeśli tego nie okazują. Nie ma co się oszukiwać, że nowe technologie, np. kamerki, tu pomogą. Nic nie zastąpi realnej obecności ojca. Z kolei w trzecim numerze opisałem nasze doświadczenie: jak planowaliśmy powrót, jak on przebiegał, różne sytuacje, w których wiele osób może się odnaleźć. Wiem, że wielu Polaków rozważa decyzję o powrocie. Liczę, że te teksty będą pomocne w podjęciu dobrej decyzji.

Na początku stycznia otrzymałem od moich poprzednich zleceniodawców bardzo kuszącą ofertę pracy w Anglii. Wiązałoby się to jednak z dłuższym powrotem na Wyspy. Krótka rozmowa z żoną utwierdziła mnie w decyzji, aby nie przyjmować tej oferty. Chcemy żyć w Polsce. Czy ekonomicznie to się opłaci? Mam nadzieję, że tak. I wiele pomocnych osób dookoła, co jest bardzo ważne.

Co tu zawiniło?



Dwie kolejne katastrofy najnowszego samolotu Boeinga poważnie nadszarpnęły wizerunek firmy. Ludzie chcą podróżować za mniejsze pieniądze, więc linie lotnicze szukają tańszych rozwiązań. Nowe technologie wymagają jednak czasu na testy, ewentualne poprawki i przeszkolenie personelu: załóg oraz mechaników. Ale czasu zawsze brakuje. Przewoźnicy potrzebują nowych maszyn natychmiast, aby pokonać swoich konkurentów. Jeśli więc Boeing będzie zbyt długo pracował nad kolejnymi modelami, to wyprzedzi go Airbus

Boeing ma poważny problem. Dwie katastrofy najnowszego samolotu tego producenta, a wcześniej problemy z eksploatacją flagowego Dreamlinera, poważnie naruszyły wizerunek koncernu. Wszystko to kosztowało dotąd firmę 29 mld dol. – o tyle spadła bowiem wartość giełdowa Boeinga od 10 marca, gdy w okolicach Addis Abeby rozbił się samolot Ethiopian Airlines. To jednak nie koniec kłopotów. Firma może się spodziewać licznych pozwów o odszkodowania, pojawiły się też znaki zapytania wokół procedur certyfikacji samolotów, a przewoź-



KONRAD KOŁODZIEJSKI

nicy lotniczy rozważają wycofanie swoich zamówień na maszyny tego producenta.

Boeing jest zbyt duży, aby upaść, już wcześniej pożarł wszystkich swoich amerykańskich konkurentów i jego jedynym rywalem pozostaje dziś europejski Airbus. Jego kłopoty mogą się jednak poważnie odbić na amerykańskiej i nie tylko tamtejszej gospodarce, firma współpracuje bowiem

z ogromną liczbą podwykonawców z całego świata. A wszystko to z powodu pędu do oszczędzania za wszelką cenę. Ludzie chcą podróżować za mniejsze pieniądze, więc przewoźnicy

szukają tańszych rozwiązań. Dlatego producenci opracowują nowe technologie: oszczędne silniki i lżejsze konstrukcje, co pozwala lecieć dalej i taniej. Nowe rozwiązania wymagają jednak czasu na testy, ewentualne poprawki i przeszkolenie personelu. Ale czasu zawsze brakuje, przewoźnicy potrzebują nowych maszyn natychmiast, aby pokonać swoich konkurentów. Jeśli więc Boeing będzie zbyt długo pracował nad kolejnymi modelami, to wyprzedzi go Airbus. Lub odwrotnie.

DWIE KATASTROFY

Boeing etiopskich linii lotniczych rozbił się wkrótce po starcie z lotniska w Addis Abebie. Samolot miał lecieć do Nairobi. Kilka godzin wcześniej wrócił z rejsu do Johannesburga i piloci nie zgłaszali żadnych problemów z maszyną. Podczas wznoszenia załoga zorientowała się, że samolot zaczyna się dziwnie zachowywać. Z dostępnych dziś informacji wynika, że systemy kontroli lotu automatycznie opuszczały nos maszyny i w rezultacie kilkakrotnie zmieniała ona wysokość lotu oraz zwiększała prędkość.

Początkowo piloci – zgodnie z procedurą – chcieli się wzniesić na wyższy pułap, aby mając odpowiedni zapas wysokości, przyjrzeć się sytuacji. Okazało się to jednak prawdopodobnie niemożliwe i załoga poprosiła o zgodę na powrót. Niestety chwilę potem maszyna zniknęła z radarów. Boeing zaczął gwałtownie pikować i z ogromną siłą wbił się w ziemię. Zginęli wszyscy – łącznie 157 osób (149 pasażerów i ośmiu członków załogi), wśród nich dwie z Polski.

Samolot był nowy, wyprodukowano go w październiku 2018 r., a linie odebrały go od producenta w połowie listopada. Należał do najnowszej generacji popularnego modelu 737 nazwanej MAX. Katastrofa niepokojąco przypominała wcześniejszą, w której w podobnych okolicznościach rozbił się inny świeżo wyprodukowany Boeing 737 MAX należący do indonezyjskich linii Lion Air. 29 października 2018 r. maszyna ta wystartowała z lotniska w Dżakarcie, aby wykonać rejs krajowy. Zaraz po starcie samolot zaczął poza kontrolą wykonywać dziwne manewry i załoga zgłosiła awarię, prosząc o zgodę na powrót do Dżakarty. Chwilę potem 737 MAX runął do Morza Jawajskiego. Zginęło 189 osób.

Dochodzenie po tamtym wypadku trwa. Początkowo postraktowano go jako nieszczęśliwy zbieg okoliczności. Zaraz po katastrofie przyjęto bowiem z góry, że załoga nie była odpowiednio przeszkolona w obsłudze najnowszego wariantu Boeinga. Igdy zadziały automatyczne systemy, nie potrafiła odpowiednio zareagować.

Interes kręcił się więc dalej, kolejne samoloty dostarczano przewoźnikom, zbierano nowe zamówienia, aż do czasu, gdy 10 marca doszło do wypadku w Etiopii. Tym razem katastrofa wzbudziła niepokój. Bo już pierwsze doniesienia wskazywały, że wszystko wyglądało podobnie jak kilka miesięcy wcześniej w Indonezji. Trudno też było zrzucić winę na przewoźnika, bo Ethiopian Airlines to jeden z największych operatorów w Afryce, posiada nowoczesną flotę i uważany jest za bezpieczną linię.

Producent początkowo nadal uspokajał, że jego nowy samolot jest całkowicie bezpieczny, wspierała go również

amerykańska Federalna Agencja Lotnictwa (FAA), do której należy m.in. certyfikowanie (dopuszczanie do eksploatacji) samolotów na amerykańskim rynku. Boeingi najnowszej generacji latały więc nadal po świecie, aż do chwili, gdy Chińczycy, prowadzący z Amerykanami wojnę handlową, postanowili skorzystać z okazji i utrząć im nosa. Następnego dnia po katastrofie w Etiopii Chiny podjęły decyzję o uziemieniu maszyn. To był poważny cios, bo tamtejsi przewoźnicy użytkują prawie setkę sztuk modelu 737 MAX. W ślad za Chinami poszły natychmiast inne agencje lotnicze z całego świata, w tym europejska EASA.

Najdłużej opierali się Amerykanie. FAA ciągle twierdziła, że samolot jest bezpieczny. W pewnej chwili do dyskusji na ten temat włączył się nawet prezydent Donald Trump, który miał się domagać uziemienia maszyn i kilkakrotnie rozmawiał telefonicznie z prezesem zarządu Boeinga. Być może Trump znacznie lepiej niż władze koncernu rozumiał, że konsekwencje ewentualnej kolejnej katastrofy mogą być trudne do opanowania. Ostatecznie więc samoloty uziemiono również w Ameryce.

PIKUJĄCY SAMOŁOT

Wkrótce wyszło na jaw, że problem jest znacznie poważniejszy, niż się wydawało. Najnowsza generacja modelu 737 różni się bowiem od poprzedniej m.in. nowymi ekonomicznymi silnikami, które są nieco większe od stosowanych wcześniej. To wymusiło zmiany w konstrukcji samolotu, które wprowadzono, aby zmniejszyć opór aerodynamiczny stawiany przez większe silniki. W celu poprawy bezpieczeństwa zainstalowano również specjalny system (MCAS), który miał zapobiegać utracie siły nośnej. System uruchamiał się automatycznie, gdy samolot zbyt mocno zadzierał dziób (na przykład przy starcie). Zbyt duży kąt natarcia może bowiem doprowadzić do utraty siły nośnej i upadku maszyny.

Kłopot polegał na tym, że – jak wynika ze wstępnych danych zebranych po obu katastrofach 737 MAX – system błędnie się załączał przy niewielkim zadarciu nosa samolotu i automatycznie go obniżał, blokując stery wysokości. Maszyna skierowana w dół – zgodnie z prawami fizyki – nabierała prędkości i ponownie unosiła dziób, a system znowu go obniżał. Piloci nie byli najwyraźniej w stanie odpowiednio zareagować na takie zachowanie samolotu i dochodziło do katastrofy.

Tu pojawia się pytanie, dlaczego piloci nie byli uprzedzeni o możliwości wystąpienia takiej sytuacji. Wydaje się, że Boeing nie przewidział takiego zachowania systemu. Po wypadku w Indonezji koncern zapowiedział wprowadzenie specjalnej aktualizacji oprogramowania i zalecił przeszkolenie pilotów na wypadek błędnych wskazań MCAS. Niestety okazuje się, że pilotów nie bardzo jest jak przeszkolić. Do tej pory wyprodukowano zaledwie cztery symulatory lotu dla modelu 737 MAX i – jak wynika z doniesień mediów – nie przewidują one nawet symulacji błędów z systemem MCAS. Dlaczego tak mało? Boeing – jak twierdzą media – uznał, iż model 737 MAX różni się tak nieznacznie od poprzedniej generacji, że piloci nie potrzebują specjalnego przeszkolenia. Zamiast

tego zaoferowano im jedynie 56-minutowy film na iPod, w którym krótko omówiono podstawowe różnice między dwiema generacjami. Taka – jak się dziś okazuje – krótko-wzroczna strategia producenta była prawdopodobnie poddyktowana walką o rynek. Nowy wariant miał nie wymagać dodatkowych szkoleń, a zatem koszty wdrożenia go do eksploatacji były dla przewoźników użytkujących poprzednie wersje modelu 737 znacznie niższe.

Do tej pory nie pojawiła się też obiecana aktualizacja systemu MCAS. Przyparty dziś do muru Boeing obiecuje, że będzie gotowa w najbliższych dniach. Ma nadzieję, że dzięki niej uziemione samoloty ponownie wzbiją się w powietrze i koncern uniknie dalszych strat. Czy jednak uda się naprawić ogromne szkody dla wizerunku firmy? Inaczej mówiąc: czy Boeing zdoła przekonać swoich klientów i miliony pasażerów, że jego produkt jest godny zaufania?

UTRATA ZAUFANIA

O tym, że raz nadszarpnięte zaufanie może być trudno odzyskać, świadczy np. historia pierwszego odrzutowego samolotu pasażerskiego Comet, który wszedł do eksploatacji w 1952 r. Brytyjski producent – nieistniejąca dziś firma de Havilland – był bardzo dumny ze swojego liniowca, udało mu się bowiem wyprzedzić amerykańskich konkurentów, którzy dopiero pracowali nad swoimi odrzutowcami.

Comet był głośno reklamowany jako nowa jakość, dzięki której pasażerowie szybciej dotrą do celu, a przewoźnicy zaoszczędzą, bo maszyna będzie mogła obsługiwać w tym samym czasie więcej rejsów niż inne samoloty. Niestety niewielki – jak się mogło zdawać – błąd konstrukcyjny, związany z niewłaściwym kształtem okien, sprawił, że zaledwie po roku od debiutu wydarzyły się trzy tragiczne katastrofy. W rezultacie Brytyjczycy stracili nie tylko przewagę nad rywalami, lecz również zaufanie klientów. Późniejsza udoskonalona wersja Cometa była całkowicie bezpieczna, ale straconej pozycji Brytyjczykom nie udało się już nigdy odzyskać.

Dziś Boeing jest w nieco innej sytuacji. Przede wszystkim dlatego, że ostra walka konkurencyjna i fuzje największych producentów doprowadziły do tego, że linie lotnicze właściwie nie mają wyboru: jest albo Boeing, albo europejski Airbus. Do tej pory Boeingowi udało się uzyskać zamówienia na ponad 5 tys. sztuk modelu 737 MAX. Ale zainteresowanie zakupami gwałtownie spadło, kolejne linie rozważają wycofanie zamówień. Dlatego Boeing nie może się czuć bezpiecznie, bo jeśli jego europejski rywal odbierze mu teraz część klientów, firmę mogą czekać dalsze kłopoty. Tym bardziej że Boeing całkiem niedawno musiał się zmierzyć z problemami, które sprawiał

inny jego samolot – dalekodystansowy, flagowy Dreamliner. Najpierw w Dreamlinerach samoczynnie zapalały się ich nowoczesne baterie litowo-jonowe niezbędne do uruchomienia generatorów zasilających samolot w prąd. Na szczęście nigdy nie doszło do wypadku, ale dwa przypadki samozapłonu baterii uziemiły flotę Dreamlinerów. Ostatecznie problem rozwiązano, umieszczając baterie w próżniowych pojemnikach. Zaraz potem pojawiły się kłopoty z silnikami Rolls-Royce'a, które – wykonane z nowych stopów – okazały się zaskakująco mało trwałe. Ten problem też, jak się zdaje, udało się rozwiązać. Brytyjski producent silników ma wkrótce zakończyć wymianę felernych jednostek u wszystkich przewoźników (w tym w PLL LOT).

Teraz jednak doszły do tego dwie katastrofy najnowszego modelu 737 MAX. Czy – nawet jeśli Boeing poprawi systemy samolotu – uda się przekonać przewoźników do dalszych zakupów? Czy pasażerowie nie będą się obawiali korzystać z usług linii lotniczych użytkujących wersję MAX? Te pytania dotyczą także Polskich Linii Lotniczych LOT, które zamówiły 15 samolotów tego typu (pięć z nich dostarczono, są obecnie uziemione), oraz czarterowych linii Enter Air, które mają dwie maszyny w wersji MAX.

Po katastrofie samolotu Ethiopian Airlines pojawiły się nawet specjalne aplikacje, które umożliwiały pasażerom uniknięcie lotów obsługiwanych przez najnowsze maszyny Boeinga. A amerykańskie stewardesy zrzeszone w związku zawodowym APFA odmówiły – jak twierdzi serwis Airlinewatch – pracy na pokładzie 737 MAX do czasu wyjaśnienia przyczyn ostatnich katastrof.

Wszystkiego można byłoby zapewne uniknąć, gdyby nie pogoń za zyskiem i szalone tempo wdrażania nowych, niesprawdzonych do końca technologii oraz produktów. Kłopoty, jakie dotknęły dziś Boeinga, mogą rykoszetem

uderzyć również w autorytet Federalnej Agencji Lotnictwa, która dopuściła nowy model do eksploatacji. W połowie ubiegłego tygodnia śledztwo w sprawie certyfikacji samolotu podjęło FBI.

Donald Trump stwierdził na Twitterze: „Samoloty stały się zbyt skomplikowane. Nie potrzebujemy już pilotów, ale raczej informatyków z MIT. Dostrzegam ten trend we wszystkich produktach. Po co robić niepotrzebny krok naprzód, kiedy stare i prostsze rozwiązanie jest lepsze. Nie chcę, by moim pilotem musiał być Albert Einstein. Chcę świetnych specjalistów, którzy mogą łatwo i szybko przejąć kontrolę nad maszyną”.

Boeing rozważa podobno wycofanie się z systemu MCAS w przygotowywanym właśnie modelu MAX 10. A może po prostu lepiej zmienić strategię, nie ścigać się za wszelką cenę o zamówienia, lecz dłużej popracować nad wdrażanymi technologiami? Wyjdzie taniej. I bezpieczniej.

Katastrofa w Etiopii niepokojąco przypominała wcześniejszą, w której w podobnych okolicznościach rozbił się inny świeżo wyprodukowany Boeing 737 MAX należący do indonezyjskich linii Lion Air

A close-up portrait of actress Magdalena Cielecka. She has blonde, wavy hair and is wearing a black turtleneck sweater and large, dark, dangling earrings. She is looking directly at the camera with a slight smile.

Jak w okrutnej bajce

Ostra jak brzytwa prawniczka Joanna Chylka i rozliczająca traumy z dzieciństwa reporterka Alicja Tabor. Obie bohaterki – i serialowa, i kinowa – wyjęte z głośnych powieści. Obie na pierwszy plan wysuwają Magdalenę Cielecką

Fot. Kzamiński, Jordan/KP&A



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

Niemal w jednym czasie na ekrany kin i do niekodowanej emisji (wcześniej serial „Chyłka – Zaginięcie” można było odpłatnie obejrzeć w internecie) wchodzi produkcje, w których pierwszoplanowe kobiece role gra aktorka niezwykle interesująca. Dzięki tym bohaterkom mogła się pokazać i wykazać. Oba filmy były wyczekiwane, a więc nagłościone już od etapu scenariusza. Czy spełniły oczekiwania? Także wobec Magdaleny Cieleckiej?

NAPĘD NA CZTERY KOŁA

Powieść Joanny Bator „Ciemno, prawie noc” w 2013 r. została uhonorowana Literacką Nagrodą Nike. Teraz do kin trafia adaptacja wyreżyserowana przez Borysa Lankosza, autora rewelacyjnego kinowego debiutu – „Rewersu” i słabszego „Ziarna prawdy” (według kryminalnej powieści Zygmunta Miłoszewskiego). Serial „Chyłka – Zaginięcie” (którego reżyserem jest Łukasz Palkowski, twórca doceniany m.in. za kinowy film „Bogowie” i odcinkowego „Belfra”) powstał na podstawie jednej z części bestsellerowego prawniczego thrillerowego cyklu Remigiusza Mroza. W obu przypadkach intryga rozwija się wokół głównej kobiecej postaci. Z założenia bohaterki miały być od siebie bardzo różne.

– Chyłka to czołg, napęd na cztery koła, „po trupach do celu” – charakteryzuje postać ekranowej prawniczki Magdalena Cielecka. Z kolei Alicja Tabor, bohaterka „Ciemno, prawie noc” – jeśli bierze się pod uwagę jej gotowość do działania – jej zdaniem bardziej jest świadkiem, słuchaczem; kimś, w kim odbijają się potworności tropione przez bohaterkę. – Musiałam budować tę rolę zupełnie inaczej niż Chyłkę, właśnie na wycofaniu, na słuchaniu ludzi, z którymi Alicja przeprowadza reporterskie



Magdalena Cielecka i Marcin Dorociński w filmie „Ciemno, prawie noc”

Fot. Kino Świat

rozmowy – tłumaczy Cielecka w jednym z wywiadów.

DEMONY PRZESZŁOŚCI

W głównej postaci „Ciemno, prawie noc” emocje miały być głęboko schowane, a jednocześnie „buzować gdzieś pod skórą”. Aktorka zauważa, że w opowieści Borysa Lankosza krzyczała tylko raz. Zupełnie inaczej niż w większości jej ról. To poskromienie, powściągnięcie ekspresji, przy równoczesnym utrzymaniu emocjonalnego napięcia tuż „pod powiekami” było trudne. Chętnie jednak wybrała się z bohaterką w tę „podróż do samej siebie, do przeszłości”, podjęła z nią próbę uporania się z traumami dzieciństwa.

Proces oczyszczania się ze wspomnień towarzyszy reporterskiemu śledztwu związanemu z tajemniczymi zaginięciami dzieci. Rozpoczyna się z chwilą powrotu bohaterki do Wałbrzycha – rodzinnego miasta, pełnego wydobywanych z pamięci demonów i niezwykle sugestywnych, znaczących przestrzeni.

SAMIEC ALFA

„Ciemno, prawie noc” Lankosz nazywa „okrutną bajką”, która ma dosłownie wciągać widzów – zarówno w meandry przeszłości, jak i ludzkiej psychiki. Niejako dla przeciwwagi, wobec wycofanej, podążającej do jądra dramatu Alicji Tabor, prawniczka Joanna Chyłka eksploduje (głównie słowną) ekspresją. Jest bezwzględna i beczelna. Nie bierze jeńców, co obwieszcza, często nie przebiegając w słowach.

Oczywiście nawet najbardziej spektakularne przeklinanie nie gwarantuje zbudowania mocnej postaci, nie prze-

kona widzów o sile, która tkwi wewnątrz postaci, a nie tylko wylewa się w fali słownej agresji. Magdalena Cielecka wydaje się jednak zadowolona z efektu. Dostrzega w kreowanej postaci wspólne cechy osobowościowe, „podobny rodzaj energii, aury, ostrości”, którą ona sama w sobie ma lub może wygenerować na potrzeby roli.

Mecenas Chyłkę nazywa samcem alfa. Przyznaje, że charakter postaci był dla niej wabikiem, argumentem za przyjęciem roli. „To męska bohaterka. Przy całej kobiecości, którą ma i której używa. Mężczyźni się jej trochę obawiają” – komentuje w jednym z wywiadów. I już się cieszy na zapowiadany drugi sezon serialu.

Chyłka rządzi mężczyznami, używając męskich strategii. Grająca ją aktorka poza oficjalnymi prezentacjami też wydaje się unikać typowych damskich trików. Mówi o sile kobiecości i jednocześnie świadomie rezygnuje z atutów kobiecej urody, czar. Charakterystyczny dla jej wizerunku chłód (niczym u hitchcockowskich blondynek) w początkach kariery działał jak magnes nie tylko na mężczyzn z romantycznej komedii Piotra Wereśniaka „Zakochani” (2000 r.). Od pamiętnego debiutu w „Pokuszeniu” (1995 r.) Barbary Sass bohaterki Cieleckiej – nawet te najbardziej doświadczone życiowo, wewnętrznie rozdarte, niejednoznaczne – miały w sobie pociągający wewnętrzny blask. Były magnetyczne.

Chyłka i Alicja Tabor – w założeniu intrygujące, mocne, z sukcesami i siłą oddziaływania na otoczenie – z jakiegoś powodu przywołują skojarzenie ze zmodyfikowaną frazą piosenki o Izoldzie Zbigniewa Wodeckiego: „Ta smutna, pewna siebie szara pani”.

„Paradiso” - kabaret historii

Paradiso” to widowisko telewizyjne, napisane i wyreżyserowane przez Andrzeja Strzeleckiego, specja od przedstawień komediowych, muzycznych. Ale i smakosza historii, miłośnika opowiadania o niej poprzez anegdotę.

W kilku momentach jego sposób narracji, pełnej smaczków, aluzji, nieoczywistych i czasem niedomkniętych obserwacji, zapierał mi dech w piersiach. W warszawskim lokalu o nazwie Paradiso w roku 1938 przewijają się goście, ludzie z elit dosiadają się do siebie. Są lęki i są interesy, są romanse i są nieszczęśliwe miłości, przeplatane się z politycznymi skeczami.

Wszystko to kąpie się w muzyce Marka Stefankiewicza, bardziej progresywnej niż tamta międzywojenna, za to wychwytyjącej klimat spleenu przemieszanego z kabaretem. Scenografia Marka Chowańca dobrze wylawia konkret, choćby pochodzące z epoki bibeloty w biurze Drawicza, właściciela restauracji, a zarazem z całej przestrzeni, nieco kiczowatej, zgodnej z poetyką tamtych lokali, czyni właściwie metaforę. Nad tym rojowiskiem unoszą się piosenki. Katarzyna Dąbrowska, piękna, o melodyjnym, seksownie schrypniętym głosie, ma w tym głosie coś z tragiczki. Ona się nadaje na wieszczkę katastrofy.

To nie jest ani apoteoza odchodzącej w niebyt II RP, ani jej potępienie. Te same postaci, jak choćby pułkownik Maślakiewicz, grany przez Krzysztofa Tyńca, zdolne są do zachowań małych i tragicznych. Szczególnie odważne wydało mi się wyraziste potraktowanie grzechów państwa sanacyjnego. Jeden z głównych wątków to poszukiwanie zemsty przez pisarza Wierzejskiego (Piotr Machalica) na wiceministrze spraw wewnętrznych Barwickim (Sławomir Orzechowski) – za swój pobyt w Berezie Kartuskiej. Ta historia jest fikcyjna, ale padają odwołania do faktów: pobicia Tadeusza Dołęgi-Mostowicza czy Adolfa Nowaczyńskiego, absur-

dalnej ustawy o ochronie imienia marszałka Piłsudskiego. Unosi się w powietrzu pytanie, jak to się stało, że ludzie często inteligentni i zasłużeni dopuszczali się nadużyć władzy i rozbojów. To pytanie o naturę polskiej historii, niesłusznie przedstawianej jako wielka zawsze apoteoza wolności.

To widowisko nie byłoby tak ekscytujące, gdyby nie popisy aktorskie. Nieszczęśliwy, refleksyjny Baron grany przez Piotra Fronczewskiego, trzpiotowaty, jakby świadomy własnej małości aktor Orsza (Jan Englert), zapobiegliwy, ale też naznaczony tragizmem swojej rasy producent filmowy (Wojciech Pszoniak), przegrany właściciel Paradiso Drawicz (Witold Dębicki), ekscentryczna, czująca nadciągający kataklizm hrabina (Ewa Wiśniewska) – patrzyłem z podziwem na twarze, które towarzyszą mi od dzieciństwa. I miałem wrażenie, że zebrali się raz jeszcze, żeby mi objaśnić rzeczywistość.

Najbardziej dramatycznie, wręcz po szekspirowsku, brzmią jednak dialogi między Machalicą i Orzechowskim, pisarzem i jego katem. No i jest jeszcze mnóstwo postaci drugiego planu, które chciałoby się wymienić: Tomasz Sapryk,



Krzysztof Tyńec, Oskar Hamerski, Joanna Pałucka. Szczególnymi owacjami chciałbym nagrodzić Dominikę Kłuzniak w roli zdeorientowanej, do końca żyjącej w swoim kokonie, żony sanacyjnego dygnitarza.

Teatr Telewizji nie tylko porwał się na przedsięwzięcie trudne technicznie. Trzeba było ten pulsujący emocjami świat wykreować w pięć dni nagrań. Ale pokazał, że wbrew duchowi czasów – tożsamościowych laurek lub karykatur – potrafi powiedzieć o polskiej historii coś niebanalnego.

Piotr Zaremba

SBB

jak pierwsza dziewczyna



*Z **Apostolisem**, wybitnym gitarzystą i perkusistą, od 1971 r. członkiem supergrupy SBB, rozmawia Jaromir Kwiatkowski*

Fot. Jaromir Kwiatkowski

W jednym z wywiadów powiedziałeś: „Pantofle i telewizor nie są dla mnie”.

Apostolis Anthimos: Jak siedzę w domu, to pantofle co prawda nie mam, ale zakładam japonki. Przed telewizorem też wysiaduję. [śmiech]

Myśle, że powiedziałeś to wtedy w innym kontekście: że rasowi muzycy – czy to rockowi, czy jazzowi – nigdy nie składają broni.

To się zgadza.

Ty broni nie składasz. Grasz nie tylko z SBB, lecz realizujesz także solowe projekty.

Cały czas działam, próbuję.

Rozmawiamy przed koncertem w Rzeszowie, promującym twoją najnowszą płytę solową „Parallel Worlds” (Światy równoległe), wydaną w 2018 r. Zawiera ona twoje nowe, ale też starsze kompozycje w zaskakujących, jazzowych i funkowych aranżacjach.

Kocham jazz. Dlatego chciałem zrealizować ten projekt z fortepianem i saksofonem. Moje utwory zabrzmiały w nim nieco inaczej. Promujemy płytę „Światy równoległe” podczas serii koncertów. Są one może małe, ale są. Można pograć. Kocham grać z tymi chłopakami [Robert Szewczuga na basie, Piotr Matusik na instrumentach klawiszowych i Olaf Węgier na saksofonie – przyp. J.K.].

Są młodzi, ale już znakomici.

To prawda, bardzo energetyczni i kreatywni. Codziennie pękam ze śmiechu, bo są tak zabawni i „odjechani”. Basista wydał w 2018 r. swoją pierwszą solową płytę. Jest rewelacyjna.

Grasz w tym projekcie głównie na bębnach, czasem na gitarze. Pamiętam twoje perkusyjne „bitwy” z Jerzym Piotrowskim na koncertach SBB jeszcze w latach 70., ale jednak twoim głównym instrumentem zawsze była gitara. Co się stało?

Całe życie chciałem grać na bębnach. 51 lat oczekiwania i w końcu nadszedł

ten moment, kiedy powiedziałem „nareszcie”. Trochę późno mi to wyszło. Żałuję i nie żałuję.

Lepiej późno niż wcale.

No tak. Ale mogłem to zrobić wcześniej.

Robiłeś przecież.

To prawda. Nagrałem na bębnach pięć płyt z Tomkiem Stańką.

To jeszcze nie było to?

Nie, bo to była muzyka Tomka Stańki. Ja chciałem robić swoje rzeczy. Chciałem, żeby to była moja muzyka.

Ten projekt, który zaowocował płytą „Parallel Worlds”, to...

...spełnienie mojego marzenia.

Cofnijmy się o kilkadziesiąt lat. Czy to prawda, że dla muzyki zrezygnowałeś ze szkoły?

Tak, to prawda. Chodziłem do szkoły zawodowej. Na lekcjach grałem po cichu na gitarze w ostatniej ławce. Nauczyciel się wkurzył i powiedział: „Antymos, dosyć tego!”. Mieliśmy w tygodniu trzy dni warsztatów, to siedziałem w szatni, żeby sobie nie psuć rąk na maszynach. Instruktorzy przymykali na to oko. Dyrektor mnie zapytał: „Czy nie możesz zostać inżynierem i muzykiem?”. Odpowiedziałem: „Tego nie da się połączyć”.

Jak poznałeś Józefa Skrzekę?

Byłem zafascynowany Józkiem, jeszcze kiedy grał w Breakoutach. Miałem wtedy 15 lat. Widziałem ich koncert. Zapamiętałem, że Józek śpiewał unisono z basem, miał też solo na tym instrumencie. To było rewelacyjne. Potem usłyszałem, że odszedł z Breakoutów. Ja już się wtedy kręciłem po śląskich klubach. Pierwsze poważniejsze granie, jakie miałem, to było spotkanie z muzykami trochę starszymi ode mnie, którzy znali Józka. Zagraлиśmy w trio z Jurkiem Piotrowskim na bębnach i Krzysztofem Murkiem na basie. Murek mnie zaanonsował Józkowi. To znaczy dał mu cynk, że jest taki mały Grek, który coś tam „pieprzy” na gitarze [śmiech]. Było

trzech gitarzystów, którzy chcieli grać z Józkiem: Alek Mrozek, wybitny gitarzysta, Andrzej Konwiński i ja. Tamci dwaj byli bardziej dojrzałi ode mnie.

Ale Skrzek wybrał ciebie.

Tak, postawił na mnie. Mnie też zależało. A on mi powtarzał: chcesz grać, ćwicz.

Pewnie dlatego powiedziałeś w jednym z wywiadów: „W muzyce jest tak, że ile dajesz, tyle dostajesz”. Czyli ćwicz, ćwicz i jeszcze raz ćwicz.

Trzeba pracować. Talent to 5–10 proc. sukcesu, reszta to praca.

To pewnie dobre przestanie doświadczonego muzyka dla młodych instrumentalistów. Zwłaszcza dla tych, którym się wydaje, że skoro coś tam już opanowali, to kariera stoi przed nimi otworem.

Można coś opanować. Można zrzucać cudze frazy i na tej podstawie uważać, że jest się dobrym. Ale to za mało. Owszem, można się inspirować kimś, ale trzeba szukać swojej drogi. Ja też ściągałem dwie frazy B.B. Kinga, ale później próbowałem budować na nich swoje dźwięki.

W 1971 r. Skrzeka, Piotrowskiego i ciebie, czyli raczkującą jeszcze grupę SBB, zaangażował Czesław Niemen. Stworzyliście wtedy – wraz z kontrabasistą Helmutem Nadolskim i trębaczem Andrzejem Przybielskim – Grupę Niemen. Grupa Niemen i SBB to dla mnie dwa najbardziej niezwykle zjawiska w całej historii polskiego rocka.

Dla mnie też.

Jak to jest, gdy taka gwiazda jak Niemen mówi: „Biorę go”. Miałeś wtedy 17 lat.

Niemen już nas podsłuchiwał w studiu, kiedy robiliśmy pierwsze nagrania dla radia. Pamiętam, że był w reżyserce. Dla mnie gra z Niemenem to była bajka, tym bardziej że miał on już dobry układ z wytwórnią CBS. Pierwsze granie, jakie miałem, było z Jackiem Bruce'em jako support. Potem nagrywaliśmy w Monachium,



w najlepszych studiach. Nocowaliśmy w hotelach. Bajka niesamowita. A byłem wtedy jeszcze szczylm.

Co wniósł Niemen w twój rozwój muzyczny?

To było moje pierwsze spotkanie z muzyką free. Tyle muzycznych barw... Tak też może iść muzyka: bez rytmu, bez melodii, a wszystko się zgadza.

Graliście z Niemenem dwa lata. Później były złote lata SBB (okres 1974–1980), kiedy grupa należała do europejskiej czołówki rocka progresywnego. W końcu przyszło zmęczenie bardzo intensywną działalnością nagraniową i koncertową, zawieszenie funkcjonowania, okazjonalne występy i powrót na scenę na początku nowego wieku. SBB istnieje do dziś, choć już tak intensywnej działalności jak w latach 70. nie prowadzi.

To prawda, graliśmy kiedyś bardzo dużo. Teraz jest słabiej, ale gramy.

W latach 70. SBB wyznaczało nowe horyzonty muzyczne, dziś jest jakby trochę w cieniu.

Minęło ponad 40 lat... Ale ludzie nadal przychodzą na koncerty. Ci, którzy jeszcze żyją, bo wielu fanów już odeszło. Jesteśmy już trochę wiekowi, nie ma na to rady.

Młodzi ludzie mało was znają.

Są tacy, którzy nas znają.

Ale większości młodych nazwa SBB niewiele mówi. Jak kiedyś puściłem kolegom mojej córki wasz koncert z 1974 r. w klubie Stodoła, który znalazł się na waszej debiutanckiej płycie, opadły im koparki i nie mogli uwierzyć, że tak się w Polsce grało w latach 70.

No tak. To było coś.

W 2014 r., po 20 latach przerwy, w SBB za bębnami usiadł znów Jerzy Piotrowski.

Za moją namową.

Piotrowski mieszkał w USA. Przeczyłem szok, kiedy przeczytałem, że



w ogóle nie zajmuje się muzyką. Taki kawał bębniarza!

Jego prywatna sprawa.

Jasne. Czy po 48 latach wspólnego grania wasze trio czerpie z tego jeszcze jakąś frajdę, czy czasami już nie możecie na siebie patrzeć?

Czuję duży sentyment do SBB, bo w nim wyrosłem. Dorastałem, dojrzewałem... Józek jest świetnym muzykiem i dalej gramy jak młodzi. Jakbyśmy mieli po 18 lat. Inaczej się nie da. Nie możemy wyjść i odgrzewać starych kotletów. Gramy z zaangażowaniem, jesteśmy kreatywni. Jak kiedyś.

Nagrywacie nowe utwory, ale gracie też swoje stare hity.

Ale one są improwizowane, brzmią inaczej niż kiedyś. Ocierałem się o różnych muzyków: SBB, Tomek Stańko, Czesław Niemen. W 1993 r. grałem na bębnach z Patem Methenym na jam session. Potem pojechałem do Nowego Jorku, nagrałem pierwszą płytę. Grałem z najlepszymi tego świata. Każda muzyczna przygoda była fajna. Każda stanowiła impuls do rozwoju. Ostatnio grałem z Étienne'em M'bappé i Garym Husbandem. Wyszła z tego płyta, ale jest tylko w internecie. To są czołowi światowi muzycy, którzy przyjechali, nauczyli się moich numerów i bardzo je szanowali. Ale SBB jest dla mnie szczególne. Jak pierwsza dziewczyna. Można tak powiedzieć. Tych „dziewczyn” było później kilka. A każda z nich była inna [śmiech].

O współczesnej muzyce tak powiedziałeś w jednym z wywiadów: „Obecnie mamy do czynienia z natłokiem pomysłów, z których nic nowego nie wynika”. Czy to oznacza, że współczesny rock, blues czy jazz cię rozczarowują?

Wszystko już było. Nie ma drugiego Milesa Davisa, Weather Report czy

Jimiego Hendrixa. Nikt już nie zagra na gitarze tak jak Hendrix.

Mimo że są muzycy technicznie lepsi od niego, szybsi...

Jest kupa młodych, świetnych muzyków. Ale Hendrix jest jeden.

Masz takie poczucie, że twoja muzyka, to, co robiłeś w różnych dekadach, przetrwa próbę czasu?

Nie wiem. Nie analizuję tego.

Jak się funkcjonuje w muzycznym świecie, w którym – żeby być na topie – trzeba wygrywać medialnie, dbać o PR i tak dalej?

Niestety, ja tego nie potrafię. Mimo że grałem z wieloma wybitnymi muzykami, w mediach mnie nie ma.

Józef Skrzek opowiadał mi kiedyś, że na początku istnienia SBB, na scenie trochę chowałeś się z gitarą za kolumny.

Nie tylko trochę. Cały się chowałem.

Byłeś taki nieśmiały?

Tak, byłem wycofany, wstydliwy. Dopóki nie zagrałem z Methenym i kilkoma wybitnymi muzykami czy nie pojechałem do Nowego Jorku.

Wtedy nabrałeś poczucia własnej wartości?

Tak. Mam trochę niską samoocenę. Zależy ona od tego, jak mi wyjdzie dźwięk.

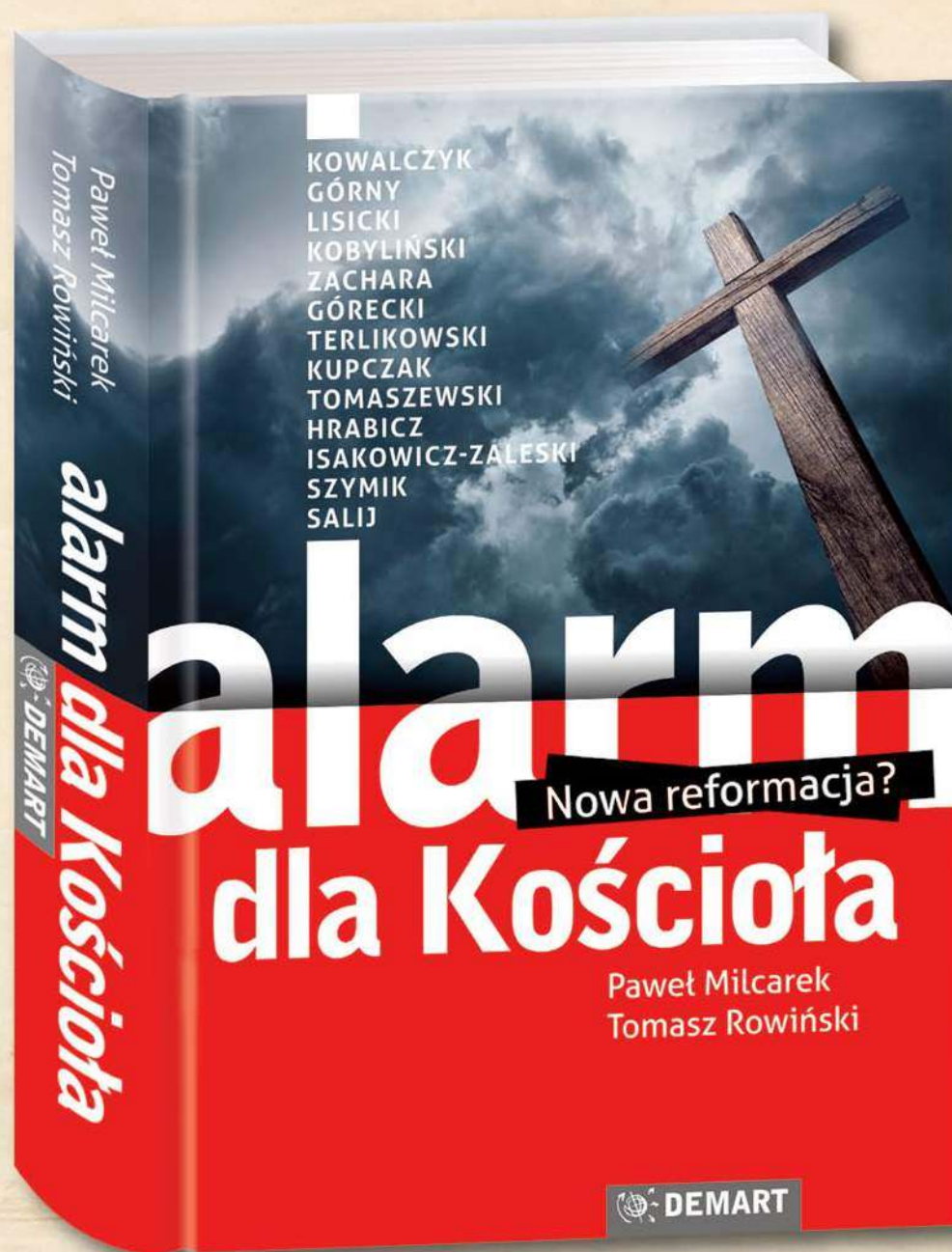
Mówi się, że i rockmani, i jazzmani grają bluesa. Ale w jednym z wywiadów powiedziałeś, że oni wszyscy tak naprawdę grają muzykę grecką, bo współczesne skale są tradycyjnymi greckimi akordami.

Tak, to się zgadza [śmiech]. Blues powstał jako muzyka ciężko pracujących niewolników, potem przeszedł w jazz. Ale jak ktoś chodził do szkoły i uczył się skal, to wie, że są to wszystkie skale greckie.

Czyli wszystko zaczęło się od Greków.

Tak jest! I Grecja jest najpiękniejsza [śmiech].

Już w kwietniu!



Spotkanie z autorami odbędzie się 8 kwietnia 2019 r. (poniedziałek) o godz. 18.00 w Auli Wielkiej Collegium Bobolanum przy ul. Rakowieckiej 61 w Warszawie.

Wstęp wolny.

Autorzy będą podpisywali książkę na XXV Targach Wydawców Katolickich w sobotę 6 kwietnia w godz. 11.00-12.00.

www.demart.com.pl



Wojciech Stanisławski

Słodycz i szkło Sybiru

Losy Polaków zsyłanych od Archangielska po Pamir nie zawsze były tak dramatyczne jak na płótnach Malczewskiego. Bywały też jednak bardziej okrutne, pozbawione nawet tej słodkawej pociechy, jaką daje patos

Konstrukcja jurt. Animizm Ajnów. Głuszcze i gołomianki (to taka rybka, żyworodna) i cała biologia Bajkału. Chrabąszcze Czekańskiego, góry i mamuty. To odkrycia tych największych, podręcznikowych: Piłsudskiego (Bronisława), Dybowskiego, Czerskiego. Gdy dodać do nich tuzin bohaterów drugiego planu, którzy pojawiają się w zbiorze szkiców biograficznych Wojciecha Lady, okazuje się, że nie ma nadzieiny, w której polscy badacze nie przyczyniliby się do opisanie Sybiru.

Syberia to wyzwanie, jedyny obszar nacechowany w polskiej wyobraźni tak jednoznacznie, wpisany w doświadczenia kolejnych pokoleń. Sybir rozumiany raczej duchowo niż geograficznie (w takim znaczeniu zsyłkowym „Sybirem” może być także republika Komi albo kazachski step) znaczył męczeńską śmierć – czy to we wspomnieniach generała Józefa Kopcia, powstańca kościuszkowskiego, czy w „Anhellim”, czy w rozmowach Miłosza z Aleksandrem Watem.

Ciężar tej tradycji może skłaniać do przekory, do chęci opisanie „ludzkiego wymiaru” Syberii, na której tysiące zesłańców założyło w końcu rodziny, czasem zrobiło kariery lub zdobyło fortuny. Wśród dzieł ukazujących niejednoznaczność tamtego doświadczenia prym wiodła dotąd późna powieść Igora Newerlego „Wzgórze Błękitnego Snu”. „Pożytki z katorgi” Wojciecha Lady mogą być jej świętym uzupełnieniem.

O dokonaniach polskich XIX-wiecznych uczonych czynnych na zesłaniu sporo już pisano, w czasach PRL usiłowano, absurdalnie i anachronicznie,

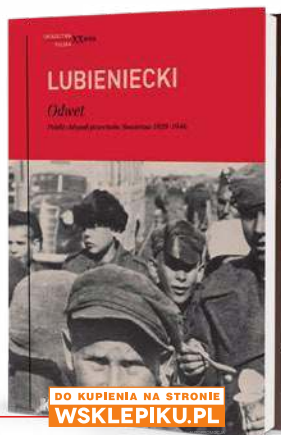
stawiać ich za wzór polsko-rosyjskiej współpracy naukowej. Lada próbuje innej drogi: widać, że pociąga go przekora wobec historii namaszczonej, ucieka się jednak do formuły przymrużenia oka po to tylko, by przypomnieć twarde fakty, w tym przede wszystkim zmianę formuły „zsyłki”, na jaką zdecydowały się władze carskie w ostatniej ćwiartce XIX w. Nadal była to kara okrutna, miała jednak coraz mniej wspólnego z obrazami utrwalonymi za sprawą „Dziadów”. Przed zesłańcami otwierały się możliwości działania i Lada opisuje różne sposoby, na jakie mieli szansę się spełnić: przedsiębiorczość, starania matrymonialne, przede wszystkim zaś badania mieszkańców i zasobów Syberii. A że przy okazji zawierali pakt z Petersburgiem, przyczyniali się do umocnienia zwalczanego do niedawna państwa, ba, angażowali się w misje wywiadowcze? To tylko pokazuje, że tundra bywa grząska również w przenośni.

Z prawdziwie infernalnym wymiarem doświadczenia syberyjskiego mamy jednak do czynienia dopiero we wspomnieniach zatytułowanych „Odwet”, które są zjawiskiem bez precedensu nawet na tle wyjątkowo bogatej polskiej literatury la-growej i zsyłkowej. Ich autor, Zbigniew Lubieniecki, po wrześniu 1939 r. znalazł się jako chłopiec, wraz z matką i dwiema siostrami, na stronie sowieckiej. W jednej z pierwszych fal wywózek trafili do osady w tajdze, zwolnieni zaś ze zsyłki – do Kraju Ałtajskiego. Do Andersa do-

trzeć się nie udało; do Polski powrócili w połowie 1946 r.

Nawet czytelnik, który czuje się oswojony z „kanonem” zsyłkowych wspomnień, będzie wytrącony z równowagi. Ani pojedyncze głosy, ani niezwykły zapis relacji polskich dzieci, jakim jest antologia „W czterdziestym nas, matko, na Sybir zesłali...” (stworzona w latach 80., co godzi się przypomnieć, myśląc o złożoności ludzkich losów, przez Jana Tomasza Grossa) nie przygotują nas na tę lekturę. Niespodziewana jest zarówno intensywność zapisu, jak i koncentracja okrucieństwa: gdyby pokusić się o ranking najbardziej przejmujących agonii, z jakimi spotykamy się w „Odwiecie”, trudno powiedzieć, czy śmierć w więzach po pokąsaniu przez chore na wściekliznę szczury wygrałaby z zamaraniami żywcem, czy z miazdzeniem przez zwałoną sosnę, czy wszystkie przelicytowałyby „strzał miłosierdzia” oddany w głowę śmiertelnie rannego oficera przez dziewięciolatka.

Odmiany śmierci nie są jednak tak szokujące jak to, że opisuje je (a czasem zadaje) dziecko, z czasem nastolatka, który na naszych oczach próbuje różnych ról, przymierza różne skóry i języki relacji. Bywa mścicielem, rzuconym na Wschód harcerzem Szarych Szeregów, który łączy pomysłowość skauta z wolnym od wątpliwości patosem „małego powstańca”, dzięki czemu zadaje Sowietom nieprzeliczone straty, niszcząc ich trofejne samochody, podpalając maga-



Zbigniew Lubieniecki, „Odwet. Polski chłopak przeciwko Sowietaom. 1939–1946”, Karta, 2019

zyni i okradając składy. Jest, kilka stron dalej, beztróskim wędrowcem z „Lata leśnych ludzi”, Robinsonem, który wędruje samotnie przez bór, gdzie „ziemia między drzewami ma barwę matowego srebra”, i żywi się miodem z barci dzikich pszczół.

Bywa też jednak Lubieniecki Gavrochem, oskarżycielem, pożeraczem ksiąg

żek, który nie wzgardził ani Dumasem, ani Sienkiewiczem. Bywa – pozostaje – synem i bratem, który ocala najbliższych od śmierci głodowej, co nie przeszkadza mu zarazem być wagabundą zostawiającym na poduszce kartkę „Wróć na wiosnę” i ruszającym na włóczęgę. Bywa bezprizornym, którego doświadczenia złodziejskie, podróżnicze, ba, erotyczne dadzą się porównać bodaj tylko ze wspomnieniami innego wagabundy z czasów rewolucji i wojny domowej, z „Zostało z uczty bogów” (znów Newerly!). Bywa wreszcie – to najtrudniejsza – „starym maleńkim”, cynikiem, który demonstruje swoje wypalenie, beznamiętnie komentując kolejne śmierci na swoim szlaku („Może był to jakiś prosty chłop z Wileńszczyzny, a może doktor filozofii czy artysta. Kim by nie był, pozostało po nim tylko trochę gówna”).

Taki ton bywa owocem źle dobranych lektur, echem podsłuchanych kryminalistów, stylizacją w duchu bohaterów późnego Hłaski. Najczęściej jest wołaniem o pomoc, o przywrócenie dzieciń-



Wojciech Łada, „Pożytki z katorgi”, Czarne, 2019

stwa, co przecież nie może się udać. „Nasze dzieci nie lubią bajek bawią się w zabijanie / na jawie i we śnie marzą o zupie chlebie i kości” – pisał Herbert w „Raporcie z oblężonego Miasta”, a my braliśmy to za mocną frazę. Teraz, za sprawą wspomnień Zbigniewa Lubienieckiego, wiemy już, że mamy, mieliśmy polskie „dzieci wojny” w niczym nieustępujące pewnie nastolatkom walczącym dziś w afrykańskich partyzantkach. Ale też – gdyby ktoś miał kiedyś odwagę i środki, by nakręcić nieprzesłodzony, porażający film o sześciu polskich latach na nieludzkiej ziemi – mamy praktycznie gotowy scenariusz.

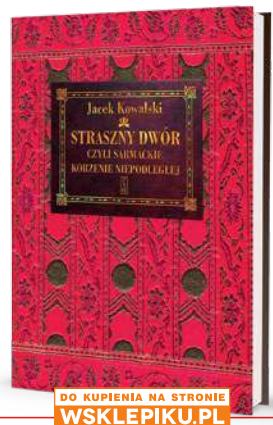
Sarmaticon

Już samo odtworzenie podchodów, jakich dokonywać musiał wydawca libretta „Strasznego dworu” w roku 1865, może zachęcić do lektury. Carska cenzura to rzecz legendarna: brutalna i tępa zarazem, tnąca słowa na odlew i łatwa do przechytrzenia, ociężała praprzodek instytucji przebiegłej i pomysłowej, która wiek później kontrolowała słowo drukowane w Polsce. Skoro więc znalazł się wydawca chętny, by po raz pierwszy opublikować oryginalny tekst autorstwa Jana Chęcińskiego, reprodukując rękopis, obok zaś drukując tekst z zaznaczonymi zaleceniami, skreśleniami i ustępstwami cenzora – warto poń sięgnąć.

Ale to zaledwie uwertura: 500-stronicowa praca poety i historyka literatury Jacka Kowalskiego to kompendium wiedzy o „najbardziej polskiej z oper” i jej kompozytorze, tyle że ubrane nie

w modną formę encyklopedii, lecz gawędy, w której znalazło się miejsce i na biografii Moniuszki, i na odtworzenie atmosfery „Warszawy powojennej” – zdziesiątkowanej zryłkami, a zarazem osławianej przez zaborcę takimi właśnie gestami, jak zgoda na premierę „Strasznego dworu” we wrześniu 1865 r.

Będzie to lektura dla entuzjastów ciekawych plotek o obsadzie, sekretów scenograficznych, objaśnienia szczegółów intrygi ukrytych pod dość konwencjonalnymi wersami libretta. Nie należy się też spodziewać, by w czasach, kiedy wybuchają protesty rodziców przeciw przeciążaniu uczniów lekturą jakiejś „Lalki” czy innego Mickiewicza, były widoki na skokowy wzrost popularności dzieła sławiącego sielskie stadło. Tyle że Jackowi Kowalskiemu idzie o coś innego: o ukazanie długiego trwania tradycji I RP, powracającej w kolejnych od-



Jacek Kowalski, „Straszny dwór, czyli sarmackie korzenie niepodległej”, koncepcja artystyczna i projekt wydawnictwa Jacek Kotela, PIW, 2019

biciach: XIX-wieczna opera odtwarza „świat panów Pasków” i reprodukuje go na potrzeby kolejnych pokoleń. Ryzyko ucukrowania tej tradycji, stworzenia popkulturowego „neosarmatyzmu” jest spore. Zagrożenie, jakie wiązałoby się z jej porzuceniem, nieporównanie większe.



88-letni Clint Eastwood w ostatniej dekadzie przed kamerą pojawił się tylko dwa razy. W 2012 r. zagrał w sportowym filmie „Dopółki piłka w grze” Roberta Lorenza. U siebie zagrał w kultowym już „Gran Torino” (2008). „Przemytnik” jest podobny właśnie do tego filmu. Oba napisał zresztą ten sam scenarzysta Nick Schenk. W „Gran Torino” Eastwood rozliczał się z wizerunkiem mruśliwego twardziela wyjętego z serii „Bрудny Harry”. W „Bez przebaczenia” zerwał z mitologicznym rewolwerowcem bez imienia. Teraz robi spowiedź jeszcze bardziej osobistą.

„Przemytnik” jest oparty na artykule w „The New York Times” z 2014 r. o weteranie II wojny światowej Leo Sharpie, który w wieku 90 lat przemyczał narkotyki dla meksykańskiego kartelu. Eastwood znacząco zmienił akcję. Earl Stone jest weteranem wojny w Korei (tak jak Kowalski z „Gran Torino”) i zajmuje się hodowlą ozdobnych kwiatów. Przez lata odnosił sukcesy w swojej branży, którą zabił internet. Stone zaniedbał swoją rodzinę na tyle mocno, że jest odrzucony przez własną córkę. Dobre kontakty utrzymuje jedynie z wnuczką, której teraz chce pomóc finansowo. Stone przez całe życie nie dostał nawet mandatu za prędkość. Jest starszym białym mężczyzną w pick-upie, więc nie wzbudza podejrzeń drogówki. Jest idealną mrówką (w angielskim żargonie „mulem”) przemytniczą.

Zarabia krocie. Funduje wnuczce wesele i ratuje ulubioną knajpę dla weteranów, w której od 50 lat się stołuje. Jednak

zabawa z kartelami ma swoją cenę. Spokojnie, nie spodziewajcie się kolejnego „Sicario” ani „Narcosa”. Eastwood jest zdystansowany od całej intrygi sensacyjnej i doprawia opowieść sporą dawką humoru. Niezlomny wróg poprawności politycznej igra sobie z żartami oburzającymi dzisiejsze pokolenie płatków śniegu z twarzami wlepionymi w smartfony. Zapewne pretorianie politpoprawności zarzucą mu seksizm (stary człowiek i może z ponętymi, rozebranymi Meksykanami?!) i rasizm (jak można się nabijać z Latynosów?!).

„Przemytnik” jest spowiedzią Eastwooda. Najciekawszą częścią tej opowieści jest obnażenie twarzy przegranego życiowo faceta, który mimo kieszeni wypchanych pieniędzmi nie mógł kupić sobie czasu. Zaniedbał dobro rodziny. Poświęcił ją na ołtarzu z napisem „praca”. Czy Eastwood chce nam powiedzieć, że ma taki grzech w swoim życiu? Poruszająca jest jego rozmowa ze ścigającym go agentem DEA (Bradley Cooper), któremu mówi o istocie rodzinnych więzów. Ze łzami w oczach prawi o męskiej odpowiedzialności za najbliższych, niepolegającej na ograniczaniu się do zapewniania wyłącznie jedzenia na stole.

To zapewne ostatnia rola Clint Eastwooda. Pokrytego zmarszczkami, unikającego skalpela chirurgicznego człowieka wyjętego z innej epoki. Eastwood jest szczery i nie musi się oglądać na mody. Jest na to za stary. Cieszymy się jego wolnością, póki chce nam opowiadać good, old stories.

„PRZEMYTNIK” REŻ. CLINT EASTWOOD, DYSTR. WARNER BROS

Piękny finał

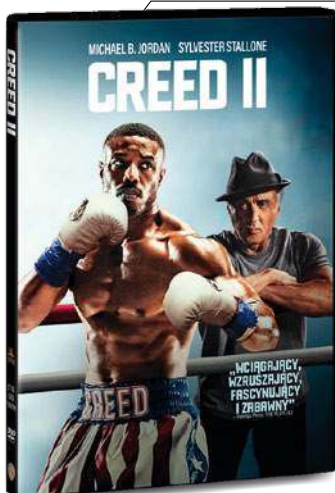
DVD/Blu-ray

Rocky Balboa to jedna z najlepiej skonstruowanych postaci w historii popkultury. Gdy wydawało się, że Sylvester Stallone ją zamknął w 2006 r., spin-off serii pt. „Creed” niespodziewanie nadal jej nowej głębi. Stallone za rolę chorującego na raka Rocky’ego i trenującego syna (Michael B. Jordan) swojego przyjaciela Apollo Creeda dostał Złotego Globa i nominację do Oscara. „Creed 2” zamyka na zawsze historię Rocky’ego i ciekawie rozwija wątek Adonisa Creeda. Chłopak jest mistrzem świata, ale wciąż żyje w cieniu zabitego na ringu przez Rosjanina Ivana Drago (Dolph Lundgren) ojca. Gdy na pojedynek wyzywa go jego

syn Victor (Florian Munteanu), Adonis staje przed szansą symbolicznego zamknięcia bolesnego rozdziału życia. Ivan Drago w końcu nabrał ludzkiej głębi. Nie jest już komunistyczną maszyną do zabijania, ale wypłutym przez matkę Rosję zgorzkniałym facetem, pragnącym sławy dla syna. Rozmowa Drago z Rockym po 30 latach od słynnej walki w Moskwie to emocjonalna bomba. Dwóch gladiatorów staje oko w oko. Tym razem za plecami swoich wychowanków. Piękne, męskie kino, które wywołało u mnie szkliste oczy.

„CREED 2”

REŻ. STEVEN CAPLE JR, DYSTR. GALAPAGOS



Ile w nas bestii?



Wilkolak” Adriana Panka to zupełnie zdumiewające dzieło, które wpisuje się w rodzaj kina, jaki uwielbiam. Eklektyczne gatunkowo kino postholokaustowe? Tego w polskim filmie jeszcze nie było.

Lato 1945 r. Ośmioro dzieci zabranych z wyzwołonego obozu koncentracyjnego Gross-Rosen trafia do prowizorycznego sierocińca stworzonego w zarekwirowanym po wojnie dworku. Dzieciaki nie wiedzą, czy ich rodzina przetrwała niemieckie piekło. Opiekunką dzieci jest Jadwiga (Danuta Stenka), która podczas jednego z wypadów do lasu ginie zagryziona przez dzikie zwierzę. Dzieci zostają same pod opieką 20-letniej Hanki (Sonia Mietelica). Ona również przeżyła obóz koncentracyjny. Wie dobrze, jakie demony mogą się pojawić w domu przez najmniejsze zagrożenie. Wyzwolenie obozu powinno być dla dzieci początkiem nowej drogi i próbą powrotu do dzieciństwa. Niestety czeka je nowy koszmar. W lasach otaczających dworek krążą obozowe wilczury, szkolone przez esesmanów do mordowania ludzi. Głodne, wściekle i zaprogramowane na zabijanie otaczają dom. Dom pozbawiony pożywienia i z licznymi miejscami, przez które można się dostać do środka. Koszmar powraca. Dzieci muszą uruchomić instynkty, które pozwoliły im przetrwać obóz.

Kiedy myślałem, że nie da się już nic nowego powiedzieć o Holokauście, pojawił się właśnie film Panka. Reżyser zjawiskowego „Daas” pokusił się o coś, co nie jest popularne w kinie dotyczącym Holokaustu. Zanurzył film w różnych

gatunkach. Kiedyś na taki krok zdecydował się Roberto Benigni, którego „Życie jest piękne” zawierało w sobie taką samą ilość grozy, komedii i romansu. Polski horror nigdy tak naprawdę nie istniał. Poza „Diabłem” (1972) Andrzeja Żuławskiego trudno mówić o naszej odmianie tego gatunku. Nadzieją dla jego fanów są młodzi twórcy, którzy pokazują takie filmy jak „Demon” śp. Marcina Wrony, „Wieża. Jasny dzień” Jagody Szelc czy „Córki dancingu” Agnieszki Smoczyńskiej.

„Wilkolak” ma świetnie zbudowaną atmosferę. Gęstą, klaustrofobiczną i kapitalnie podbudowaną nagrodzoną w Gdyni muzyką Antoniego Komasy-Łazarkiewicza. Panek nie przez przypadek został nagrodzony za reżyserię „Wilkołaka” na festiwalu w Gdyni. Doskonale poprowadził dziecięcą obsadę, grającą z ośmioma wytresowanymi wilczurami. Praca z dziećmi i zwierzętami to koszmar dla każdego reżysera. Panek wykreował koszmar na ekranie, wciągając w niego widza.

Las, zdewastowana posiadłość ze skrzypiącymi podłogami. Kryjące się zło za niewinnymi twarzami dzieci i potwór czający się w lesie. Panek doskonale zbalansował elementy klasycznego kina grozy. Nie nakręcił prostego horroru o wilkołakach. On zadaje pytania egzystencjalne i moralne. Jak daleko można się posunąć, by ocalić życie? Czy można poświęcić własne człowieczeństwo dla przetrwania? Ile w każdym z nas jest dzikiej bestii, gdy śmierć zagląda nam w oczy? Mocne i mądre kino trzymające za gardło od pierwszej sceny aż do metaforycznego finału.

„WILKOŁAK”

REŻ. ADRIAN PANEK, DYSTR. VELVET SPOON



Kino

Obsesja



Lisa (Maggie Gyllenhaal) jest typową przedstawicielką klasy średniej. Troje dorastających dzieci, kochający mąż, domek na przedmieściach Nowego Jorku i stabilna praca. Lisa jest lubianą przedszkolanką. Gdy w przedszkolu pojawia się pięcioletni Jimmi (świeży Parker Sevak), jej życie wywraca się do góry nogami. Chłopczyk w transie konstruuje wybitną poezję. Lisa uczęszcza na kurs poezji, jednak jej wiersze są banalne i nie wzbudzają entuzjazmu charyzmatycznego wykładowcy (Gael García Bernal). Spotkanie z chłopcem, którego zapracowany ojciec nie jest specjalnie

zainteresowany jego literackimi zdolnościami, prowadzi przedszkolankę do obsesji. Nagrodzony w Sundance film Sary Colangelo jest intrygującą mieszanką thrilleru z filmem o poezji. Gyllenhaal tworzy niejednoznaczny portret kobiety rozczarowanej własnymi dziećmi zapatrzonymi w smartfony. Nie może znieść marnotrawstwa talentu. „Przedszkolanka” to niepokojący moralnie, poruszający i opowiedziany na przyciszonych nutach obraz obsesyjnej miłości do sztuki oraz przenikliwy obraz sfrustrowanej kobiety.

„PRZEDSZKOLANKA”

REŻ. SARA COLANGELO, DYSTR. M2FILMS



Kino



Publikujemy ważne, programowe wystąpienie premiera Węgier Viktora Orbána. Wygłoszone zostało 15 marca w Budapeszcie, przed gmachem Muzeum Narodowego, w dniu narodowego święta Węgrów, w 171. rocznicę powstania 1848 r., które było częścią Wiosny Ludów. Głównym gościem uroczystości był Mateusz Morawiecki. Polski premier dzięki telewizyjnej transmisji przekazał milionom Węgrów przesłanie z okazji ich narodowego święta

Atakując Polskę, atakują Węgry

VIKTOR ORBÁN: CHCEMY NOWEGO POCZĄTKU, ABY ZATRZYMAĆ UPADEK EUROPY

Szanowny Panie Premierze! Szanowni uczestnicy uroczystości! Węgrzy z tej i z tamtej strony granicy! Dziś tutaj są z nami Polacy. Tu są i dziś, jak byli z nami cały czas w 1848 r. i 1949 r., następnie również w XX stuleciu. Panie Premierze, proszę przyjąć najlepsze życzenia Węgrów prosto z serca. Bez Polaków dziś Węgry nie byłyby wolnym krajem i Europy też nie sposób byłoby zjednoczyć na nowo.

Polacy dali nam świętego papieża Jana Pawła II i Polacy dali nam również „Solidarność”. Wy zmieniliście tym przebieg historii, a my mogliśmy odzyskać wolność i niezależność naszych narodów. My, Węgrzy, zdejmując kapelusze z głów, oddajemy hołd narodowi polskiemu.

Polska zajmuje szczególne miejsce w sercach Węgrów. Są tacy, którzy uważają, że taka ścisła przyjaźń dwóch narodów to jedynie romantyczna legenda, która się nie mieści w bezlitosnych prawach nowoczesnej polityki. Ale my, Polacy i Węgrzy, od tysiąca lat tak czujemy i wierzymy, że samo życie też jest jedną wielką romantyczną przygodą, która nic nie jest warta bez prawdziwych przyjaciół.

Mamy wspólną historię cierpień XX stulecia. Wiemy, jak należy być przyjacielem w najtrudniejszych czasach.

Natomiast teraz przygotowujemy się do innego rodzaju przyszłości. Przygotowujemy się do spektakularnego środkowoeuropejskiego podniesienia się, do powtórki kiedyś istniejącej naszej wielkości. Szykujemy się do renesansu środkowoeuropejskiego, o mierzającej sile, wynoszącej nas wysoko.

Teraz, także w historycznym okresie rozwoju, możemy pozostać przyjaciółmi, gdy wreszcie możemy żyć tak, jak tego zawsze chcieliśmy.

Przyjaciele, kilka dni temu byłem w Polsce. Widziałem, że jeżeli chcemy dotrzymać kroku rozwojowi w Polsce, to będziemy musieli wziąć się w garść.

Największym przodującym krajem Europy Środkowej jest Polska. Gdy z Brukseli spadają ataki na Polskę, wówczas te ataki kierowane są na całą Europę Środkową, także na nas, Węgrów.

Wszystkim budującym imperia, którzy chcieliby się kłaść cieniem nad Europą Środkową, przekazujemy: zawsze muszą się liczyć z silnymi więzami polsko-węgierskimi.

Szanowni uczestnicy uroczystości! „Nie zastanawiali się nad niczym, lecz ruszyli i dokonali rewolucji 15 marca jednym wierszem i kilkoma pobrząkującymi szablami studentów prawa. A my dziś z tego żyjemy” – tak pisał Kálmán Mikszáth.

Minęło siedem pokoleń od pierwszego 15 marca, a my nadal żyjemy z tego, że rok po roku składamy przysięgę na Boga, że wytrwamy w wolności i przeciw niewoli.

Wspólna przysięga narodu oznacza, że każdy Węgier stanie za każdym Węgrem i wszyscy Węgrzy wspólnie staną za

swoim krajem, za Węgrami. „Przysięgamy! Ty nad nami, Boże sam! Nigdy już niewolnikami nie być nam!”.

Szanowni uczestnicy uroczystości! 15 marca to obietnica jedności narodu. Niech będzie pokój, wolność i zgoda – tak się zaczyna 12 punktów manifestu Wiosny Ludów. Przypomina nam, że ponad codziennymi bojami, bitwami na słowa winien istnieć wspólny, narodowy cel, który nas jednoczy.

Tak wielu różnych Węgrów, miliony pragnień w wielorakich kierunkach dzisiaj też łączy wspólna wola, aby na Węgrzech żył wolny naród we własnym, niepodległym państwie. Czas miniony od 1848 r. już zdecydował, co jest prawdą, a co nie. Przesiał ten czas wszystko, co okazało się lekkie, i na ruszcie pozostała jedynie prawda. Prawda jest taka, że Węgrzy mają prawo do własnej ojczyzny, mają prawo do własnego węgierskiego życia tak, jak sobie tego życzą.

Mogą nadejść trudne czasy, tak jak po 1848 r., gdy okupacyjna surowa siła i nieszczęśliwy układ gwiazd odepchnął prawdę. W trudnych czasach także trzeba żyć. Były czasy, gdy nie mogliśmy żyć tak, jak chcieliśmy, tylko jak było to możliwe. Prawda pozostała prawdą, ponieważ idee zawsze stoją ponad rzeczywistością.

Bywa, że żyjemy w rzeczywistości ugody, ale śnimy o Ludwiku Kossucie. Bywa także, że musimy żyć w rozproszeniu, ale śnimy o wspólnej ojczyźnie.

Nie było, nie ma i nie będzie tak silnego i przebiegłego imperium, które mogłoby to zmienić.

My nie potrzebujemy słów po to, abyśmy wiedzieli, o czym śni drugi Węgier. I w tym tkwi nasza prawdziwa siła.

Szanowni uczestnicy uroczystości! Wielki marszałek Polaków, Piłsudski, powiedział: „Być zwyciężonym i nie ulec, to zwycięstwo”. To odnosi się również do Węgrów. Nie na próżno skończyły się nasze walki wolnościowe z kolejnymi okupacjami, w rzeczywistości nas nigdy nie pokonano.

Tu, w cieniu imperiów, na skrzyżowaniu cywilizacji, toczono wojny o utrzymanie naszej ojczyzny, o podtrzymanie naszego narodu i o kulturę chrześcijańską, w końcu zawsze wygrzywaliśmy. Byliśmy, jesteśmy i będziemy. „Imię Węgrów znów odżyje. Chwały swojej godne wiecznej”. I tak będzie to znów i znów, dopóki świat się kręci. To największe zwycięstwo, które taki naród europejski, jakim jesteśmy, może osiągnąć nad imperiami.

Przodkowie uczyli, że człowiek zawsze pozostaje dzieckiem, jeśli nie wie, co się stało przed jego urodzeniem. My jesteśmy dorosłym narodem i wiemy to, co powinniśmy wiedzieć.

Wiemy, że nasi przodkowie, zajmując nasze ziemie, zamiast podporządkowania się mocarstwu, wybrali wolną zachodnią ojczyznę. Wiemy, że wodzowie węgierscy z własnej woli wynieśli ponad siebie ród Árpádów. Wiemy, że z własnej woli zdecydowali się na przyjęcie chrztu. Do końca uparcie bronili własnego prawa do własnej decyzji przeciwko Osmanom, Habsburgom i Sowietom.

Wiemy więc, że przewodnią gwiazdą historii Węgrów jest wolność, a wiodącą ideą jest łańcuch wolnościowych walk.

Wiemy także, że idea wolności wywodzi się z chrześcijaństwa. Przed Bogiem każdy człowiek jest jednakowo równy, bez względu na to, czy jest zamożny, czy ubogi, niezależnie którego narodu jest synem. I równy jest każdy naród, niezależnie od tego, czy jego historia była szczęśliwa, czy nieszczęśliwa.

Dlatego nasza ustawa zasadnicza uznaje chrześcijaństwo jako siłę zachowującą naród. Bez chrześcijańskiej kultury nie ma węgierskiej wolności i nie ma wolnych Węgier. I tak to jest niezależnie od tego, jaki jest nasz osobisty stosunek do Pana Boga.

Pragniemy życzyć narodom Europy, aby zaćma opadła z ich oczu i aby zobaczyli, zrozumieli, że bez chrześcijańskiej kultury nie będzie wolnego życia w Europie, bez obrony naszej chrześcijańskiej kultury utracimy Europę i Europa w przyszłości nie będzie Europą Europejczyków.

Życzymy narodom Europy, aby pozbyły się wilczej ślepoty, zaczęły. Niech zauważą, że w liberalnym imperium europejskim my wszyscy tracimy naszą wolność. Wolnym człowiekiem może być jedynie syn wolnego narodu, a nie poddany jakiegos imperium. Europejczyk szczęśliwy może być tylko wtedy, gdy sam decyduje o losie własnym i swojego narodu.

Szanowni uczestnicy uroczystości! Zbliża się dzień wyborów do Parlamentu Europejskiego. Jeszcze dziesięć tygodni, a wybory zastukają do naszych drzwi. My, Węgrzy, powinniśmy sami sobie wyjaśnić, czego chcemy, czego możemy chcieć. Żaden naród nie może chcieć czegoś innego, jak tylko tego, co stanowi istotę jego własnej historii.

My, Węgrzy, byliśmy tymi, którzy najdłużej walczyli w Europie w 1848 r. Też my byliśmy tymi, którzy przeciwstawili się w 1956 r. sowieckiej armii, największemu wojsku świata.

I również my byliśmy tymi, którzy zatrzymali na południowych granicach Węgier inwazję migrantów skierowaną na Europę. I my jesteśmy tymi, którzy domagają się zamiast polityki promigracyjnej, zagrażającej rozpadem Unii Europejskiej, prowadzenia europejskiej polityki antymigracyjnej. I my jesteśmy tymi, którzy chcą silnej Europy silnych państw narodowych oraz chcemy widzieć na czele Europy nowych, silnych przywódców, którzy nie sprowadzają kłopotów do nas, lecz niosą pomoc tam, gdzie jej potrzeba. Chcemy nowego początku, aby zatrzymać upadek Europy, aby skończyć z gorączkowym koszmarem o Zjednoczonych Stanach Europy, aby Europa mogła znów należeć do Europejczyków.

Szanowni uczestnicy uroczystości! Węgry to fantastyczny kraj o przepięknym położeniu, o szczególnej kulturze, kraj utalentowanych ludzi. Jesteśmy dumni z Węgier, kochamy naszą ojczyznę. Kochać Węgry to tyle, co ciągle na nowo jednoczyć wszystkich Węgrów. A Węgrów można zjednoczyć tylko pod sztandarem wolności.

Na Węgrzech, gdy jest wolność, to jest wszystko. Szczęśliwe czasy pokoju, bezpieczeństwo, dużo dzieci, bogacący się kraj i silny naród.

Dla nas wolność to nie cel, lecz droga prowadząca do osiągnięcia naszych celów. A my, Węgrzy, pragniemy prostych rzeczy, tak samo jak w 1848 r.: własnej ojczyzny, dobrego sąsiedztwa, rozumiejących nas przyjaciół, kochającej rodziny, pracy, która przynosi korzyść, ma sens i owoce.

Dlatego wolność nie jest dla nas tylko abstrakcyjną ideą, lecz samym życiem: oddychaniem, krwiobiegiem i biciem serca.

Ponieważ jesteśmy wolni, życie przynosi nam, Węgrom, wspaniałe rzeczy. Czekające na nas lata udowodnią, że my, Węgrzy, przyszliśmy na świat nie po to, by znosić życie, lecz po to, by nadać życiu sens.

Węgry przede wszystkim, dobry Bóg ponad nami wszystkimi. Naprzód Węgry, naprzód Węgrzy!

MORAWIECKI: EUROPA DLA ZWYKŁYCH LUDZI, NIE TYLKO DLA MOŻNYCH

Witam węgierskich przyjaciół i polskich przyjaciół, którzy są w Budapeszcie. Dziękuję za zaproszenie na to wspaniałe święto, święto wolności „za wolność naszą i waszą”, święto solidarności.

Przyjaźń polsko-węgierska trwa już ponad 1000 lat, od czasów Stefana Świętego i Bolesława Chrobrego. [...] Nasi rycerze brali udział w wielkich bitwach, zwycięskich i wielkich klęskach, ale staliśmy zawsze ramię w ramię. Jak 171 lat temu, jak 75 lat temu w Warszawie, jak 63 lata temu w Budapeszcie i w czasach „Solidarności”. Byliśmy zawsze razem, walcząc o wolność, i chcemy też walczyć o lepsze jutro w przyszłości.

Ryszard Siwiec, Jan Palach, Bauer Sándor – te trzy nazwiska osób, które dokonały samospalenia przeciwko tłumieniu wolności w Czechosłowacji, łączą nasze narody (Europy Środkowo-Wschodniej). To są nasi bohaterowie, którzy nie godzili się na niewolę, na narzucenie obcego dyktatu.

171 lat temu, kiedy Wiosna Ludów nie odniosła sukcesu, Honwedzi, węgierscy żołnierze, oprócz broni musieli oddać swoim wrogom również sztandary. Ale nie zrobili tego. Pocięli je na kawałki, podzielili między oficerów i żołnierzy, przechowali w swoich domach, w swoich rodzinach, w swoich sercach. Przechowali je, by kiedyś jutrzeńka wolności i sprawiedliwości mogła znów zawitać – i zawitała! Nasze narody dzisiaj są wolne i są poskładane z takich kawałków sztandarów, kawałków wielkiej historii, kawałków naszej przyjaźni, przyjaźni polsko-węgierskiej.

Nasze sztandary, złożone w całość, nasze ojczyzny są czymś więcej niż tylko nasz indywidualny los, niż te kawałki sztandarów. Tak samo my dzisiaj walczymy o lepszą przyszłość. A ta lepsza przyszłość zależy od naszej woli, od siły woli. I dzisiaj, tak jak 171 lat temu, stoimy po stronie prawdy, po stronie solidarności, po stronie zwykłego człowieka, po stronie wolności. I w imię tej lepszej przyszłości dla Węgier, dla Polski, dla Europy walczymy dziś o prawdę i sprawiedliwość.

I jesteśmy coraz bardziej pewni, że tak jak Turul (mityczny ptak, który miał przyprowadzić lud Madziarów w miejsce obecnych Węgier) i Orzeł Biały doprowadziły nas do zwycięstwa w 1989 r., tak poprowadzą nas ku jeszcze lepszym czasom w najbliższej i dalszej przyszłości, dla naszych dzieci i naszych wnuków. O jedności naszych narodów, o jednym narodzie polsko-węgierskim mówili nasi wielcy poeci, Zbigniew Herbert i Petőfi Sándor. Niech więc ta spuścizna połączy nas, wszystkich Polaków, Węgrów i Europejczyków, którzy wierzą w Europę ojczyzn, Europę zwykłych ludzi, nie dla możnych, nie dla establishmentu! Niech Bóg błogosławi Węgry, Polskę, Europę. Niech da nam lepszą przyszłość!

Opracował MK



POZNAJ JAKOŚĆ STACJI PALIW

LOTOS - TWÓJ PARTNER W PODRÓŻY

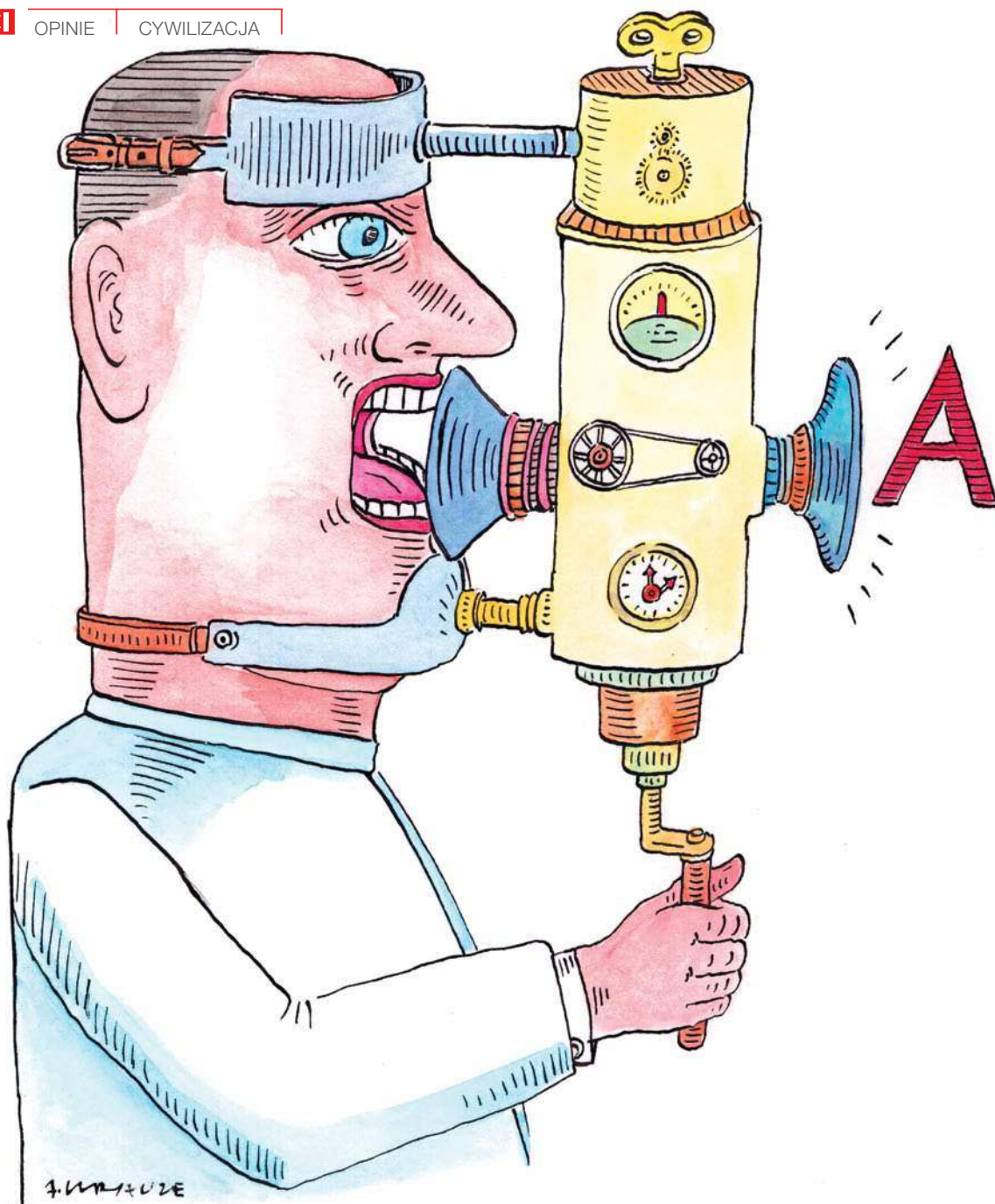
Dbamy o komfort Twojej podróży, nieustannie doskonaląc naszą ofertę. Zatrzymaj się na stacji LOTOS, napij się aromatycznej kawy i zjedz coś pysznego z oferty Cafe Punkt.

Troszczymy się o wszystkich pasażerów, dlatego na Twojego pupila czeka miska ze świeżą wodą.

Podróżujesz motocyklem? Mamy dla Ciebie liczne udogodnienia i rabaty na paliwo z kartą Navigator.

www.lotos.pl





Destrukcja języka

Język to najważniejszy element cywilizacji, który pozwala nam komunikować się i jednocześnie nazywać, a więc pojmować rzeczywistość. Nie musimy sprowadzać myślenia do mowy, aby zdawać sobie sprawę, że bez niej byłoby ono radykalnie ograniczone. Tak jak kultura język tworzy nas, a więc determinuje naszą refleksję i przekracza ją. (Skrócona wersja wystąpienia na konferencji SDP „Wolność [słowa] kocham i rozumiem”)

Osobnicze możliwości realnego nań wpływu są mocno ograniczone. Jeden z bardziej znaczących filozofów XX w., Ludwig Wittgenstein, przekonująco dowodził, że nie ma prywatnego języka. To on nas formuje, a my indywidualnie możemy się mu tylko, w małym stopniu, rewanżować.

Nowoczesność to jednak epoka wyobrażenia demiurgicznej mocy człowieka, który aktem woli ma stworzyć nowy, wspaniały świat we wszelkich jego wymiarach, w tym oczywiście i język. Wizje powołania radykalnie odmiennej od istniejącej, wolnej od wszelkich usterek rzeczywistości muszą mieć charakter totalitarny, gdyż celem ich jest transformacja egzystencji człowieka we wszystkich jej aspektach. „Przeszłości ślad dłoń nasza zmiata” – słyszymy w „Międzynarodówce”. Rewolucja ma oczyścić świat z pozostałości starych nieracjonalnych form, ukształtować ją na nowo i w całości. W tym celu rewolucjoniści muszą zdobyć totalną władzę, również nad mową.

NAUKI HISTORII

Rewolucja i państwa totalitarne, które niejako siłą rzeczy musiała ona kreować, wyciągały z tego wnioski. O tworzeniu nowego języka w III Rzeszy, a więc zamiarze odmiennego kształtowania ludzkiej percepcji, mówi dzieło Victora Klemperera „LTI”. W dystopii George’a Orwella „1984”, która demonstruje wizję komunizmu zrealizowanego, jednym z jej istotnych elementów jest próba radykalnej transformacji języka.

Twory człowieka nigdy nie osiągają jednak kształtu zamierzonego przez swoich pomysłodawców, a kultura, w tym język, stawiają zdecydowany opór inżynierom społecznym. Mielśmy więc do czynienia ledwie z preludium przekształcania mowy ludzkiej. Niemniej, zwłaszcza państwa komunistyczne, które miały dużo dłuższy czas do realizacji swoich eksperymentów, dawały możliwość obserwacji zjawiska zwanego „nowomową”. Oto garść przykładów.

W PRL największy lęk wywoływało słowo „bezpieczeństwo”. Było ono synonimem aparatu terroru, tak nazywały się instytucje, które go organizowały: ministerstwo, urząd czy służba bezpieczeństwa. Źle kojarzyło się pojęcie „pokój”. „Walka o pokój” oznaczała przecież sowiecką, imperialną kampanię. Pytano wówczas: czy będzie wojna? Odpowiadano: nie, będzie pokój, po którym kamień na kamieniu nie zostanie.

Kiepskie konotacje miało braterstwo, które oznaczało ideologicznie motywowane relacje, a zwłaszcza podległość Związkowi Sowieckiemu. Jego zbrojna agresja nazywała się przecież braterską pomocą. Aktywność oznaczała partyjne karierowiczostwo, a aktywista – ślepego wykonawcę poleceń zwierzchników. Podobnie funkcjonował czasownik „działać” i wszystkie jego pochodne.

Żle asocjacje budzić musiał przymiotnik „społeczny”, gdyż oznaczał obowiązkową a niepłatną, najczęściej absurdalną działalność po godzinach pracy. Rzeczownik „kolektyw” i jego pochodne także naznaczone były ideologicznymi treściami. A ponieważ nie istniały oficjalne, niezależne or-



BRONISŁAW WILDSTEIN

ganizacje, przedsięwzięcia społeczne czy kolektywne oznaczały wprzęgnięcie się w partyjny monopol władzy. Powodowało to zresztą odruch niechęci do jakiegokolwiek społecznej aktywności. „Solidarność” była udaną próbą odwojowania przestrzeni publicznej również w semantycznym wymiarze.

CO TO POLITYCZNA POPRAWNOŚĆ

To już historia. Nazizm był krótkotrwałą, straszną chorobą, komunizm zbankrutował. Czy oznacza to, że nie grozi nam totalitaryzm?

Odpowiadając na to pytanie, zastanówmy się, czy dominujące dziś środowiska nie usiłują podporządkować sobie języka? Próba transformacji, a więc zawłaszczenia mowy ludzkiej, ma charakter rewolucyjny, a więc i totalitarny, albowiem próbuje zasadniczo zmienić naszą cywilizację. I jak wszystkie tego typu projekty odwołuje się do ideologii.

Ideologia to system poglądów jednoznacznie wyjaśniający całość egzystencji człowieka, jego przeszłość, teraźniejszość oraz przyszłość. Ma ona stanowić fundament budowy nowego, przez swoich wyznawców uznawanego za optymalny, modelu życia społecznego, które wprowadzane jest w życie politycznymi metodami. To ona jest racjonalnością totalitaryzmu. Obecna ideologia nie odwołuje się bezpośrednio do Marksa, zaprzeczyła, wydawać by się mogło, jego podstawowym założeniom, niemniej reprezentuje wspólny z autorem „Kapitału” i tak samo nazywany, fundamentalny cel: emancypację człowieka.

Kiedy bliżej przyglądamy się temu projektowi, okazuje się, że chodzi o wyswobodzenia nas z ograniczeń związanych z cywilizacją, gdyż stanowi ona ograniczanie popędów, emancypacja oznacza więc budowę nowego, nieznanego nam bytu, bowiem człowiek poza kulturą nie istnieje. Cel tego przedsięwzięcia jest mglisty, konkretna jest destrukcja kultury i języka.

Polityczna poprawność to wielki system cenzury.

Słyszymy niekiedy, że to nic innego niż dobre wychowanie w wersji współczesnej. Jest to fundamentalne nieporozumienie. Dobre wychowanie to przestrzeganie obyczajów wpisanych w nasz kulturowy kod. I tak jak całość cywilizacji czy choćby jej znaczące segmenty, takie jak język, wykracza ono poza naszą racjonalność. Owszem, rozumiemy jej ogólne zarysy czy konkretne przejawy, ale jako całość kultura, a więc i obyczaj, transcenduje naszą indywidualną czy środowiskową zdolność pojmowania. To wykształcony przez pokolenia zestaw cywilizacyjnych odruchów, które pozwalają nam funkcjonować. Stanowią one układ elastyczny i nie odwołują się do prawnych sankcji. A to jest celem poprawności politycznej.

Rozbudowana została ona w ideologię zakładającą, że istniejąca kultura, w każdym razie w swojej istotnej części, jest złem, patriarchalnym modelem, w którym represjonowane są mniejszości, a osoba ludzka uwięziona w uniemożliwiającym jej rozwój represyjnym porządku. Ideologiczni przewodnicy mają wyzwolić nas z jego oków. Wszystko podobno w obronie słabszych, których nikt nie pyta, czy akurat tego by chcieli. Światle awangardy biorą po prostu na siebie to zadanie.

Np. feministki, które określają siebie jako ruch kobiecy, samowolnie reprezentują wszystkie przedstawicielki swojej płci.

Interwencja na poziomie języka, zakaz używania zaimków męskich tam, gdzie tradycyjnie były one stosowane, to początek zasadniczego przeistaczania cywilizacji przez nowych rewolucjonistów.

ŻŁE SIĘ DZIEJE W PAŃSTWIE DUŃSKIM

Zacznijmy od konkretnego przykładu. W zeszłym roku Ministerstwo Spraw Zagranicznych Danii wystąpiło do Komitetu Praw Człowieka Organizacji Narodów Zjednoczonych, aby w dokumentach tej organizacji nie używano określenia „kobieta w ciąży”, gdyż ma ono charakter wykluczający w stosunku do „osób transgenderowych”. Dodatkowo duńskie władze apelują, aby ONZ starała się nie stosować sformułowania „prawo do życia”, ponieważ zdarza się, że jest ono łączone z „łamaniem praw człowieka”.

Jest to żądanie, aby wyeliminować z języka, na razie urzędowego, ale to oczywiste, że to tylko pierwszy krok, określenia jednego z istotniejszych zjawisk naturalnych, które przetransformowane zostało w kulturę jako jej podstawowy element. Wydawałoby się, że nie sposób znaleźć bardziej neutralnego wyrażenia niż „kobieta w ciąży”. Okazuje się jednak, że ma ono „wykluczać” pewien szczególny, niezwykle rzadki typ człowieka. Cóż jednak znaczy owo wykluczanie? To nazwanie rzeczywistości. To kobiety zachodzą w ciążę, a wprawdzie możliwości technologiczne pewnie umożliwią, jeśli już tego nie zrobiły, mężczyźni jej donoszenie, ale to całkiem co innego.

Obsesja równości traktowanej jako identyczność, relacje ludzkie sprowadza do kwestii dominacji. Walkę z nią deklarują środowiska, które odwołują się do ideologii równości, ale realnie swoje przedsięwzięcie wykorzystują do przejęcia władzy. Powoduje nimi pragnienie przemodelowania natury, przeciwstawienia się wszelkim stawianym przez nią ograniczeniom, aby w ich miejsce wprowadzić swój arbitralny porządek.

Wspomniane wystąpienie duńskiego MSZ motywowane jest obroną „osób transgenderowych”. To małe odsetek populacji. W naturze zawsze pojawiają się odstępstwa od normy, czyli patologie. Ideologiczny projekt, którego odpryskiem jest stanowisko rządu duńskiego, ma prowadzić do wyeliminowania wszelkich odstępstw. O ile wcześniej robiono to, represjonując je, o tyle, zgodnie z nową doktryną, zakwestionowana ma zostać norma. W imię tego przekreślona ma zostać całość ludzkiego doświadczenia, cała istniejąca kultura. W imię utopii zniszczone mają zostać wszelkie rozwiązania, które skażone są niedoskonałością, a więc po prostu wszelkie ludzkie porządki.

Duńskie władze protestują przeciw sformułowaniu „prawo do życia”. Ich zdaniem, łączone jest ono z „łamaniem praw człowieka”. Sformułowanie to przeczy naszej elementarnej intuicji. Jakim cudem prawa człowieka przeciwstawiają się prawu do życia? Przecież prawo do życia jest ich fundamentalnym warunkiem. Naturalnie, chodzi o nienazwaną aborcję. Narzuca się wniosek, że rzecznicy dominującej ideologii, w tym wypadku reprezentowanej przez duński rząd, czują, że aborcja jest zakwestionowaniem prawa do życia. Inaczej

powinni protestować przeciw nazywaniu jej w ten sposób. Oni wolą jednak zakwestionować prawo do życia. Odrzucają więc normę podstawową w imię ideologicznych, co najmniej kontrowersyjnych rozwiązań. W efekcie otrzymujemy kuriozalne przeciwstawienie prawa do życia prawom człowieka, z czego wynika, że to pierwsze do nich nie należy.

Sprawa ta odsłania instrumentalizację tak eksponowanej dziś kategorii praw człowieka. Okazuje się, że znaczyć mogą one wszystko, co dominujące grupy za nie uznają.

DEMOKRACJA PRZECIW DEMOKRACJI

Przyjrzyjmy się podstawowemu sporowi dzielącemu obecnie społeczeństwa Zachodu, który stanowi przejaw wstrząsającej nimi wojny cywilizacyjnej. Dotyczy on tzw. liberalnej demokracji. Najstarsza znana nam definicja demokracji pochodzi z końca piątego wieku przed Chrystusem, a pojawia się w „Wojnie peloponeskiej”, w której Tukidydes przytacza słowa Peryklesa: „Nasz ustrój polityczny nazywa się demokracją, ponieważ opiera się na większości obywateli, a nie na mniejszości”. Wydaje się, że jest to najprostsze i najprecyzyjniejsze ujęcie tego systemu. Można, naturalnie, kwestionować jego wartość, jak czynili to Platon i – do pewnego stopnia – Arystoteles. Ale musimy trzymać się znaczenia słów. Jeśli odrzucamy demokrację, mówmy to i uzasadniajmy wprost. Dziś na Zachodzie mamy do czynienia z elementarną manipulacją. Demokracja kwestionowana jest w imię demokracji.

Główne ośrodki opiniotwórcze głoszą, że niezgodne z ich poglądami wybory przynoszą do władzy „sily niedemokratyczne”. Widzimy to w opisach wyników głosowania na Węgrzech, w Polsce czy w Stanach Zjednoczonych. W naszym kraju na drugi dzień po wyborach, które wygrało PiS, powstał Komitet Obrony Demokracji. Nie była to reakcja na żadne działanie ze strony nowej większości, która nie miała jeszcze czasu, aby jakiegokolwiek podjąć. Była to odpowiedź na niewłaściwy wybór. Jedyne wnioski, które może z tego płynąć, to że demokracja to wybór ugrupowań „właściwych”, czyli ciągle tych samych, a miłych ośrodkom opiniotwórczym zawiadywanym przez centra nieformalnej władzy. Można przyjąć taki model, tylko co ma on wspólnego z demokracją? Może to być arystokracja albo oligarchia, ale z pewnością nie ludowładztwo.

Od dłuższego czasu jednak demokracja stała się fetyszem i jedynym dopuszczalnym modelem legitymacji władzy, jej przeciwnicy również muszą się do niej odwoływać, tak jak nie mogą zrezygnować z procedur wyborczych. Po to jednak, aby uczynić je bez reszty przewidywalnymi, zawczasu usiłują namaścić tych, którzy władzę sprawować powinni i odebrać prawomocność wszystkim innym. W efekcie lud będzie miał wprawdzie regularny rytuał wyborczy, ale oferowani mu kandydaci i ugrupowania niczym poza nazwami różnić się nie będą. Zresztą i władza coraz mniej będzie od nich zależała. Taki stan rzeczy do pewnego stopnia udało się osiągnąć w zachodniej Europie, a i Stany zaczęły grawitować w jego kierunku. Wszyscy, którzy sprzeciwiali się oligarchicznemu modelowi, wypychani byli poza akceptowalną scenę publiczną i stygmatyzowani jako niebezpieczni populiści, żeby nie powiedzieć ultranacjoniści i faszysty.

Naturalnie, istnieją autentyczni populiści, a nawet faszyci, ale w sytuacji gdy każdy przeciwnik status quo wsadzany jest do tego samego worka, niezwykle trudno ich wyróżnić. Nie tylko ugrupowania, lecz także tematy i opinie odrzucone są przez dominujące ośrodki jako niedemokratyczne. Ponieważ bunt narodów, który obserwujemy dziś na Zachodzie, coraz bardziej utrudnia posługiwanie się owym „antydemokratycznym” wytrychem, coraz mocniej eksponowana jest wspomniana już jedyna dopuszczalna jej forma, czyli „demokracja liberalna”.

PAŃSTWO PRAWA JAKO SWOJE ZAPRZECZENIE

Ma to być demokracja w ramach „państwa prawa”. Sęk w tym, że to ostatnie pojęcie, tak jak i demokracja, zawłaszczone zostało przez dominujące ośrodki, a jego sens radykalnie zmieniony. Generalnie przyjąć można, że państwo prawa to system, którego ramy stanowią znane powszechnie i akceptowane, tworzące prawo, normy. Współcześnie jednak państwo prawa utożsamione zostało z państwem prawników, co zasadniczo różni się z jego pierwotnym znaczeniem. Najłatwiej prześledzić to na przykładzie Trybunałów Konstytucyjnych (TK), które w tej czy innej formie (w Stanach Zjednoczonych jako Sąd Najwyższy) stanowią nadrzędną instytucję liberalnej demokracji.

Upowszechniły się one i wzmocniły po doświadczeniu hitlerizmu. Był to dowód, że demokracje mogą popełnić samobójstwo. TK miały być bezpiecznikiem, który strzegł podstawowych zasad systemu i nie dopuszczał do wspomnianej sytuacji. Były więc powołane na wypadek sytuacji wyjątkowej i winny interweniować wyłącznie w szczególnych wypadkach. Jak to jednak w wypadku ludzkiej, dodatkowo niekontrolowanej, instytucji – zaczęły rozszerzać zakres swoich uprawnień, coraz mocniej mieszać się w bieżące spory polityczne i wydawać co do nich ostateczne werdykty. Mogliśmy obserwować to w Polsce w trakcie pierwszej kadencji PiS w latach 2005–2007, kiedy TK przekształcił się w nieformalną, ale realnie najwyższą izbę parlamentu i, powołując się na „ ducha konstytucji”, arbitralnie blokował ogromną większość ustaw większości. Nie jest to zresztą tylko polska specyfika. W minionym roku TK Francji uwolnił od odpowiedzialności człowieka, który pomagał nielegalnym imigrantom i nakazał zmianę ustawodawstwa w tej mierze. Powołał się przy tym na tak „precyzyjną” zasadę jak „braterstwo” widniejące w dewizie republiki. Trybunał niemiecki nakazał uwzględnianie w dokumentach nowej plci. Szczególną rolę usiłuje wywalczyć sobie TSUE, co niestety znowu testowane jest w stosunku do naszego kraju.

Prawnicy uzurpują sobie uprawnienie do zupełnie dowolnej interpretacji prawa, co zasadniczo zmienia jego sens.

Nie są oni przecież jego twórcami, a ich rola miała ograniczać się do pomocy w jego egzekwowaniu, jednak dziś oficjalnie głoszą oni, że prawo jest zależne od ich wykładni, co oznacza, że staje się ich własnością. Polska konstytucja *expressis verbis* pozwala władzom ustawodawczym zmieniać ustroj sądów i decydować o wieku emerytalnym ich pracowników, oni twierdzą jednak, że – zgodnie z ich oceną – jest inaczej. Stają się więc właścicielami konstytucji.

JĘZYK, CZYLI WOLNOŚĆ

Arbitralność sędziów wiąże się z najpoważniejszym problemem, to znaczy z rozchwianiem się fundamentalnych norm kultury zachodniej. Dominująca dziś ideologia emancypacji uderza w nie, w efekcie czego przestajemy wiedzieć, co znaczą podstawowe pojęcia, które stają się narzędziem w rękach silniejszych grup. Ten stan rzeczy umożliwia przejmowanie języka i kształtowanie go na nowo zgodnie z interesem dominującego establishmentu.

Wspominałem o tym w odniesieniu do elementarnych zasad, jakimi winny być prawa człowieka. Dotyczy to jednak wszystkich wymiarów życia. Oto idea społeczeństwa obywatelskiego, które ma niezwykle długi rodowód, ale współcześnie zasadniczo odwróciła swoje znaczenie.

Żyjemy w erze słabnących państw i bujnie krzewiących się pozarządowych organizacji, która w ten sposób z dumą się określa. Rola tych ośrodków ma być paradoksalnie miarą demokracji, podczas gdy doświadczenie i zdrowy rozsądek wskazują, że coraz bar-

dziej ograniczają one władzę i rolę większości. Kiedyś były wyrazem społecznej aktywności ludzi i środowisk, które nie chciały bezpośrednio wchodzić w partyjny wymiar polityki, teraz są zwykłe narzędziem potężnych graczy często na ponadnarodową, niekiedy globalną skalę. Nawet spontaniczne inicjatywy poszczególnych środowisk przejmowane są przez potężne ośrodki nieformalnej władzy albo przegrywają z nimi, czyli silniejszym konkurentem odwołującym się do tych samych haseł.

Urwijmy tę wyliczankę, którą długo można by kontynuować, i spróbujmy ją podsumować. Próba politycznego zawłaszczenia, a więc destrukcji języka, jest współcześnie pierwszym krokiem do budowy totalitarnego porządku. To jego nowa forma, w której nagi terror zastąpiony zostaje przez przemoc symboliczną i wszechogarniający system prawny, usiłujący uregulować wszystkie aspekty życia i narzucić mu ideologiczny kształt. Nadzorować mają go reprezentanci ideologicznie zorientowanego establishmentu. Ale wszystko zaczyna się od języka, który ma zostać tak ukształtowany, aby żadne niezgodne z dominującą doktryną treści nie mogły się w nim już pojawić. Jego obrona jest obroną naszej wolności. 

Interwencja na poziomie języka, zakaz używania zaimków męskich, tam gdzie tradycyjnie były one stosowane, to początek zasadniczego przeistaczania cywilizacji przez nowych rewolucjonistów



Ponadnarodowa abstrakcja czy supermocarstwo

13 marca w Berlinie odbyła się debata organizowana przez European Council on Foreign Relations oraz Intelligence Squared Germany wokół kwestii „Nacjonalizm jest urojeniem. Nasza przyszłość zależy od coraz głębszej integracji”. Były szef MSZ Radosław Sikorski i współzałożycielka liberalnego szwajcarskiego think tanku Operation Libero Flavia Kleiner bronili tytułowej tezy debaty, podczas gdy publicystka „Sieci” oraz w Polityce.pl Aleksandra Rybińska i wicenaczelny brytyjskiego tygodnika „The Spectator”, autor książki „Przedziwna śmierć Europy”, Douglas K. Murray argumentowali przeciwko tej tezie. Oto fragmenty tej dyskusji

Radosław Sikorski: [...] Berlin to dobre miejsce na dyskusję o nacjonalizmie. Bo jest to miasto, gdzie widać jeszcze blizny wojen spowodowanych nacjonalizmem. [...] Nacjonalizm nie jest urojeniem, ale należy go odróżnić od patriotyzmu. Zdefiniowałbym patriotyzm jako miłość do ojczyzny, a nacjonalizm jako przekonanie, że własny naród jest lepszy od innych i w związku z tym zasługuje na strefę wpływów czy specjalne przywileje. Wtedy nacjonalizm rzeczywiście staje się urojeniem. Nacjoniści uważają, że naród jest najwyższym autorytetem, któremu należy się lojalność. Nie może być wyższej instancji, co moim zdaniem jest historycznie błędne. Ludzkość ma tendencję do gromadzenia się w coraz to większych grupach. Od łowców-zbieraczy po plemiona, a potem narody. Nie ma żadnych powodów, by sądzić, że ten proces się zatrzymał. Dzisiejsze

europejskie narody były kiedyś plemionami. Spotykamy się tu zresztą w szczególnym czasie, gdy jeden z członków Unii Europejskiej niebawem, może za dwa tygodnie, uwolni się spod jarzma brukselskich elit i będzie mógł ustanawiać własne reguły. [...] Wielka Brytania wychodzi [z UE – przyp. red.], bo chce odzyskać kontrolę i żyć według własnych zasad. To pożyteczny eksperyment. Także dla nas. Jeśli im się bowiem uda, to pewnie pójdziemy w ich ślady, a jeśli nie, to mogą złożyć ponownie wniosek o członkostwo za jakieś 20 lat. Chciałbym państwa przekonać, że coraz głębsza integracja jest właściwą drogą. Musimy wyciągnąć wnioski z doświadczenia brexitu. Czy brexit to wynik nadmiaru Unii? [...] A może potrzebujemy więcej Unii? Ja jestem w tym sporze po stronie francuskiego prezydenta Emmanuela Macrona. Europa to nie tylko pokój, lecz także siła. Nie poradzimy sobie

ze współczesnymi wyzwaniami jako pojedyncze europejskie narody. Nawet tak silne i bogate jak Niemcy. [...] Jeśli nie chcemy być na łasce sankcji handlowych Trumpa czy rakiet Putina lub koncernów technologicznych, które zbierają nasze dane, ale nie chcą płacić podatków, to musimy się trzymać razem. Komisja Europejska bardzo dobrze reprezentuje nasze interesy. Jeśli Europa chce przetrwać, nie może stać w miejscu. [...] Jeśli suwerenność jest po stronie państw członkowskich, a przestrzeganie traktatów zależy od ich dobrej woli, to wszyscy ostatecznie oszukują. Kryzys euro i kryzys migracyjny to wynik nieprzestrzegania zasad przez państwa członkowskie. Za mało centralnej koordynacji. A bez centralnej koordynacji europejski projekt w końcu się zawali. [...] Unia Europejska nie powinna być superpaństwem, ale powinna być supermocarstwem. Inaczej staniemy się domem spokojnej starości i skansenem zarazem. Dlatego proponuję, byśmy wybrali coraz to głębszą integrację.

Aleksandra Rybińska: Zupełnie nie zgadzam się z moim przedmówcą. Nacjonalizm nie jest urojeniem. Jest nim coraz to głębsza integracja. Istnieje bowiem wyłącznie w głowach tych, którzy do niej dążą. Jest to koncepcja zupełnie oderwana od rzeczywistości, szczególnie tej ostatnich lat. [...] Ale zacznijmy od definicji nacjonalizmu. Moim zdaniem nacjonalizm to nic więcej niż poczucie jedności z grupą, która wychodzi poza bezpośrednią rodzinę i przyjaciół. W codziennym życiu utożsamiamy się z naszą rodziną, co nie oznacza, że postrzegamy inne rodziny jako zagrożenie lub się od nich odgradzamy. Tak samo jest z nacjonalizmem. [...] Wierząc, że uczestniczą w jednym, wspólnym narodowym przedsięwzięciu, obywatele troszczą się o innych tak samo jak o siebie samych. Nacjonalizm to więc nic więcej niż przekonanie, iż grupa równych obywateli posiadająca wspólną historię i wspólne polityczne przeznaczenie powinna rządzić państwem. Jest to spoiwo spawające polityczne wspólnoty. W ten właśnie sposób jest zorganizowany współczesny świat. [...] Bardzo istotny jest tu element wspólnej tożsamości. Bez tego nie może istnieć żadne państwo opiekuńcze. Wspólna tożsamość jest warunkiem solidarności pokoleń. [...] A nie ma czegoś takiego jak europejska tożsamość. W każdym razie nie mi o tym nie wiadomo. I w przeciwieństwie do tego, co powiedział minister Sikorski, to nie państwa narodowe wywołały ostatnie wojny na kontynencie, tylko imperia oraz imperialne ambicje. [...] Ale przede wszystkim nie ma demokracji bez państwa narodowego. Jak argumentuje francuski socjolog Pierre Manent, żyjemy w czasach wielkich złudzeń na temat polityki. Pierwszym jest złudzenie, że byłoby nam lepiej bez polityki narodowej. To taka fantazja, że gdyby tylko udało się odłączyć demokratyczne wartości od ich narodowego kontekstu, powstałby świat czystej demokracji, a społeczeństwa byłyby rządzone według zasad prawa i moralności. Granice by zniknęły, a narody rozpuściłyby się w takich organizacjach jak Unia Europejska. Manent argumentuje, że to niemożliwe, bowiem porządek polityczny jest kluczowy dla życia ludzkiego. Życie ludzkie, by mieć znaczenie, musi być zorganizowane w konkretnej politycznej wspólnotie, gdzie decyzje są podejmowane przez kolektywną, kreatywną debatę.

Najlepszą taką wspólnotą jest państwo narodowe. [...] Unia Europejska to nieprzejrzysta biurokracja, której nie sposób pociągnąć do odpowiedzialności. Samostanowienie zostało zastąpione oświeconym despotyzmem – sumą agencji, administracji, sądów i komisji, które ustanawiają zasady dla wszystkich. Manent nazwał to przejściem od suwerennego państwa do ponadnarodowej abstrakcji. To prawda, że UE była przez jakiś czas modelem sukcesu, aż do kryzysu finansowego w 2008 r. i kryzysu migracyjnego w 2015 r. Kryzys finansowy pozbawił ludzi wiary w lepsze jutro, które europejska wspólnota miała im zapewnić, a kryzys migracyjny wytworzył w nich poczucie utraty kontroli. [...] Zaufanie do politycznych elit zostało utracone i ciężko je będzie odzyskać. Coraz większy jest rozdźwięk między kosmopolitycznymi elitami a obywatelami, których życie w większości toczy się w lokalnych społecznościach i którzy są przywiązani do tradycji i tożsamości. [...] Gdy tak patrzę na Europę, to widzę głęboki kryzys, brak wielkich wizji, trwanie od szczytu do szczytu. Coraz to głębsza integracja nie jest moim zdaniem na tym etapie możliwa. Unia Europejska wymaga reform i na tym powinna się skupić oraz na tym, co jedyne wyszło jej w miarę dobrze – na wspólnym rynku.

Flavia Kleiner: Jak właśnie usłyszeliśmy, narodowa suwerenność i udział w polityce to obecnie bardzo ważne tematy. Niektórzy uważają, że Unia Europejska nie jest wystarczająco

REKLAMA



www.radiowarszawa.com.pl

45/0219/F

demokratyczna. W zasadzie podzielam ten pogląd. Pochodzę ze Szwajcarii, gdzie udział w polityce i demokracja bezpośrednia są bardzo ważne. Jestem wielką fanką bezpośredniej demokracji. [...] Na przestrzeni ostatnich 25 lat mieliśmy wiele referendów i społecznych inicjatyw w sprawie naszych bilateralnych stosunków z UE. Nacjonalistyczne siły reprezentowane przez SVP [Szwajcarska Partia Ludowa – przyp. red.] niemal zawsze przegrywały te referenda. [...] Ubiegłego listopada głosowaliśmy w referendum nad tzw. inicjatywą o samostanowieniu, w której SVP zaproponowała, by zawsze stawiać szwajcarskie prawo ponad prawem międzynarodowym. W zasadzie było to głosowanie nad „Switzerland first”. Mogło nawet skutkować wycofaniem się Szwajcarii z europejskiej konwencji praw człowieka. SVP przez 20 lat podsycala brak zaufania do praworządności i prawa międzynarodowego. Zamiast przyznać, że prawo międzynarodowe wzmacnia osobistą wolność, bo pozwala Szwajcarii utrzymywać partnerstwa na równi z innymi państwami, bez ryzyka, że zostanie zgnieciona w grze mocarstwowej większych krajów. SVP zawsze przedstawiała prawo międzynarodowe jako coś, co ogranicza suwerenność. [...] Twierdziła przy tym, że suwerenność jest czymś w rodzaju prawa człowieka. [...] To jedna ze sztuczek prawicowych populistów, udawanie, że samostanowienie chroni jednostkę. Ale to nieprawda. Ostatecznie 66 proc. Szwajcarów odrzuciło inicjatywę SVP. Żaden z kantonów jej nie poparł. [...] Musimy sobie zadać pytanie: jaki jest cel polityki, jaki jest cel tworzenia społeczności? Pani Rybińska uważa, że celem narodowej wspólnoty jest narodowa suwerenność. Osobiście stawiałabym człowieka, jego dobro, jego godność w centrum wszystkich politycznych wysiłków. [...] Narodowa suwerenność musi się ludziom opłacać. Upieranie się przy narodowej suwerenności jak w przypadku brexitu, który spowoduje utratę miejsc pracy i już podzielił brytyjskie rodziny, każe zadać pytanie, w jaki sposób przysłuży się brytyjskim obywatelom. Czy będzie im się opłacać. [...] Nie można jeść suwerenności. Nie można w niej żyć. Unia Europejska to dla mnie próba stworzenia instytucji gwarantujących dobro jednostek. Liberalne instytucje, państwo prawa, podział władz gwarantują osobiste wolności. Unia Europejska te wartości podtrzymuje, czego przykładem jest procedura z art. 7 wobec Polski i Węgier. [...] Dlatego popieram coraz to głębszą integrację.

Douglas K. Murray: Twierdzenie, że nacjonalizm jest urojeniem, to dość odważna teza. Słownik oksfordzki określa urojenie jako coś, co jest tak idiosynkratyczne, że zbliża się do zaburzenia psychicznego. Zazdroszczę tamtej stronie debaty, że ma odwagę i pewność siebie, by mówić, że wielu naszych współobywateli na kontynencie cierpi na to straszne zaburzenie psychiczne. [...] Jeśli nacjonalizm rzeczywiście jest urojeniem, przejdźmy do rzeczy: dla kogo jest urojeniem? Czy są ludzie, dla których nie jest urojeniem? Czy jest urojeniem w Ameryce Południowej, w Afryce? Na Bliskim Wschodzie? Izraelczycy cierpią na to urojenie? Prawda jest taka, że nacjonalizm jest uważany przez wielu ludzi za urojenie, ponieważ jest zły dla Europejczyków, bowiem nie potrafią sobie z nim poradzić. [...] A raczej Niemcy nie potrafią so-



bie z nim poradzić. Moim zdaniem twierdzenie, że nacjonalizm był odpowiedzialny za katastrofy ostatniego stulecia na tym kontynencie jest urojeniem. Wielkie wojny XX w. były w pierwszym przypadku konsekwencją niemieckiego militarizmu, a w drugim narodowego socjalizmu. Czy nacjonalizm może zamienić się w zło? Oczywiście. Pokażcie mi coś, co nie może. Twierdzenie, że nacjonalizm powoduje wojny, jest redukcją ad absurdum. Opiera się na przekonaniu, że bez państw narodowych nie byłoby wojen. Zanim przez nasz kontynent przeszły wojny państw narodowych, przeszły przez niego wojny religijne. Nikt chyba nie sugeruje, że najlepszym sposobem na rozwiązanie religijnych konfliktów jest zniszczenie wszystkich religii i twierdzenie, że są one urojeniem. No i były wojny trojańskie wywołane przez miłość. Tak, miłość wywołuje wojny. Miłość jest więc urojeniem? Nie, miłość istnieje. Można jej nadużywać? Oczywiście. Tak jak wielu innych rzeczy. Izraelski pisarz Yoram Hazoni twierdzi w swojej książce „Cnoty nacjonalizmu”, że jest tylko jedna alternatywa dla nacjonalizmu: imperializm. Nie twierdzę, że Bruksela jest gulagiem, ale stanowi ona bez wątpienia próbę przezwyciężenia państw narodowych i zastąpienia ich czymś w rodzaju imperium. I do czego nas to doprowadziło? Brexit wstrząsnął klasą polityczną w Londynie. A w Brukseli? Bez zmian. Po co cokolwiek zmieniać? To tylko ci zwariowani Brytyjczycy. Postawiliśmy krzyżyk nie tam, gdzie trzeba w referendum. Można nas więc nazywać rasistami, nacjonalistami i populistami. No i ci zwariowani wschodni Europejczycy! V4 i tak dalej. A potem Włosi. Jak długo trzeba czekać, zanim europejskie elity zdobędą się na trochę autorefleksji i autokrytycyzmu? Jeśli nie chcecie, by UE się rozpadła, to może czas wziąć pod uwagę to, co ludzie mówią w każdych już niemal wyborach i referendach: zwolnijcie! Po co nam coraz głębsza integracja? A może należałoby zatrzymać integrację w tym miejscu, w którym ludzie zaczynają się robić nerwowi. Gdy integracja staje się antydemokratyczna i zaczyna działać przeciwko ludziom zamiast dla nich.

Gdzie jest Merkel?

Dziś jest już jasne, że powolne odchodzenie Merkel oznaczać będzie dla partnerów, a zwłaszcza dla sąsiadów Niemiec, znacznie mniejszą przewidywalność Berlina na europejskiej scenie



JAN ROKITA

Nie było dotąd w zwyczaju, aby przywódcy Niemiec tak bezceremonialnie odsyłali z kwitkiem prezydenta Francji. Co prawda zarówno w Paryżu, jak i Berlinie nie od dziś dobrze wiadomo, że tzw. francusko-niemiecki motor Unii Europejskiej to raczej ulubiona retoryka polityków w obu krajach, aniżeli jakaś polityczna realność. Bodaj ostatni raz faktyczna próba wzięcia za twarz całej Unii i podporządkowania jej niemiecko-francuskiemu duumwiratowi miała miejsce niemal dwie dekady temu, za czasów Schrödera i Chiraca, którzy snuli rojenia o europejskiej konstytucji i takim porządku europejskim, w którym wszyscy pozostali dostaliby szansę (jak mówił Chirac), „aby siedzieć cicho”. Ale szybko przyszło rozczarowanie, gdyż sami Francuzi odrzucili w referendum ideę nowego europejskiego ładu. A odkąd w 2005 r. w Berlinie zapanowała Angela Merkel, różnice interesów obu krajów stawały się z każdym rokiem bardziej wyraziste.

Kancelarz w relacjach z Francją dbała jednak zawsze przynajmniej o pozory. Im więc bardziej jej polityka szła pod prąd oczekiwaniom i interesom Paryża, tym bardziej była gotowa czynić spektakularne gesty przyjaźni albo jakieś prestiżowe dla Francuzów, lecz w istocie drobne, ustępstwa. Na przykład gdy Macron podjął prestiżową batalię o budżetowe

Manfred Weber, kandydat EPP na nowego szefa Komisji Europejskiej, podczas pobytu w Warszawie 7 marca

wyodrębnienie strefy euro z całej reszty Unii, Merkel – choć uczyniła wszystko, co konieczne, aby ta propozycja nigdy nie nabrała realności – jednocześnie chwaliła pod niebiosa „europejskie myślenie” Macrona i zgadzała się na nowy marginalny fundusz, mający dowodzić francusko-niemieckiej solidarności.

KARRENBauer KONTRA MACRON

Taka praktyka obowiązywała w zasadzie w Berlinie aż do teraz. Niespodziewanie złamała ją dopiero Annegret Karrenbauer – nowa szefowa niemieckiej chadecji, której jeszcze niedawno nie podejrzewalibyśmy o taką odwagę. Jej artykuł, opublikowany 10 marca w niedzielnym wydaniu prawicowego „Die Welt”, nadal unika co prawda otwartej krytyki samej osoby Macrona, ale w gruncie rzeczy jest niczym innym jak przemyślną i stworzoną z premedytacją listą tez potępiających różne aspekty francuskiej polityki europejskiej. Tak na dobrą sprawę nie ma w nim nic więcej ponad owe potępienia, Karrenbauer zaś nie zostawia na polityce Macrona suchej nitki. Szefowa CDU odpowiada w ten sposób na kolejną, pełną jak zwykle egzaltacji i napuszonych słów, europejską odezwę Macrona, którą 5 marca prezydent Francji ogłosił w 28 gazetach za pośrednictwem wpływowej sieci „Project Syndicate” oraz kazał upowszechnić w wielu językach na stronie internetowej Pałacu Elizejskiego. Zatem także CDU (rzadka to praktyka niemieckiej chadecji) gazetowy tekst swojej szefowej zawiesiła na czołowie partyjnego portalu nie tylko po niemiecku, lecz także w tłumaczeniu na pięć głównych języków europejskich, w tym polski. Tak, by nikt nie miał wątpliwości, że nie chodzi tu o jakiś „wybryk” nazbyt świeżutkiej i mało doświadczonej szefowej, ale o stanowisko partii rządzącej, z którym niemiecka chadecja bardzo chce zapoznać wszystkich Europejczyków, bez obawy o medialne skrót, przeinaczenia czy zlagodzenia. Intencja „dania odporu” Macronowi jest w tym wszystkim aż nadto czytelna.

Frontalny spór zaczyna się już na poziomie diagnozy, języka i metody prowadzenia polityki europejskiej.

Macron domaga się, aby Europejczycy byli „nieugięci, dumni i przenikliwi” wobec „manipulacji populistów” i chce w związku z tym, aby proeuropejskie (wedle jego opinii) rządy proklamowały konferencję, która miałaby się zająć reformami traktatów europejskich. Zwycięstwo euroentuzjastów w majowych eurowyborach ma być sygnałem początku „europejskiego odrodzenia”, które w realnej polityce winno prowadzić do nowego traktatu. Macron ewidentnie próbuje kopiować skuteczny swego czasu manewr z powołaniem tzw. europejskiego konwentu pod wodzą Giscarda d’Estaing, którego owocem stał się po licznych perypetiach obowiązujący dziś traktat lizboński. Karrenbauer ostro replikuje, że w majowych wyborach nie może chodzić o obronę status quo przed „populistami”, a jeśli reformy traktatu mają polegać – jak pisze – „na uzgodnieniach rzekomych proeuropejskich elit”, to nie może się to skończyć niczym dobrym dla UE. Jej zdaniem istotą problemu jest bowiem to, że europejskie narody coraz silniej kwestionują rolę owych elit, w naszej części Unii zaś (tzn. w Europie Środkowo-Wschodniej) zostało wyzwolone szkodliwe poczucie marginalizacji.

Dalej polemika jest już tylko ostrzejsza. Macron nazywa „postępem” wprowadzenie europejskiej płacy minimalnej i równych standardów socjalnych, a także ponowne wybiecie się UE na globalnego prymusa w narzucaniu standardów walki o klimat. W związku z tym wymienia nazwy kilku nowych urzędniczych agencji unijnych, jakie w tym celu należy powołać. Karrenbauer zaś uznaje za największych wrogów Unii „europejski centralizm”, „europejski etatyzm” oraz żądania „europeizacji” systemów socjalnych i płacy minimalnej. Do tego dorzuca pryncypialnie wszelkie pomysły na „uwpólnotowienie długów” poszczególnych krajów, uderzając w ten sposób z premedytacją w czuły punkt Macrona, którego tym razem nie odważył się on już nawet podnieść po raz kolejny, znając dobrze wrogie stanowisko niemieckie. A co do klimatu, przywołuje Macrona do rozsądku. „Ambitne cele i limity klimatyczne niczego nie rozwiązują” – pisze. I dodaje, że jeśli mamy się troszczyć o klimat,

to musimy „utrzymać poziom zatrudnienia i polepszać warunki rozwoju poszczególnych krajów”. A zamiast domagać się szkodliwej unifikacji socjału, trzeba myśleć o „wyrównywaniu poziomu życia pomiędzy krajami Unii”. Można by pomyśleć, że to są cytaty z przemowy premiera Morawieckiego podczas kolejnego przedwyborczego mitingu PiS, a nie szefowej rządzącej w Niemczech chadecji.

Na tym nie koniec. Karrenbauer poucza jeszcze Macrona w kilku dalszych kwestiach. Prezydent Francji w imię „ochrony obywateli” powraca do – wydawałoby się martwej – idei ujednolicenia polityki azylowej i nałożenia na wszystkich równych obowiązków wobec imigrantów. Szefowa CDU przypomina, że wszystkie próby w tej dziedzinie zakończyły się fiaskiem, a gdy idzie o europejską solidarność, to nie może być ona rozumiana tak, iż każdy kraj musi przyjmować iluś tam imigrantów. Bo ową solidarność można okazywać również np. troską o stan zewnętrznej granicy Unii. Przestrzega także Macrona, aby nie wspierał „roszczenia sobie przez instytucje europejskie prawa wyższości nad narodowymi rządami”. „Nowa Europa nie powstanie bez państw narodowych” – pisze Karrenbauer. I zaczepnie uderza we francuskie przesady co do polityki europejskiej. Najpierw na sugestie Macrona kształcenia przez Unię dziewcząt w Afryce odpowiada, że dla Czarnego Łądu prawdziwe znaczenie miałoby otwarcie Europy na afrykańskie towary rolne, co dla Francuzów stojących na straży europejskiego protekcjonizmu rolnego jest myślą obrazoburczą. Po czym już całkiem prowokacyjnie dodaje, że usprawnienie Unii wymagałoby likwidacji drugiej, strasburskiej siedziby Parlamentu Europejskiego. Każdy, kto czyta te fragmenty tekstu, musi mieć jasność, że zamierzonym celem autorki jest zagranie na nosie Francuzom i wywołanie ich nerwowej irytacji.

WARSZAWSKIE POŁAJANKI WEBERA

W tym samym czasie, gdy Karrenbauer robiła sobie wrogów w Paryżu, a sprzymierzeńców w całej Europie Środkowej, inny ważny polityk niemieckiej

chadecji czynił wszystko, aby w Polsce i u naszych sąsiadów wzbudzić obawy oraz nieufność. I rysował przy okazji wizję ustroju Unii diametralnie różną od tego, co napisała szefowa CDU. Manfred Weber, wiceszef bawarskiej CSU, zabrał się ostro do swojej kampanii wyborczej jako kandydat europejskiej centroprawicy EPP na szefa Komisji Europejskiej. I w tym charakterze odwiedził m.in. Warszawę, wspierając PO i PSL, a także dał kilka ciekawych wypowiedzi o swoich przyszłych planach wobec naszego regionu. Najpierw podczas warszawskiego wiecu ze Schetyną i z Kosiniakiem-Kamyszem zapędził się trochę w krytyce rządu polskiego, oznajmiając, że ów „kwestionuje polskie interesy i to musi ulec zmianie”. Co prawda można zrozumieć, że (skądinąd nonsensowna) ustrojowa logika eurowyborów skłania partyjnych kandydatów na szefa Komisji do włączania się w wewnętrzną walkę polityczną w poszczególnych krajach członkowskich, ale Weber tym razem „przeoczył” chyba to, że nie jest li tylko kandydatem w eurowyborach, lecz również niemieckim politykiem odwiedzającym sąsiadną Polskę. A jako hipotetyczny przyszły szef Komisji powinien się zatroszczyć o swe przyszłe dobre układy z władzami w Warszawie.

Weber posunął się jednak jeszcze dalej, przedstawiając – najpierw (9 marca) w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej”, a potem (17 marca) na łamach niedzielного wydania „Frankfurter Allgemeine” – własny plan takich reform Unii, które miałyby wzmocnić nadzór Komisji nad państwami członkowskimi, a przede wszystkim usprawnić procedury karania krajów, których polityka nie znajduje akceptacji w Brukseli. O ile polityczne intencje Webera są tu całkiem czytelne, o tyle instytucjonalny wymiar jego planu jest jak dotąd mało czytelny. Na łamach „Wyborczej” tłumaczy bowiem, że idzie mu o przewyżczenie niechęci unijnych rządów do podpisywania się pod decyzjami o sankcjach wobec swoich partnerów. Dlatego idea zmian miałaby polegać na corocznym publikowaniu przez Komisję raportu o przestrzeganiu

zasad unijnych, w którym ocena negatywna jakiegos państwa skutkowałaby automatyczną skargą do Trybunału Luksemburskiego. „A to musi się wiązać z sankcjami” – dla pełnej jasności dodaje Weber.

Kilka dni później jego pomysł nabrał już nieco odmiennych kształtów. Na łamach „FAZ” Weber zapowiada plan powołania dziewięcioosobowej rady złożonej z sędziów sądów konstytucyjnych i sądów najwyższych. Corocznie oceniałaby stan praworządności w poszczególnych krajach, a jej ocena nega-

W tym samym czasie, gdy nowa szefowa CDU robiła sobie wrogów w Paryżu, a sprzymierzeńców w Europie Środkowej, inny polityk niemieckiej chadecji czynił wszystko, aby w Polsce i u naszych sąsiadów wzbudzić obawy oraz nieufność

tywna skutkowałaby – jak mówi Weber – „wstrzymaniem bądź ograniczeniem wypłaty funduszy europejskich”. Dla wzmocnienia prawnej legitymacji tego rodzaju idei Weber występuje tu razem ze znanym ze swych chadeckich afiliacji partyjnych byłym sędzią niemieckiego Trybunału w Karlsruhe prof. di Fabio. Sędzia ma tu oczywisty interes własnej korporacji zawodowej, która – wedle idei Webera – miałaby „wyřęczyć” mało efektywnych polityków przy podejmowaniu decyzji o karaniu niesfornych państw członkowskich.

Co ciekawe, taki koncept przekształcenia Unii w swoistą „demokrację prawników” napotkał krytykę lewicowego konkurenta Webera do posady szefa Komisji – Fransa Timmermansa. Holender – trzeba przyznać, dość zdroworozsądkowo – argumentuje, że

nieskuteczność procedur karnych ze słynnego art. 7 traktatu lizbońskiego tkwi w politycznej woli europejskich rządów i byłoby nonsensem próbować zastępować rządy prawnikami. Owszem, Timmermans chciałby, aby Unia dawno już ukarała zarówno Polskę, jak i Węgry (a także zapewne Rumunię), ale jest politykiem w tym sensie tradycyjnym, że przekazanie całej władzy politycznej w tej materii w ręce sędziów wydaje mu się ideologicznym dziwactwem. To nieco zaskakujące, ale lewicowemu Holendrowi mimo wszystko bliżej do klasycznego myślenia o polityce i suwerenności państw, aniżeli niemieckiemu chadekowi przesiąkniętemu ideologią, wedle której politycy mają zostać podporządkowani władzy „bezpstronnej” korporacji sędziowskiej.

ZMIERZCH PANI KANCLERZ

Przedwyborcze harce Karrenbauer i Webera zmuszają do postawienia pytania: a gdzie jest Merkel? Widać wyraźnie, że osłabienie politycznej pozycji kanclerz skutkuje z jednej strony ideowym ożywieniem niemieckiej chadecji, która w ciągu dwóch ostatnich dekad była przyduszona bezwzględną dominacją Merkelowskiego mało ideowego pragmatyzmu. Teraz zaś – posługując się chińską metaforą – zaczyna w niej „rozkwitać sto kwiatów”. Gdyby „linia Merkel” była w chadecji nadal obowiązująca, to ani Karrenbauer nie dostałaby przyzwolenia na upokarzanie Macrona, ani Weber na wzbudzanie tłumionej wściekłości w Warszawie, Budapeszcie, a nawet Bukareszcie czy Pradze.

Dziś jest już jasne, że powolne odchodzenie Merkel oznaczać będzie dla partnerów, a zwłaszcza dla sąsiadów Niemiec, znacznie mniejszą przewidywalność Berlina na europejskiej scenie. Któż mógłby jeszcze niedawno sądzić, że nowa szefowa CDU postanowi zaistnieć na europejskiej scenie frontalnym atakiem na politykę Macrona? Z bawarskiej CSU zaś, tak dobrze znanej przecież z politycznego tradycjonalizmu, wyjdzie rewolucyjna idea przekształcenia Unii w „demokrację prawników”? 

Wielkie zasepienie

Debata cywilizacyjna po rzezi w meczetach w Nowej Zelandii została sprowadzona do najbardziej prymitywnych emocji i partyjnej, doraźnej nawalanki



ŁUKASZ ADAMSKI

Zrobił to samo, co Anders Breivik. Różnica jest taka, że wszystko nagrał i wrzucił do mediów społecznościowych. 28-letni Australijczyk Brendon Tarrant wybrał na cel ataku miasto Christchurch – w wolnym tłumaczeniu Kościół Chrystusa – i dokonał rzezi w dwóch meczetach. Uzbrojony po zęby w karabiny automatyczne rozstrzelał 50 osób, najmłodsza ofiara ma trzy lata. W momencie, gdy czytają państwo ten tekst, liczba ofiar może być większa. Wszyscy zabici to muzułmanie. Gdy skończyła mu się amunicja, wrócił do samochodu, załadował magazynki i kontynuował rzeź. Broń kupował w sklepach w Nowej Zelandii i przez internet. Na fali szoku wywołanego atakiem mieszkańcy zaczęli oddawać półautomatyczną broń, którą wolno legalnie im posiadać. Emocjonalna debata po zamachu białego nacjonalisty dopiero się zaczyna i zapewne będzie miała jeszcze wiele politycznych odcieni. Zgodnie z życzeniem zamachowca, który chciał

wywołać określony skutek. Jak każdy terrorysta.

WĄTEK POLSKI

Tarrant nie miał kryminalnej przeszłości. Pracował jako instruktor w siłowni. Jego koledzy z pracy mówili, że atak Tarranta ich zszokował. Kilka dni po zbrodni media były zasypywane informacjami o jego życiu. Trudno ocenić, które są wiarygodne, a które są dopasowane pod tezę. Babcia mordercy wyznała, że lubił gry komputerowe, co widać w sposobie filmowania przez siebie strzelaniny, którą transmitował na Twitterze i Facebooku. Ujęcia zza lufy karabinów są wyjęte z popularnych strzelanek, jak „Call of Duty” czy „Battlefield”. Zarzuty o inspirację grami wideo czy filmami pojawiają się po każdej strzelaninie w amerykańskich szkołach. O wiele ciekawiej wyglądają informacje o jego podróży do Europy, która miała go w oczach rodziny i znajomych zmienić. Według brytyjskiego „The Telegraph” Australijczyk odwiedził w 2017 r. Wielką Brytanię, Turcję, Francję, Hiszpanię, Bułgarię, Rumunię, Węgry, Islandię, kraje bałkańskie, Polskę i Argentynę.

Polskie wątki zostały szybko podjęte przez media. Zapewne wykorzystywać będą ci, którym zależy na paliwie do

tezy, że prawicowa narracja utwierdziła go w jego nacjonalistycznych przekonaniach. Według doniesień mediów zamachowiec miał na karabinie umieścić symbole nazistowskie i pogańskie. Pojawiła się tam też podobno data 1683 r. i nazwisko Feliksa Kazimierza Potockiego, jednego z dowódców polskiej armii w bitwie z Turkami pod Wiedniem. Polska pojawia się też w manifestie Tarranta, który ten opublikował w mediach przed zamachem i wysłał do premier Nowej Zelandii. Jego zdaniem to w Polsce, obok Francji, Austrii, Kanady, Argentyny, Wenezueli i Australii (nie wiadomo dlaczego akurat w tych krajach) ma powstać ruch zmieniający zachodni świat. Z drugiej strony w jego przekonaniu nawet Polska nie jest bezpieczna przed islamskimi imigrantami. „Nie ma dokąd uciekać [przed imigrantami], odwróć się, staw czoło wrogowi, zajmij pozycję. Nie znajdziesz żadnej kryjówki ani w Islandii, ani w Polsce, ani w Nowej Zelandii, ani w Argentynie, ani na Ukrainie, nigdzie na świecie. Ja wiem, bo tam byłem” – napisał w swojej kuriozalnej i pełnej sprzeczności odezwie.

BELKOTLIWY MANIFEST

Manifest Tarranta liczy 74 strony. W Polsce wielką część tekstu przetłumaczyli i link do niego opublikowali

redaktorzy nacjonalistycznej strony Medianarodowe.com. Tekst jest bełkotem przepełnionego nienawiścią psychopaty, którego nie warto nawet szerzej omawiać. Już kilka zdań z manifestu pokazuje, z produktem jakiego umysłu mamy do czynienia. Tarrant wyjaśnia, że masakra, jaką urządził w meczetach, miała na celu zastraszenie fizyczne „najeźdźców”. Chciał też, by wzbudziła „chęć odwetu i dalsze podzielenie się ludności europejskiej z najeźdźcami obecnie okupującymi Europę”. Australijczyk mieni się mścicielem Europejczyków zabitych w wojnie z islamistami i kimś, kto „oświeśla drogę dla tych, którzy chcą uwolnić ziemię przodków od najeźdźców, być latarnią dla tych, którzy chcą stworzyć trwałą kulturę, pokazać im, że nie są sami”. Tarrant chciał też stworzyć atmosferę strachu i zdestabilizować społeczeństwo poprzez jego skrajne spolarzowanie. Jego celem jest zniszczenie „nihilistycznego i hedonistycznego” społeczeństwa zachodniego. Manifest pokazuje dobitnie, że Tarrant nie karcił swojej ideologii poważnymi rozważaniami metapolitycznymi. Píše o oczekiwanej przez białego człowieka „bałkanizacji” Stanów Zjednoczonych Ameryki, co tylko dowodzi, jak prostacko rozumie geopolitykę.

Choć zatytułował swój tekst „Wielkie zastąpienie”, to próżno u niego szukać rozważań na poziomie francuskiego pisarza Renauda Camusa. Autor książki „Wielkie zastąpienie”, który został notabene oskarżony o islamofobię, napisał, że we Francji dokonuje się systematyczna wymiana populacji prowadzona przez liberalne elity. Camus znany był z gejońskiej literatury i jako przedstawiciel pokolenia '68 działał w Partii Socjalistycznej. Dziś jednak stał się na francuskich salonach persona non grata, jest za to cytowany przez morderców nacjonalistów. To tylko pokazuje, w jakim pokręconym miejscu znalazła się nasza cywilizacja. Tezy Camusa wpisują się w rozważania innego libertyna, niemającego przecież nic wspólnego z prawicą – Michela Houellebecqa. *Enfant terrible* europejskiej literatury od lat otwarcie mówi o samobójstwie zachodniej cywilizacji. Lewicowi intelektualiści nie bez powodu piszą dziś, że

tezy Camusa inspirują szerokie grupy przeciwników nieprzemyślanej polityki multikulturowej. Niestety przez działania psychopatów, jak Breivik czy Tarrant, łatwo jest im wrzucić wszystko do jednego worka. Lewicowi publicyści łączą tezy Camusa z marszami członków Ku Klux Klanu w Charlottesville w stanie Wirginia, gdzie krzyczano „Nie zastąpicie nas!”. Teraz jeszcze łatwiej im będzie dyskredytować intelektualistów, których rozważania biorą na swoje sztandary mordercy.

JAŁOWA DEBATA CYWILIZACYJNA

To, co zrobili Breivik i Tarrant, nie ma nic wspólnego z debatą nad kształtem naszej cywilizacji i rozważaniami o tożsamości Europy. Ich czyn nie różni się moralnie niczym od ataków islamistów czy zapomnianych dziś ataków komunistów w zachodniej Europie w latach 70. XX w. Tarrant okazał się poganim i nacjonalistą. „Żywy lub martwy zrobiłem to dla was: moich przyjaciół, mojej rodziny, moich ludzi, mojej kultury, mojej rasy. Żegnajcie. Boże, błogosław nam wszystkim i zobaczmy się w Valhalli” – napisał na końcu swojego manifestu. Valhalla to kraina nordyckich bóstw. W mitologii nordyckiej jest to miejsce przebywania poległych w chwale wojowników, których z pola bitwy zabierały walkirie, a na progu Valhalli witał ich Bragi. Australijczyk trafił do aresztu i czeka go proces o mordstwo. Z pewnością będzie to proces pelen ideologii i polityki.

Nie mam wątpliwości, że podobne zamachy motywowane ideologicznie będą się powtarzać. To powodować będzie odwet islamskich fanatyków. Potem pojawi się kolejny naśladowca norweskiego i australijskiego „mściciela”. Następnym krokiem będzie wymierzanie kar politykom nieumiejącym rozwiązać problemu braku integracji imigrantów z krajów islamskich z normami zachodniej kultury. Niemożliwe? Przecież i u nas mordowano już najwyższych rangą polityków z powodów czysto ideologicznych. W Italii Czerwone Brygady zamordowały premiera Aldo Moro. To natomiast może doprowadzić do regularnych bitew ulicznych między

islamistami a nacjonalistami. Nie trzeba być prorokiem, by przewidzieć taki scenariusz.

WINNY TRUMP?

Problem w tym, że debata po zamachu nie idzie w stronę racjonalnego i merytorycznego sporu. Widać to dobitnie po reakcji kilku ważnych gwiazd Hollywood, które zamiast rozmawiać o istocie problemu, o inspiracje zamachowca oskarżyły... prezydenta Donalda Trumpa. Po tym jak Trump napisał na Twitterze, że śle „najszczerze wyrazy współczucia” do Nowozelandczyków, aktor Jeffrey Wright, udostępniając tweeta prezydenta, napisał: „Bin Laden śle najszczerze wyrazy współczucia i życzenia dla wszystkich nowojorczyków”. Niekryjący swoich lewicowych sympatii John Cusack przebił kolegę, pisząc: „Pier... tego patologicznego kłamcę i kryminalistę! Demokracja przetrwa tylko wtedy, gdy on zgnije w więzieniu. Dorwijmy go!”. Telewizyjna gwiazda Debra Messing wyraziła solidarność z muzułmanami całego świata. „Jesteśmy z wami. Jak widzicie, będziemy walczyć z białą supremacją i islamofobią, aż do czasu, gdy staniamiy się wolni od strachu”. Znany z roli Hulka w „Avengers” Mark Ruffalo również zwrócił uwagę na problem białej supremacji, w domyśle kierowanej na świecie przez Trumpa. „Biała supremacja jest globalnym wrogiem i musi być powstrzymana. To jest rasistowski, islamofobiczny, antysemicki pogląd” – perorował.

Brzmi znajomo? Bardzo podobne głosy pojawiały się po mordzie na prezydencie Gdańska Pawle Adamowiczu. Sugestia, że za działaniem zamachowca stała „atmosfera w Polsce”, „nagonka państwowej telewizji” i „nienawiść szerzona przez PiS” są identyczne jak zarzuty wobec Trumpa. Nie przez przypadek w mediach społecznościowych zaczęły się pojawiać prześmiewcze memy z informacją, że Tarrant, będąc w Polsce, oglądał pewnie TVP Info. To jest największy problem naszej debaty cywilizacyjnej. Zostaje sprowadzona do najbardziej prymitywnych emocji i partyjnej, doraźnej nawalanki. W tym czasie kolejni nacjonaści i islamiści ładują swoje karabiny i ostrzą maczety. 

Chronimy swoich informatorów i warsztat pracy, który stosujemy w konkretnym przypadku. Zawsze czekamy na dodatkowe informacje od sygnalistów, czyli na przykład osób, które w danej firmie pracowały i chciałyby się podzielić z nami informacjami o nieprawidłowościach. W postępowaniu antymonopolowym mamy instytucję świadka koronnego, którego chronimy do momentu wydania decyzji w sprawie

Z Markiem Niechciałem,
prezesem Urzędu Ochrony
Konkurencji i Konsumentów,
rozmawia Edyta Hołdyńska

Urząd jak prokuratura

Przypadki nieuczciwej konkurencji spotykamy na co dzień. Duże kontrowersje wzbudziła ostatnio reklama jednej z sieci telefonii komórkowej, która zachwalała swoje produkty, używając nazwy 5G, czyli niedziałającej jeszcze sieci. Co na to urząd?

Marek Niechciał: Ewentualnie można byłoby mówić o naruszeniu zbiorowych interesów konsumentów. Przypomina to sytuację, w której bank mówi o darmowym kredycie, a ten wcale nie jest bezpłatny. Inny przykład to cyfryzacja telewizji. Wtedy

niektórzy producenci telewizorów mówili, że ich odbiorniki są gotowe na rewolucję. Później wybrano inny standard i okazało się, że te odbiorniki nie były gotowe na zmianę sposobu nadawania. Wprowadzono klientów w błąd.

Kiedy jest moment na interwencję UOKiK?

W tej chwili jeszcze za wcześnie na konkretne deklaracje, tym bardziej że to inna sytuacja niż większość, z którymi mamy do czynienia. Częściej spotykamy się z przypadkami,

że ktoś obiecuje większą przepustowość, zasięg czy dostępność jakiejś usługi, a w praktyce te zapewnienia z salonu okazują się fikcją. Zdarzają się przypadki, że klient kupuje pakiet usług w miejscowości, w której miał mieć nieograniczony dostęp, a potem okazuje się, że ta usługa jest uruchomiona tylko w dużych miastach. Klient zostaje wprowadzony w błąd na etapie zawierania umowy. Takie przypadki nie powinny się zdarzać.

To już naruszenie interesów konsumentów?

Nie można tego ocenić bez zbadania sprawy. Przede wszystkim sprawdzenia, jakie informacje otrzymał konsument. Na ile były one wprowadzające w błąd. Być może ta sprawa jest już analizowana przez Urząd Komunikacji Elektronicznej, któremu operatorzy telekomunikacyjni podlegają. Pamiętajmy, że jest cały system ochrony konsumentów. Jeżeli klient czuje się wprowadzony w błąd, to na pierwszym etapie w ocenie sprawy zawsze pomoże rzecznik konsumentów, który wspiera w indywidualnych przypadkach.

Urząd walczy także ze zmwami cenowymi. Mają one kilka wymiarów. Jak to możliwe, że mogło dojść do tego, że mieszkańcy Warszawy płacą więcej za ogrzewanie przez układ, który stworzyli dostawcy ciepła energii?

Najbardziej znany sposób złamania prawa antymonopolowego to dogadanie się co do ceny usług. Koronnym przykładem, który zawsze podajemy, by wytłumaczyć, jak szkodliwa może być wieloletnia zмова cenowa, jest kartel cementowy. Producenci cementu dogadali się, że będą kolejno podnosić ceny. Tak, żeby zachować udział w rynku. Tu było wiele lat nielegalnej praktyki i skuteczne działanie naszego urzędu w postaci wysokich kar. Teraz w Warszawie podejrzewamy inny rodzaj zmony. Naszym zdaniem mogło dojść do podziału rynku ciepła. Zarzuty postawiliśmy czterem firmom i dwóm menedżerom. Podejrzewamy, że zмова polegała na umówieniu się, że nie będą sobie wchodzić w drogę – jeden będzie działał na rynku sprzedaży, inny na rynku produkcji ciepła. Podejrzewamy, że praktyka ta mogła trwać od 2014 r.

Jak wygląda postępowanie UOKiK w tej sprawie?

W trakcie prowadzonych działań nie możemy mówić o konkretach. Chronimy swoich informatorów i warsztat pracy, który stosujemy w konkretnym przypadku. Zawsze czekamy na dodatkowe informacje od sygnalistów, czyli na przykład osób, które w danej firmie pracowały i chciałyby się podzielić z nami informacjami o nieprawidłowościach.

W postępowaniu antymonopolowym mamy instytucję świadka koronnego, którego chronimy do momentu wydania decyzji w sprawie. W przypadku firm ciepłowniczych z Warszawy na początku uzyskaliśmy pozwolenie od sądu na przeszukanie. W tej sprawie zebraliśmy ponad 1,7 tys. dowodów elektronicznych oraz 300 papierowych. Uzyskaliśmy je dzięki kontrolom w siedzibach zmagających się. Mając zabezpieczone dowody, tak jak prokuratura analizujemy je i szukamy antykonkurencyjnych działań. Tak wygląda nasza ścieżka prokuratorska. Na koniec wydając decyzję, stawiamy coś w rodzaju aktu oskarżenia. W sprawie warszawskiej zmony cenowej jesteśmy na etapie stawiania zarzutów, czyli wszczęcia postępowania antymonopolowego, które może zakończyć się karą maksymalnie do 10 proc. obrotów dla firm.

A jak wygląda sprawa zmony cenowej ogólnopolskich dostawców energii? Czy to przez nią ma zdrożeć prąd?

Prowadzimy postępowanie wyjaśniające w tej sprawie. Nie wszystkie zmiany cen muszą być wynikiem niedozwolonych praktyk. Sprawdzamy, jak było w tym przypadku. Na pewno częściowo wzrost cen tłumaczyć można wzrostem opłat za emisję CO₂ lub zmianą innych czynników rynkowych. Wzrosło PKB, a zatem zwiększyło się zapotrzebowanie na prąd. Proporcjonalnie o połowę względem wzrostu PKB, czyli o prawdopodobnie 2,5 proc. w ubiegłym roku. Czy będą podstawy do kolejnych działań w tej sprawie – na tym etapie jest jeszcze za wcześnie na deklaracje z naszej strony. Posłużę się przykładem z życia, często przed Wielkanocą gospodynie zauważają wzrost cen jaj – najczęściej powodem są zbliżające święta i rosnący popyt. Na rynkach takich jak energetyka mogą zachodzić podobne zjawiska. Jesteśmy od tego, by sprawdzić, czy wzrost cen podyktowany jest niedozwolonym działaniem antykonkurencyjnym, czy to wyłącznie sprawa rynkowa. Kontynuując temat energetyki, chcę dodać, że nadal mamy wiele spraw konsumenckich dotyczących

zmiany dostawcy usług energetycznych, tzw. dostawców alternatywnych.

Była nawet szeroko dostępna akcja informacyjna o innych, tańszych dostawcach prądu, która uwiarygodniła ich działania.

Pierwszy problem, który dostrzegamy, to nieuczciwa zmiana dostawcy. Scenariusz jest prosty – do konsumenta przychodzi handlowiec i oferuje umowę „lepszą i tańszą”. Często zapewnia, że jest dotychczasowym dostawcą. Namówiony w ten sposób, najczęściej senior konsument, zmienia usługodawcę. Niestety, nie ma świadomości, że został wprowadzony w błąd i że oferta wcale nie jest tak korzystna, jak zapewniał handlowiec. Takich przypadków mamy setki. Drugi rodzaj problemów, które dostrzegamy, to bankructwo alternatywnego dostawcy prądu lub gazu. W ich miejsce wchodzi dostawca energii z urzędu. Wówczas ceny są o wiele wyższe. Zarówno my, jak i URE w takich przypadkach troszczymy się o konsumentów. Nie wykluczam, że być może w niedługim czasie będą tu nawet potrzebne zmiany prawne. Cała inicjatywa legislacyjna jest w tym wypadku po stronie energetyki.

Jednak kiedy urząd staje w obronie konsumentów, protestuje branża. Na przykład deweloperska, która mówi, że nigdy rynek nie był tak surowo regulowany, jak planuje się to w nowej ustawie.

Argument, że rynek deweloperski jest mocno regulowany, to co najmniej przesada, jeśli nie mijanie się z prawdą. Jeśli mam jakieś środki finansowe i trzymam je w banku, to jestem chroniony przez cały system zabezpieczeń. Przede wszystkim nad bezpieczeństwem moich pieniędzy czuwają: Komisja Nadzoru Finansowego i Bankowy Fundusz Gwarancyjny. Jeśli kupuję mieszkanie za 300 tys. zł, to obecnie moja ochrona jest umiarkowana. Zabezpieczenia tworzy się na wypadek sytuacji kryzysowych. I takie rozwiązania zaproponowaliśmy w projekcie. Jeśli deweloper bankrutuje, a zabezpieczeniem jest otwarty rachunek, dostaję

pieniądze, które zostały na rachunku i prawo do gołych murów, których nie zdążył wykończyć deweloper. Czy w takich sytuacjach to na konsumentach ma ciążyć cała odpowiedzialność za inwestycję? Nie. Proponujemy razem z Ministerstwem Inwestycji i Rozwoju analogiczną ochronę, jaką mamy obecnie w systemie bankowym czy turystycznym. W branży turystycznej jeszcze do niedawna tak było, że zagraniczne wakacje kojarzyły się ze strachem przed upadłością biura. Teraz od wycieczki płaci się 15 zł na turystyczny fundusz gwarancyjny, który zabezpiecza klientów. Chcemy zabezpieczyć też klientów deweloperów, którzy płacą nieporównywalnie większe pieniądze niż za wycieczkę. Stworzyliśmy deweloperski fundusz gwarancyjny, który jest odpowiedzią na potrzeby branży. Dodatkowo stworzyliśmy wiele rozwiązań, które chronią nabywców od chwili podjęcia decyzji o zakupie mieszkania i zarezerwowaniu go u dewelopera do chwili uzyskania aktu notarialnego.

A czy przykładem nieuczciwej konkurencji jest przejęcie Radia Zet przez spółkę Agora? Prowadzą państwo postępowanie w sprawie braku zgłoszenia Agory o próbie przejęcia rynku?

Kiedy kupuje się firmę o dużych obrotach, trzeba przyjść do urzędu i poprosić o zgodę. Badamy, czy nie dochodzi do monopolizacji konkretnego rynku. Na rynku radiowym Radio Zet jest

drugą co do zasięgu i wielkości stacją. Nawet jeśli dodamy do tego rozgłośnie Agory, to w skutek tego nie powinno prawdopodobnie dojść do powstania pozycji dominującej w skali kraju. Natomiast na poszczególnych terenach, w miastach, regionach sytuacja może być zupełnie różna. To wszystko byłoby przedmiotem naszego postępowania. Ponieważ Agora podpisała umowę i nie zgłosiła tego urzędowi, wszczęliśmy postępowanie sprawdzające. Niezgłoszenie takiej transakcji może skutkować karą do 10 proc. obrotów za poprzedni rok. Zażądaliśmy wyjaśnień od Agory. Firma poprosiła o przedłużenie terminu odpowiedzi. Powinniśmy ją dostać w kwietniu.

Co dalej z frankowiczami i poszkodowanymi obligatariuszami GetBacku?

Ostatnio wygraliśmy z mBankiem sprawę o ujemny LIBOR i nieprawidłowo naliczane opłaty będą zwracane klientom. Kluczowe będą decyzje sądów w tych sprawach. Dopiero od niedawna przedawnienie w sprawach ochrony konsumentów wynosi pięć lat. Do samych umów z 2008 r. już trudno będzie wracać. My natomiast możemy działać, unieważniając te opłaty. Mamy coraz więcej częściowych wygranych w sprawie wadliwych, szkodzących klientom zapisów w umowach. W przypadku GetBacku prowadziliśmy działania wyjaśniające w sprawie oferowania obligacji klientom. Z tego wypączkowały kolejne

działania, jedno z nich zakończyło się karą 2 mln zł dla domu maklerskiego za klauzule niedozwolone w umowach. Teraz prowadzimy postępowanie wobec Idea Banku i GetBacku.

Urząd rozrasta się teraz o kolejnych 110 urzędników, czyli 1/5 całej instytucji, po to by przeciwdziałać zatorom płatniczym. Czy to nie jest nadmierny rozrost biurokracji?

Stworzenie systemu ochrony przedsiębiorców poszkodowanych przez zatory płatnicze to wielkie wyzwanie. Dostajemy to zadanie z dużym kredytem zaufania i będziemy całość tego systemu stawiać od podstaw, dlatego te propozycje dotyczące rozbudowy naszego urzędu są konieczne, jeśli przepisy mają być skutecznie realizowane. Nieterminowe regulowanie należności bardzo negatywnie wpływa na kondycję przedsiębiorstw. Jeśli jeden kontrahent nie płaci drugiemu, ten kolejny zaczyna mieć kłopoty z regulowaniem swoich płatności wobec swoich poddostawców. Długoterminowe nieregulowanie płatności może powodować bankructwo. Powstaje ustawa, która ma zapobiegać takim sytuacjom. Jeśli wykryjemy, że ta firma nie płaci kontrahentom, to za każdy dzień zwłoki będziemy naliczać karę. Badania firm wskazują, że blisko 70 proc. przedsiębiorców za jedną z największych barier w prowadzeniu biznesu wskazuje właśnie zatory płatnicze. Żeby ucywilizować sytuację w gospodarce, konieczna jest ustawa o zatorach.



Fot. Andrzej Wiktor (x2)

Błędny marketing zagrożeniem dla rozwoju 5G

15 marca przypadł Światowy Dzień Konsumenta. Związek Przedsiębiorców i Pracodawców (ZPP) uznał, że to dobry moment na wystąpienie z oświadczeniem podkreślającym zagrożenia, jakie niesie ze sobą kierowana do konsumentów nierzetelna informacja o nowych technologiach

Ekspert ZPP podkreślił, że często dochodzi do sytuacji, w której marketingowcy wprowadzają do oferty handlowej nazwy opracowywanych, przyszłych rozwiązań technologicznych, których jeszcze tak naprawdę nie są w stanie zaoferować. W tym kontekście warto przypomnieć oburzenie, a nawet rozbawienie, jakie wśród internautów wywołała oferta sieci Play, nazwana „5G Ready”. W rzeczywistości bowiem ani Play, ani żaden inny operator w Polsce nie dysponuje jeszcze technologią, która uzasadniałaby posługiwanie się szyldem „5G”. Tymczasem marketingowcy Play postanowili „wyprzedzić” konkurencję, przynajmniej na odcinku komunikacji reklamowej.

W swoim oświadczeniu ZPP zwraca uwagę, że podobne praktyki mogą nie tylko wprowadzać w błąd konsumentów, lecz nawet stanowić jedną z barier rozwoju sieci szybkiego internetu nowej generacji.

W przypadku nowoczesnej infrastruktury telekomunikacyjnej wprowadzająca w błąd komunikacja marketingowa opiera się niekiedy na sugerowaniu, niezgodnie z prawdą, że oferowana usługa wykorzystuje światłowód. Taka nieuczciwa praktyka operatorów nie tylko może psuć rynek i odbijać się na jakości oferowanych usług, lecz także wpłynąć negatywnie na poziom i zasięg inwestycji – czytamy w oświadczeniu ZPP.

Związek sugeruje wprost, że marketingowa aktywność z nierzetelnym przekazem może doprowadzić do braku zainteresowania podjęciem inwestycji przez konkurencyjne podmioty. Problem jest na tyle poważny, że ZPP, który dał się raczej poznać jako organizacja działająca na rzecz ograniczenia ingerencji państwa w biznes, sugeruje konieczność uregulowania prawnego formułowania przekazów handlowych, wykorzystujących nazwy najnowszych technologii. Państwa stosują różne modele, niektóre wprowadzają do porządku prawnego definicje technologii, wskutek czego takie „podróbki” są z mocy prawa zwalczane. Dużą rolę mogą odegrać też kampanie informacyjne i edukacja.

Wydaje się zatem, że najważniejszą funkcję do spełnienia mają tutaj państwowe urzędy, takie jak Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów czy Urząd Komunikacji Elektronicznej. Od ich nadzoru zależy to, czy klienci nie będą wprowadzani w błąd i czy nie zabraknie chętnych do modernizacji oraz rozbudowy linii przesyłowych w Polsce. **➤**

(kut)

30.02.19/F

REKLAMA

CO ŁĄCZY CAŁUN TURYŃSKI I CUDOWNY POLSKI OBRAZ?
KLUCZ DO NAJWIĘKSZEJ Z TAJEMNIC WIARY

KAMILA
KAMIŃSKA

MACIEJ
MAŁYSA

JANUSZ
CHABIOR

REMIGIUSZ
JANKOWSKI

PIOTR
CYRWUS

JACEK
BORKOWSKI

TADEUSZ
CHUDECKI



PREMIERA OBJĘTA PATRONATEM HONOROWYM
PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ
ANDRZEJA DUDY

REŻYSERIA MICHAŁ KONDRAT

MIŁOŚĆ I MIŁOSIERDZIE

JEZU, UFAM TOBIE

scenariusz MICHAŁ KONDRAT reżyseria MICHAŁ KONDRAT produkcja FUNDACJA FILMOWA IM. ŚW. MAKSYMILIANA KOLBE operacja TELEWIZJA POLSKA S.A.
montaż MATEUSZ PASTERWKA muzyka JAN SOBIEŃSKI kostiumy ALICJA BUŁEWA PATRYK - BRIGADZINSKA makijaż ANNA WEBER zdjęcia SZYMON KUŚCER
opracowanie KAMILA KAMIŃSKA nagrody MACIEJ JANUSZ CHABIOR REMIGIUSZ JANKOWSKI PIOTR CYRWUS JACEK BORKOWSKI TADEUSZ CHUDECKI produkcja KONDRAT-MEDIA KINO ŚWIAT



W KINACH OD 29 MARCA





Hit tygodnia

Takie Audi tylko... w filmie!



Audi RSQ e-tron to fikcyjny, wirtualny samochód koncepcyjny, który pojawi się tylko... w filmie animowanym „Tajni i fajni” (ang. Spies in Disguise). Animowane audi wyposażono w hologramowy prędkościomierz, jest elektromobilne i w pełni autonomiczne – można by rzec, koncept wcale nie tak odległy od

rzeczywistości. Audi RSQ e-tron został specjalnie zaprojektowany na potrzeby filmu, choć nie wiadomo, czy jest planowane jego pojawienie się w realu. „Audi i wytwórnia Twentieth Century Fox współpracują od lat. Cieszymy się, że teraz możemy rozwijać nasze relacje, wprowadzając Audi po raz pierwszy do świata filmu animowanego” – mówi

Erin Williams, wiceprezes wytwórni ds. partnerstw marketingowych. „Międzynarodowa historia szpiegowska, pełna futurystycznych technik mogących ocalić świat, pasuje idealnie do marki Audi” – dodaje Giovanni Perosino, wiceszef działu komunikacji marketingowej w AUDI AG. To pierwszy taki projekt, w którym Audi przeniesie na ekran futurystyczną stylistykę i niemiecką myśl techniczną w dziedzinie mobilności.

AUTOFOCUS, czyli co warto wiedzieć

Ciekawa informacja dla zwolenników jednośladow. Do Polski powraca marka MV Augusta, która przy okazji będzie miała nowego importera. MV Agusta (Motori Vincenzo Agusta) to obok Ducati jedna z najbardziej znanych włoskich marek. Założona w 1945 r. firma specjalizuje się w produkcji sportowych motocykli.

Elon Musk znów ma powody do zadowolenia. Jego firma produkująca auta elektryczne zanotowała kwartalny zysk netto – trzeci raz w historii. Przychód netto wyniósł 312 mln dol. Musk wyraził wdzięczność wszystkim właścicielom i sympatykom marki Tesla. „Bez was nie byłibyśmy tu, gdzie jesteśmy” – napisał na Twitterze. Zapewnił też, że firma osiągnie zysk

również w IV kwartale. Tesla ma także zacząć przyjmować zamówienia na Model 3 w Europie i Chinach. Na Stary Kontynent pierwsze egzemplarze trafią na początku przyszłego roku.

Czy Wietnam kojarzy się z motoryzacją? Chyba niezbyt, ale to może się już niedługo zmienić. Podczas Międzynarodowego Salonu Samochodowego 2018 w Paryżu będzie można obejrzeć dwa modele (sedan i SUV) bliżej nieznaney firmy Vinfast. Wietnamczycy chcą zainwestować 3 mld dol., by w ciągu dwóch lat stworzyć całą infrastrukturę (fabryka, pracownicy itd.) i wprowadzić na rynek jeszcze w 2019 r. dwa pierwsze modele aut.

Przygotował Paweł Gadaczek

**TY MASZ DOM,
A ONI?**

AKCJA DOM

„Rzeczą godną pochwały
jest powrót wielu osób i rodzin
oraz odbudowa domów
w Dolinie Niniwy” –
kard. Pietro Parolin –
Sekretarz Stanu Stolicy Apostolskiej

Aby tak się stało, potrzeba
również Twojej pomocy.

**I Ty możesz
się włączyć
w BUDOWĘ
DOMÓW**

w Dolinie Niniwy,
w dwóch miastach Iraku:
BARTELLA i BASZIKA

POMÓŻ I WPŁAĆ:

**Fundacja NIEDZIELA.
Instytut Mediów**

Tytuł przelewu: Akcja DOM

**Numer konta PLN:
65 1140 2004 0000 3602
7608 3791**

Więcej informacji na:

www.fundacja.niedziela.pl



PKP CARGO ma bardzo dobry czas

*Grupa PKP CARGO zamknęła rok 2018
rekordowymi wynikami finansowymi,
najlepszymi od momentu wejścia na Giełdę
Papierów Wartościowych w Warszawie
w 2013 r.*

Raport finansowy za 2018 r. został opublikowany przez PKP CARGO w ostatni czwartek. Przychody operacyjne w poprzednim roku wyniosły 5 mld 237,5 mln zł, co oznacza wzrost o prawie 11 proc., czyli o ponad 505 mln zł, w porównaniu z rokiem 2017 (4 mld 733 mln zł). Tak wysokich przychodów PKP CARGO nie osiągnęło od momentu wejścia na warszawską giełdę w 2013 r., a nie mniej okazały się również inne wskaźniki finansowe. EBITDA za 2018 r. wyniosła niemal 907 mln zł, podczas gdy rok wcześniej miała wartość „tylko” 700,3 mln zł. Przez rok EBITDA wzrosła więc aż o 29,5 proc. Grupa PKP CARGO poinformowała w swoim raporcie także o bardzo wysokich zyskach. I tak zysk operacyjny (EBIT) to 277,6 mln zł, co w porównaniu z rokiem 2017 oznacza wzrost o prawie 79 proc. (wtedy EBIT sięgnął 155 mln zł). Aż o 124 proc. wzrósł natomiast zysk netto liczony rok do roku: z 82 mln zł do prawie 184 mln zł. Nic więc dziwnego, że – jak mówi Czesław Warszewicz, prezes PKP CARGO SA – „klimat do wypłaty dywidendy jest dobry”. Zarząd zarekomendował przekazanie na dywidendę ok. 65 mln zł, co oznacza, że na jedną akcję będzie przypadać 1,5 zł. Wniosek do Walnego Zgromadzenia Akcjonariuszy również pozytywnie zaopiniowała Rada Nadzorcza. Ostatni raz PKP CARGO wypłacało dywidendę w 2015 r.

UZDRAWIANIE AWT

Na wyniki Grupy PKP CARGO wpływ miał odpis z tytułu trwałej utraty wartości aktywów Advanced World Transport, czeskiej spółki należącej do PKP CARGO, w wysokości 51,2 mln zł. Czesław Warszewicz podkreśla, że ta decyzja została podjęta po przeprowadzeniu testu na utratę wartości zgodnie z MSR 36. – W roku 2018 przeprowadziliśmy głęboki proces reorganizacji AWT, rozpoczynając od zmiany

całego zarządu poprzez optymalizację kosztową i uproszczenie struktury organizacyjnej oraz reorientację produktową, co pozwoli już od roku 2019 generować zyski na wszystkich poziomach – zapewnia prezes Warszewicz.

Sam zakup AWT wzbudza wiele wątpliwości. Prokuratura postawiła w tej sprawie zarzuty byłemu prezesowi Adamowi P. i członkom ówczesnego zarządu PKP CARGO SA, twierdząc, że polska spółka przeplaciła za AWT co najmniej 200 mln zł (transakcja przeprowadzona w dwóch etapach pochłonęła ponad 500 mln zł). Prokuratura podnosi, że w chwili podpisywania umowy (grudzień 2014 r.) było wiadomo, że dojdzie do upadłości spółki górniczej OKD, która była głównym klientem AWT. OKD rzeczywiście upadła, a to spowodowało znaczny spadek przewozów węgla i przychodów AWT.

Obecny zarząd PKP CARGO S.A. stara się uzdrowić AWT, gdyż od roku 2015, czyli od momentu zakupu czeskiego przewoźnika, do 2018 sumaryczna strata netto AWT wyniosła 125 mln zł. Przez cztery kolejne lata firma przynosiła straty, ale jest szansa na to, że rok 2019 będzie pierwszym z dodatnim wynikiem finansowym netto. – Znacznie zmieniając profil działalności spółki z przewoźnika bocznicowego w przewoźnika liniowego specjalizującego się w przewozach intermodalnych, zwiększymy jego potencjał przychodowy oraz zwiększymy zdolność podmiotu do generowania zysku w przyszłości – wyjaśnia Czesław Warszewicz.

ROSNĄ PRZEWOZY

Prezes Warszewicz zwraca uwagę, że wyniki finansowe Grupy to efekt przemyślanej i konsekwentnie realizowanej strategii, którą wdraża od momentu objęcia stanowiska w marcu 2018 r. Jego celem jest przede wszystkim zwiększenie wartości spółki dla akcjonariuszy poprzez zwiększanie przewozów, poprawa efektywności i konkurencyjności PKP CARGO. – Umocniliśmy się na pozycji lidera przewozów kolejowych w Polsce poprzez lepsze dopasowanie naszej oferty do wymogów rynku – mówi Czesław Warszewicz.

W tamtym roku pociągi Grupy PKP CARGO przewiozły 122 mln ton ładunków, z czego 111 mln ton przypada na kluczowy dla spółki rynek polski. Przewozy krajowe były o 3,5 mln ton wyższe niż w 2017 r. (+3,2 proc.). Wzrosła także – o 2,2 proc. – praca przewozowa: z 28,3 mld tkm w 2017 do 28,9 mld tkm w 2018 r. – Mimo ogromnej konkurencji zwiększyliśmy przewozy ładunków zarówno w ujęciu masy, jak i pracy przewozowej. Roczny wzrost masy o 3,2 proc., a pracy przewozowej o 2,2 proc. pokazuje, że poprawiliśmy efektywność przewozów – wyjaśnia prezes Warszewicz. To skutkuje również tym, że tempo wzrostu przychodów jest wyższe od dynamiki kosztów, co jest sytuacją pożądaną przez każde przedsiębiorstwo.

INTERMODALNA SPECJALIZACJA

Rok 2018 nie tylko był rekordowy pod względem przychodów i zysków PKP CARGO, lecz także miał ogromne znaczenie dla przyszłości Grupy. W przyjętej pod koniec ub.r. strategii za-



Fot. Piotr Gilarak

Czesław Warszewicz, prezes PKP CARGO SA

pisano m.in. rozwój przewozów intermodalnych. Ale Grupa PKP CARGO nie chce być jedynie przewoźnikiem towarów, lecz dąży do tego, by stać się partnerem logistycznym dla klientów, zapewniając im przewóz ładunków od „pierwszej do ostatniej mili”.

Ten segment już staje się powoli specjalizacją PKP CARGO. W 2018 r. cała Grupa przewiozła 9,2 mln ton ładunków intermodalnych i choć to jeszcze stosunkowo niewiele w całej strukturze przewozów, to udział intermodalu systematycznie rośnie. To dlatego, że w porównaniu z rokiem 2017 transporty kontenerowe wzrosły o ok. 15 proc., a wobec 2016 r. – już o 40 proc.

– Dwucyfrowy wzrost przewozów intermodalnych potwierdza słuszność naszej strategii, której jednym z filarów jest dalszy intensywny rozwój Grupy PKP CARGO jako wiodącego operatora logistycznego specjalizującego się w transportach intermodalnych – ocenia Czesław Warszewicz.

I precyzuje, że celem PKP CARGO jest zdobycie pozycji nr 1 na rynku przewozów intermodalnych na obszarze Trójmorza oraz na unijnym odcinku nowego jedwabnego szlaku. To niewrażliwe kierunki, gdyż Trójmorze leży na europejskim szlaku transportowym Północ–Południe zapewniającym przewóz ładunków z i do portów morskich.

Ten cel ma być osiągnięty do 2023 r. zarówno pod względem masy, jak i pracy przewozowej. Czesław Warszewicz podkreśla, że to możliwe do osiągnięcia, gdyż Grupa PKP CARGO jest już od kilku lat obecna w części państw Trójmorza, takich jak Czechy, Słowacja, Węgry i Austria. Pod koniec 2018 r. zakupiła też firmę Primol-Rail, która ma zezwolenie na przewozy w Słowenii, gdzie leży ważny port adriatycki Koper. Możliwe są dalsze akwizycje, które oprócz organicznego wzrostu przewozów będą narzędziem realizacji strategii i europejskiej ekspansji przewoźnika.



Norwe oblicze polskich dworców

Siatka linii kolejowych oplatająca nasz kraj łączy tysiące polskich miast i miasteczek. Niezależnie od skali miejscowości to właśnie wokół dworca powstaje węzeł komunikacyjny obsługujący mieszkańców. Tymczasem funkcja budynku, jakim jest dworzec kolejowy, rozrasta się i zmienia wraz z rozwojem urbanistycznym okolicy

Dawne dworce kolejowe i perony należą dziś do skarbów polskiej architektury. Projektując dworcową infrastrukturę, myśłano nie tylko o funkcjach transportowych, ważne było także to, by godnie reprezentować społeczność przed przejeżdżającymi tędy gośćmi. Reprezentacyjna funkcja sprawiła, że wśród polskich dworców znajdziemy dziś prawdziwe perełki architektoniczne. PKP SA dba o nasze dziedzictwo narodowe, a jednocześnie, idąc z duchem czasu, buduje nowoczesne dworce systemowe.

Modernizacja lub budowa dworca wraz z zagospodarowaniem terenu w koncepcji Innowacyjnego Dworca Systemowego wpisuje się w trendy projektowania obiektów z wykorzystaniem zasad zrównoważonego rozwoju,

minimalizowania kosztów eksploatacji i maksymalizacji efektywności wykorzystania obiektu. Zakłada wznoszenie bryły wg projektu powtarzalnego, typowego wzoru obiektu o zoptymalizowanej powierzchni w czterech wariantach rozmiaru. Od strony technologicznej duży nacisk zostaje położony na minimalizację kosztów eksploatacji: poprzez wykorzystanie odnawialnych źródeł energii (np. panele fotowoltaiczne), instalację pomp ciepła, oświetlenie LED czy systemów odzysku deszczówki do spłukiwania toalet. Planowaną innowacją jest integracja wszystkich instalacji w system inteligentnego zarządzania budynkiem w celu zwiększenia efektywności eksploatacyjnej dworca.

Najistotniejsza jest oczywiście dbałość o wysoką jakość przestrzeni obsługi

podróżnych – bezwzględnie spełniającą standardy międzynarodowe oraz wymogi TSI-PRM w zakresie dostosowania budynków dworcowych do potrzeb osób o ograniczonej możliwości poruszania się. To jednak nie wszystko: ma się tu znaleźć również miejsce dla atrakcyjnej przestrzeni publicznej i komercyjnej. Cała ta koncepcja funkcjonalna zostanie ubrana w estetyczną szatę wizualną: tak, by przywrócić dworcom należytą reprezentacyjność bramy do miasta oraz wizytówki Polskich Kolei Państwowych.

Już dzisiaj możemy oglądać dworce wybudowane w formacie IDS: w Nasielsku, Mławie, Ciechanowie i Strzelcach Krajeńskich Wschodnich. Niedługo dołączą do nich: Oświęcim, Nidzica i Pomiechówek. Pod koniec 2018 r.

PKP SA podpisały umowę na realizację kolejnych 20 tego typu projektów.

W przestrzeni publicznej i komercyjnej nowej koncepcji dworca znajduje się miejsce na rozwój usług bazujących na ekonomii współdzielenia. Wzorem Niemiec, Holandii czy Danii na polskich dworcach podróżni mają mieć dostęp do car-sharingu czy bike-sharingu. Wszystkie modernizowane obiekty dostosowywane są do potrzeb wszystkich grup pasażerów, w tym osób z niepełnosprawnością. Likwidowane są bariery architektoniczne, na wybranych dworcach pojawia się również szereg udogodnień:

- parkingi dla osób niepełnosprawnych,
- kasy o obniżonym okienku przystosowane do obsługi osób na wózkach inwalidzkich i osób niskiego wzrostu,
- zamontowane w kasach pętle indukcyjne wspomagające komunikację personelu kas z osobami słabosłyszącymi korzystającymi z aparatów słuchowych,
- dostosowane toalety do potrzeb osób poruszających się na wózkach inwalidzkich,
- przewijaki w toaletach dla osób podróżujących z małymi dziećmi,
- ścieżki dotykowe – elementy nawierzchni wspomagające osoby niewidome i słabowidzące w poruszaniu się po terenie dworców,
- mapy tyflograficzne (dotykowe) – przedstawiające plan dworca, z którym osoby niewidome mogą zapoznać się za pomocą dotyku,
- usługa tłumacza migowego on-line w punktach informacji (InfoDworce) dostępnych na dworcach należących do PKP SA.

Na stronie pkp.pl w zakładce Strefa Pasażera/Bez barier znajduje się wyszukiwarka dworców, w której znajdują się informacje na temat udogodnień dla osób o ograniczonej mobilności na terenie poszczególnych obiektów.

Grupa PKP prowadzi aktywne działania będące odpowiedzią na wyzwania strategii rządowej i trendy społeczne w zakresie elektromobilności. Udogodnienia przy wybranych dworcach kolejowych stacje ładowania. Korzysta zarówno z potencjału dworców kolejowych, jak i z posiadanych wewnątrz spółek zależnych kompetencji, co



Car-sharing

odpłatne, współdzielone użytkowanie pojazdów samochodowych, alternatywa dla posiadania samochodu i uzupełnienie komunikacji miejskiej.

Bike-sharing

system samoobsługowego korzystania z rowerów publicznych w miastach (wypożyczalnie rowerów). Zarówno transport kolejowy, jak i rowery uznawane są za przyjazne środowisku.

umożliwia kompleksową realizację projektu, od produkcji urządzeń, poprzez budowę przyłączy energetycznych, oznakowanie stanowisk postojowych, po montaż. W ten sposób Grupa PKP włącza się w udział w rządowym programie Czyste Powietrze – w zakresie zmniejszenia smogu w miastach i poprawy komfortu życia mieszkańców, wspiera popularyzowanie elektromobilności, a swoim klientom zapewnia dodatkowe usługi na terenie dworca.

Od jesieni zeszłego roku nowa usługa dostępna jest przy dworcach w Katowicach, Katowicach-Ligocie, Gliwicach i Częstochowie. Trwają przygotowania do uruchomienia kolejnych sześciu stacji: przy Warszawie Centralnej i Warszawie Wschodniej, Wrocławiu Głównym, Opolu Głównym i Trójmieście: Gdyni Główniej i Gdańsku-Wrzeszczu. Białe-zielone ładowarki z logo PKP wyposażone są w dwa gniazda półszybkiego ładowania, trójfazowe MODE3 type 2, każde o mocy 22 kW, co umożliwia jednoczesne ładowanie dwóch samochodów.

Usługa ładowania jest ogólnodostępna, nie wymaga rejestracji, posiadania specjalnej karty klienta czy instalowania aplikacji. Obecnie ładowanie jest bezpłatne, a po zakończeniu okresu promocyjnego opłata będzie pobierana przed ładowaniem za pomocą karty bankowej. Obsługa stacji ładowania jest prosta i intuicyjna. Stacje są wyposażone w wyraźny 7-calowy dotykowy wyświetlacz LCD, na którym prezentowane są komunikaty. Trzeba tylko pamiętać o odbiorze wydruku z kodem, który umożliwi zakończenie ładowania i bezpieczne wypięcie kabla z gniazda ładowarki – urządzenia zostały wyposażone w system zabezpieczeń, m.in. uniemożliwiający odłączenie kabla i przerwanie ładowania przez osobę postronną.

Grupa PKP stawia na innowacje i w listopadzie ubiegłego roku rozstrzygnęła konkurs na nowatorskie rozwiązania dla transportu kolejowego. Jednym z nagrodzonych rozwiązań była platforma AR-Bridge. To rozwiązanie autorstwa Space Digital Group. Platforma wykorzystuje najnowsze możliwości technologii rozszerzonej rzeczywistości oraz geolokalizację i zaawansowane algorytmy rozpoznawania obrazu i sztucznej inteligencji. Pozwala w łatwy sposób tworzyć kampanie informacyjne i reklamowe oraz kreować nowe doświadczenia klienta i jego zaangażowanie. Używa dedykowanych algorytmów do budowy profilu użytkownika w celu personalizacji komunikatu. Obecnie PKP SA analizują ewentualne możliwości wykorzystania platformy na dworcach kolejowych.

AR



Mistrzowskie dania

był 1999 r., halowe mistrzostwa świata w lekkoatletyce w Maebashi. Pojechałem tam z Włodkiem Szaranowiczem. Właściwie dzięki niemu polubiłem japońską kuchnię. Poznałem smak sushi i gyoza (pierzochy, które mogą być z bardzo różnym nadzieniem). Często potem do tych potraw wracałem, bo dużo sportowych imprez lekkoatletycznych odbywało się w tamtym czasie w Japonii.

Dziś sushi straciło posmak wyjątkowości. W ogóle wiele dań kojarzących się dawniej z podróżami, dziś jest dostępnych. Tylko czy naprawdę są takie jak w oryginalnych warunkach? Mam pewne wątpliwości.

Druga podróż, ważna dla mnie także kulinarnie, to był wyjazd do Sewilli na mistrzostwa świata w lekkoatletyce. Hiszpania zaoferowała mi owoce morza, tapas i kolacje o 1.00 w nocy. Z powodu panujących upałów wcześniej – poza wspomnianymi przekąskami – jeść się nie dało.

Trzecim kulinarnym kierunkiem stała się Bruksela. Jeździliśmy tam często na mityng lekkoatletyczny, jeden z czterech najlepszych w Europie. Cała brukselska starówka była wypełniona restauracjami specjalizującymi się w owocach morza. Rzeczywiście były wspaniałe. I tu również moim kulinarnym przewodnikiem był Włodek Szaranowicz.

Pamiętam też wyjazd do Paryża. W pobliżu dworca Gare du Nord (na który przyjeżdżała polska emigracja w XIX w.) w 2003 r. było już niebezpiecznie, ale też znajdowały się tam

bardzo dobre restauracje z mulami. Wielkie było moje zdumienie, kiedy do tych muli (zatopionych w sosie porowym, serwowanych z winem) – dla mnie potrawy wytwornej – podano frytki. Okazało się jednak, że znakomicie do całości pasowały.

Dzisiaj smakuje mi wiele rzeczy, byle nie w nadmiarze. Mam generalnie poczucie, że żyjemy w czasach nadmiaru. Także niepotrzebnych, ale krzykliwych informacji, które spowijają nas i wiążą emocje, nie pozwalając się skupić na rzeczach istotnych. Trzeba mieć ustaloną hierarchę wartości, by się w tym wszystkim nie pogubić.

To samo dotyczy smaków. Pierwszą rzeczą, na którą zwracam uwagę, jest to, by potrawa nie była nadmiernie obfita. Pełny talerz łączy się często z pośpiesznym jedzeniem. Warto zwolnić tempo. I kończyć, gdy jeszcze coś by się zjadło. Trzeba też dać sobie czas na jedzenie w dobrym towarzystwie.

Wielokrotnie podawałem przepis na wątróbki drobiowe (nauczyłem się tej potrawy w latach 90. ubiegłego wieku), aż moja córka, dziś już osoba dorosła, gdzieś w okolicach matury, wypomniała mi, że często o tych wątróbkach opowiadam, a mógłbym je wreszcie zrobić. Zrobiłem. Z kolei synowi, Szymonowi (to też już dorosły człowiek), często rozbijałem kotlety z piersi kurczaka (przypuszczam, że był to dla niego smak dzieciństwa), ale dziś znów opowiem o wątróbkach [uśmiech].

Notowała **Jolanta Gajda-Zadworna**

Pierwsze skojarzenie, gdy słyszę pytanie, co mi w życiu smakuje, jest oczywiście: dom.

Całe dzieciństwo, które upłynęło mi w PRL, i metaforycznie, i dosłownie, wiązało się z domowym smakiem. W 99 proc. jadano się wtedy w domu. I nabierało się ducha również w domu.

Wracając jednak do potraw – dla mnie jako dziecka szokiem były dania serwowane np. na koloniach czy wczasach. Powrót do domu był powrotem do smakowej normalności. Na powitanie czekały na mnie najczęściej rosół i udko z kurczaka. Dzisiaj to brzmi banalnie, bo to mięso jest teraz powszechnie dostępne, ale wtedy zdobyć kurczaka nie było łatwo. Takie udko – przyrządzone specjalnie przez babcię dla mnie, jako młodszego wnuka – miało więc poza smakiem swoją dodatkową wartość. W tamtej kuchni sprzed lat były też oczywiście pierogi i zupy. Najlepsze z możliwych. Tak to zapamiętałem.

21 lat temu pojechałem na zimowe igrzyska olimpijskie do Nagano. To był w ogóle mój pierwszy wyjazd na olimpiadę jako komentatora. W stołówce dla dziennikarzy dawano codziennie to samo: jajecznicę z proszku, spalony prawie na węgiel boczek i jakieś owsiane płatki. Po trzech dniach zrezygnowałem z takiego jedzenia, ale surowej ryby jeszcze wtedy nie spróbowałem.

Nie minęło kilka miesięcy, gdy ponownie znalazłem się w Japonii. To

Wątróbki drobiowe w sosie z białego wina



Wątróbki obrać z błon, namoczyć w mleku – minimum godzinę. Następnie obtoczyć w mące, wrzucić na rozgrzaną patelnię (na krótko, by pozamykały się pory), a potem dusić, aż będą miękkie, dolewając trochę białego wina dla aromatu. Cebuli nie używam, bo jej nie lubię, ale oczywiście dodaję jabłka.

Nie dla psa kietbasa

ANNA MONICKA

Kartka z kalendarza. Wielkanoc 2018. Tradycja jest taka, że rodzice przyjeżdżają z psem do nas, a potem razem jedziemy na śniadanie do rodziny. Tym razem jest inaczej. Owszem, przyjeżdżają, ale pies, którego zawsze zabierają z sobą, jakoś słabo się czuje, wymiotuje i ma biegunkę, więc tata zostaje z nim u nas.

My jedziemy dalej, ale co to za święta, skoro mama ciągle wisi na telefonie i dopytuje się o psa, a zaraz po żurku wychodzimy i gnamy do domu, a potem na złamanie karku na ostry dyżur weterynaryjny do Legionowa, bo odwodniona suczka ledwo dyszy. Pani doktor robi badania i zadaje tacie pytanie, które przyprawia go o rumieńce. – Czy w ostatnich dniach pościli tylko oni, czy pies też. I co pies dostał?

Tata niechętnie przyznaje, że złamał zakaz mamy i dał suczce cichcem wołowinki. Odrobinkę, bo pies miał takie smutne oczy. – Teraz ma jeszcze smutniejsze – syczy mama, a pani doktor pyta: – Co to była za wołowinka? No, rzucili w Wielki Piątek do dużego sklepu, nazwijmy go X, takie ładnie wyglądające i czerwoniutkie mięso na steki, to rodzice kupili. Sami nie zjedli, ale poczęstowali zwierzęta. Koty wołowinkę obwąchały i odmówiły uczty, ale pies się rzucił. Zjadł i za siebie, i za nie.

– Można się było tego spodziewać – skwitowała pani doktor. – To państwo nie wiedzą, że sklepy przed świętami czyszczą magazyny i lepiej unikać takich promocji? Pozbywają się wszystkiego, co zalega. Człowiek jakoś to z trudem strawi, podleje wódką, ale zwierzak może paść od tej chemii. Koty nie są takie łakome jak psy. A chemię wyczuwają na kilometr.

Wnioski. Do świąt jeszcze trochę czasu, warto poszukać porządnego mięsa u zaufanego rzeźnika. I uważać na promocje. I nie karmić ludzkim jedzeniem czworonożnych przyjaciół, bo może ich to zabić.

A gdy już kupią państwo dobre mięso, niech zrobią państwo sami wędlinę. Na przykład schab czy polędwiczki. Mój przepis, który dostałam od starego kucharza, nigdy nie zawodzi. Wybieram schab – nie za szeroki, nacieram go mieszanką ziół, czyli solą czosnkową z kminkiem i świeżo zmielonym pieprzem, bardzo szczelnie zawijam w folię aluminiową (błyszczącą stroną do dołu)

i piekę w nagrzanym do 180 stopni piekarniku – pilnuję, żeby trwało to ciut krócej, czyli na przykład kilogram nie godzinę, ale 45–50 minut – i pozwalam mięsu dojść w piekarniku. Polecam. ▀



Humulus lupulus

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Przez wiele wieków podstawowym dodatkiem do warzonego ze zbóż piwa była woskownica europejska, gatunek niewielkiego żywocidajnego krzewu rosnącego na podmokłych torfowiskach. Tak było zwłaszcza w północno-zachodniej Europie, gdzie woskownica zdominowała piwowarstwo brytyjskie, holenderskie czy skandynawskie (w Polsce woskownica, preferująca łagodniejszy klimat morski, jest rośliną rzadką i występuje jedynie wzdłuż wybrzeży Bałtyku).

Dopiero stosunkowo niedawno miejsce woskownicy zajęła inna roślina, osiągając taki sukces i popularność, że jej nazwa stała się niemal synonimem słowa „piwo”. To *Humulus lupulus*, czyli chmiel zwyczajny. Chociaż zarówno wzmianki o chmielu pojawiające się w dawnych dokumentach, jak również znaleziska archeologiczne wskazują, że chmiel w produkcji piwa zaczęto stosować we wczesnym średniowieczu, jednak długo musiał czekać na powszechne uznanie, a zależenie od regionu woskownica używana była jeszcze nawet w XIX w.

Obecnie chmiel na potrzeby browarnictwa uprawiany jest w wielu odmianach; rośnie na plantacjach, na których pnie się po charakterystycznych, wyjątkowo długich tyczkach. Co ciekawe, ta pożyteczna roślina występuje nie tylko na plantacjach, lecz także w stanie dzikim, w nadrzecznych lasach łęgowych i zaroślach – również w Polsce. Długie nawet na 10 m, wytwarzające masę liści, splecione pnącza chmielu dodają jeszcze tropikalnego niemal uroku tym różnorodnym gatunkowo siedliskom.

Należący do rodziny konopiowatych chmiel to roślina dwupienna – oznacza to, że wyróżniamy osobniki męskie i żeńskie chmielu. W produkcji piwa zastosowanie znajdują kwiatostany żeńskie, mające postać niedużych, zielonych szyszeczek. Kwiatostany żeńskie wyposażone są we włoski gruczołowe, które wydzielają lupulinę, będącą rodzajem gorzkiej w smaku żywicy. To właśnie chmielowi piwo zawdzięcza aromat, goryczkę, antyseptyczność i działanie uspokajające.

Pamiętając o ciekawostce botanicznej, jaką stanowi chmiel rosnący w stanie dzikim, należy zauważyć, że Polska zajmuje piąte miejsce na świecie jako producent tej rośliny, zaraz po USA, Niemczech, Chinach i Czechach. ▀

Hagada, czyli narracja

*Historyk w sposób absolutnie obiektywny,
uczciwy kwestionuje ewidentne kłamstwo
i manipulację i zostaje za to potępiony*

Inspiracją do radiowej rozmowy z dr. Piotrem Gontarczykiem (Program 3 PR „Trójka na poważnie”, 13 marca 2019 r.) był jego artykuł „Naukowa mistyfikacja” („Sieci”, nr 10, 11–17 marca 2019). Bardzo zachęcam do posłuchania audycji w internecie i lektury artykułu, gdyż wiele mówią na temat żydowskich badań historycznych o Holokauście. „Naukowa mistyfikacja”, jak ją dyplomatycznie nazywa pracownik IPN dr Gontarczyk, a która dla mnie jest ewidentnym kłamstwem i naukowym szalbierstwem, polega na tym, że winę za ujawnienie kilkudziesięciu bunkrów Żydów z Bochni ukrywających się przed Niemcami w 1943 r. autorzy książki „Dalej jest noc. Losy Żydów w wybranych powiatach okupowanej Polski”, historycy Jan Grabowski i Barbara Engelking, przypisali „policjantom polskim”, a nie – jak było naprawdę – żydowskiej policji i żydowskim konfidentom. Tę prawdę na podstawie ogólnodostępnych dokumentów ujawnił właśnie dr Gontarczyk.

W odpowiedzi Centrum Badań nad Zagładą Żydów, które (sic!) działa pod szyldem PAN, wystąpiło w obronie autorów książki, równocześnie uznało zarzuty za „niedopuszczalne generalizacje, manipulacje i pomówienia”. Więcej, stwierdzono, że „nazywanie ustaleń badawczych za mistyfikację, „kłamstwa na temat Polski i Polaków” to „brutalny medialny atak na autorów książki”. W wydanym oświadczeniu nie ma najmniejszego nawet śladu merytorycznego ustosunkowania się do zarzutów.

Jak to więc jest? Historyk w sposób absolutnie niepodważalny, obiektywny, uczciwy, kwestionuje ewidentne kłamstwo i manipulację innych historyków i zostaje za to potępiony. A sprawa jest niezwyklej wagi, gdyż we wspomnianej książce postawiono dwie bliźniacze tezy. Pierwsza, że „dwóch spośród każdych trzech Żydów poszukujących ratunku zginęło, najczęściej za sprawą swoich sąsiadów, chrześcijan”. Druga, że „większość próbujących się ratować Żydów zginęła z rąk polskich bądź też została zabita przy współudziale Polaków”. Czy uwiarygodnianiu tych tez służyć ma Centrum Badań nad Zagładą Żydów? Czy to ma być ta „nowa, polska szkoła badań Holokaustu”? Czy od teraz instytucja naukowa finansowana przez polskich podatników będzie zbierać kolejne „dowody” polskiego udziału w Holokauście? Po tym, co dziś prezentuje, można odnieść wrażenie, że stara się oswajać Polaków



WOJCIECH RESZCZYŃSKI

z funkcjonowaniem kłamstwa w tzw. badaniach naukowych na temat stosunków polsko-żydowskich. Prawda ma mieć tę samą wartość naukową co kłamstwo, gdyż tylko przy pełnej relatywizacji badań naukowych uzyskuje się największą skuteczność w dowodzeniu wszelakich, nawet absurdalnych tez. Dodajmy, że etyka i moralność nie mają z tym nic wspólnego.

Prof. Jan Żaryn nie pozostawia wątpliwości, mówiąc: „Bez wątpienia pojawiają się kolejne tego typu publikacje. Jest to bowiem element hybrydowej, wielopłaszczyznowej wojny”. A problem jest szerszy, zresztą zasygnalizowany tu wcześniej, że to chrześcijanie mordowali Żydów. Zanika w opisie wylapywania Żydów z Bochni niemieckie sprawstwo, co dowodzi, że chodzi tu wyłącznie o naganną postawę polskich chrześcijan.

Przypominają mi się refleksje ks. prof. Waldemara Chrostowskiego z wizyty w Spertus College of Judaica w Chicago. W części muzealnej przedstawiono rolę Holokaustu w świadomości Żydów. Z zaskoczeniem zauważył, że żydowskie pisma religijne zestawiono z przepisami ustaw norymberskich, ale nie jako bezpośrednią przyczynę niemieckiego ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej, tylko jako „konsekwencję długiego pasma prześladowań Żydów, których sprawcą w dużej mierze miały być Kościoły”. Ksiądz profesor zwrócił uwagę przewodnikowi, że taka prezentacja jest nieuprawniona, na to usłyszał, że „to jest muzeum żydowskie, a my możemy widzieć i ujmować te sprawy inaczej”.

Dlatego my musimy także ujmować „te sprawy” inaczej, zgodnie z naszą cywilizacją chrześcijańską, w której historizm jest jedną z charakterystycznych cech.

„Historyzm – jak pisał prof. Feliks Koneczny – stanowi najwyższy szczebel opanowania czasu”. Wspomina z własnego doświadczenia profesora i wykładowcy, „jak studentowi żydowskiemu trudno nabyć tego zmysłu [historyzmu – przyp. W.R.], jak trudno zrozumieć historyczność osób i rzeczy, gdyż nie bardzo rozumie, po co się historię uprawia i wystarczy mu tylko kronikarstwo”.

Nie musiałbym przywoływać tego opisu, ale od opublikowania tekstu dr. Gontarczyka upłynęło już dużo czasu, aby historycy z Centrum przeprosili za swój – nazwijmy to – „błąd”. Kiedy to nie nastąpi, mamy prawo zakładać, że dla niektórych polskich historyków żydowskiego pochodzenia ważniejsze od historyzmu, czyli od poznawania prawdy, jest kronikarstwo, dowolne opowiadanie projektujące i kształtujące rzeczywistość. A to już tradycja żydowskiej hagady, czyli dowolna opowieść pozbawiona faktów, którą można też nazwać bardzo dziś popularnym słowem – „narracja”.

Oszczędzaj na bezpieczną przyszłość ze swoim Pracodawcą i Państwem



Pracownik

Ty **2%** + dobrowolna
składka do **2%**



Pracodawca

Składka **1,5%** + dobrowolnie
dodatkowo do **2,5%**



Państwo

250 zł na dobry początek
+ **240 zł** rocznie



Pracownicze Plany Kapitałowe



W sumie się optaca

www.mojePPK.pl

- Proste i wygodne oszczędzanie na przyszłość
- Środki w pełni prywatne i dziedziczone
- Do każdej wpłaconej złotówki dokładają się Pracodawca i Państwo

LOKAL DLA AWANTURNYCH

System

Spazmatyczna obrona kasty sędziowskiej jest w istocie optymistycznym zdarzeniem, pokazuje bowiem, gdzie tkwi istota ancien régime. To najpoważniejsza releta postkomunizmu. Neomarksieści z Europy dowodnie wskazali najbardziej czuły punkt mechanizmu kontrolowania zdarzeń w Polsce. Możemy reformować gospodarkę, nie możemy ruszać mediów. Możemy unowocześniać państwo, ale waram od systemu sądownictwa!

Wniosek: bez złamania oporu tych dwóch sfer cała reforma jest walką z wiatrakami. System odrodzi się, wywodząc kontratak z tych dwóch dziedzin naszego życia. Postkomuniści nie sprawdzili się w biznesie mimo prawie 30-letniego finansowego monopolu, nie zdziałali wiele. Teraz powoli tracą finansowy monopol, trzymając jednak dwie poważne dziedziny. Okrągły stół był oparty na czterech filarach: służby, finanse, media i sądownictwo. Czteroletnia kadencja PiS znacznie skruszyła filar finansowy, służby znalazły się na etapie rozbijania monopolu, ale media i sądy... o, tego to oni nam nie popuszczą.

Jak to działa? O proszę, pierwszy z brzegu – wybaczenie, że własny przykład. Po zaocznym skazaniu mnie (z udziałem Ćwiąkalskiego) w procesie o rzekome dobre osobiste Kulczyków teraz przylapali mnie na sytuacji sprzed 12 lat. W 2007 r. byłem dyrektorem krakowskiego ośrodka TVP. Pani, która



**Witold
Gadowski**

obficie procesuje się w Krakowie ze wszystkim, co się rusza, zaskarżyła krakowską TVP o materiał z serwisu informacyjnego „Kronika” właśnie z 2007 r. Jako pozwanych podała autorkę, TVP i mnie, ówczesnego dyrektora. Krakowski sąd okręgowy doprowadził do skazania wszystkich, z tym że TVP i autorce przysługuje jeszcze droga odwoławcza, ja otrzymałem wyrok (zaoczny) z rygorem natychmiastowej wykonalności i pewnie będę musiał zapłacić całą – zasądzoną TVP, autorce i mnie – grzywnę kilkunastu tysięcy złotych. Sądu oczywiście nie interesowało, że gdybym przeglądał każdy z setek materiałów „Kroniki”, to odszedłbym od zmysłów. Nie interesowało także to, że za materiały „Kroniki” odpowiadają: autor, wydawca serwisu i szef „Kroniki”, a dyrektor jest dalej w tej hierarchii odpowiedzialności i w istocie

jest pracownikiem TVP. Cel był jeden: dopaść Gadowskiego. I to zadanie sędziego Kamila Grzesika wykonał perfekcyjnie. A że to nielogiczne, niesprawiedliwe i pozostające w sprzeczności z panującą w TVP hierarchią? Sędziemu to nie przeszkadzało. Wyrok zapadł, komornik może przystąpić do działania.

Tak to działa, takiego właśnie systemu broni Trybunał Sprawiedliwości UE, powoływany przez urzędników, który – jak się okazuje – posiada większe kompetencje niż wybierany przez wszystkich Polaków parlament.

Antysemityzm, antygenderyzm

Przed wojną w moim rodzinnym Rypinie co trzeci napotykanym na ulicy mieszkaniec był Żydem. Takim typowym – wyjętym wręcz ze „Skrzypka na dachu”. Żydowski kupiec Rosenbaum regularnie zamawiał cielaki u mego dziadka, rolnika hodowcy. Mimo dzielących ich różnic bez problemów dogadywali się co do ceny. I każdy z nich uważał, że robi doskonały interes. Mój ojciec nie zapamiętał z tamtych lat żadnych antysemitkich ekscesów. Ot, czasem ktoś tam pomstował na lichwę, czasami dzieciaki przekomarzały się z „Ickami” w szkole. W sumie nie działało się nic niepokojącego. Nuda.

W moich wspomnieniach z dzieciństwa nie było już zupełnie tamtych Żydów. Po wojnie zniknęli z miejskiego pejzażu. Nazwiska paru sąsiadów brzmiały trochę obco, ale nie miało to dla mnie żadnego znaczenia. Z mlekiem matki wyssałem tylko to, co powinienem: szacunek do drugiego człowieka za to, kim jest, a nie skąd pochodzi.

Homoseksualiści również nigdy mi nie wadzili. W młodości byłem ponoć przystojnym facetem, więc nauczyłem

się rozpoznawać ich po tym jednym powłóczyście, „maślanym” spojrzeniu. Dopóki nie chwytały mnie za kolano, było mi to zupełnie ganz egal. W tzw. show-biznesie zawsze istniała nadreprezentacja gejów; nieraz współpracowaliśmy. Wiele z nich ceniłem za talent, wrażliwość i artystyczny profesjonalizm. I tam, gdzie mogłem, broniłem „odmieńców” przed ostracyzmem środowiska czy peerelowskimi szykanami. Kiedy przypadkiem spotykamy się po latach, widzę, że mimo „zmiany klimatu” nie epatują swym homoseksualizmem. Nie widzę ich na paradach równości, nie rwą się do adopcji dzieci ani „tęczowej edukacji”.

Do niedawna większość Polaków zupełnie nie dostrzegała tych nienachalnych dewiacji, nie istniał też problem antysemityzmu. To komuniści mają na swym sumieniu prześladowania pederastów i czystkę 1968 r. Dziś lewactwo na siłę forsuje pedofilię w szkołach i zarzuca Polakom rasizm. Ktoś mocno pracuje nad tym, abyśmy się zradikalizowali...



**Lech
Makowiecki**



Cyfrowa gra o tron

Upowszechnienie sieci 5G może zmienić światowy układ sił w branży technologii mobilnych. Trudno się dziwić, że w rywalizacji o tytuł lidera cyfrowej rewolucji pojawia się niezbyt czysta konkurencja

W lutym tego roku Barcelona stała się światową stolicą mobilnych technologii. Mobile World Forum jak co roku przyciągnęło największych graczy z całego świata, wraz z gigantami z USA i Chin. Podczas kongresu poruszenie wywołało wystąpienie Guo Pinga, członka zarządu koncernu Huawei Technologies Co. Chiński menedżer zatytułował swoje wystąpienie cytatem nawiązującym do bajki o Królownie Śnieżce, w której zła macocha pytała lusterka, kto jest najpiękniejszy w świecie. „PRISM, powiedz przecie, kto jest najbardziej wiarygodny na świecie?” – pytał przewrotnie Guo Ping. Była to czytelna aluzja do oskarżeń wobec chińskiego koncernu o szpiegostwo za pomocą produkowanych przezeń urządzeń. O ile jednak nigdy nie dostarczono dowodów na nieetyczne chińskie praktyki, o tyle istnienie światowego amerykańskiego systemu do inwigilacji PRISM zostało ujawnione przez Edwarda Snowdena i skomentowane przez CIA w sposób, który potwierdzał jego istnienie.

Państwo Środka argumentuje, że oskarżenia wobec firmy Huawei są bezpodstawne. Osoba numer 2 w chińskim państwie, premier Li Keqiang, podczas konferencji prasowej 15 marca 2019 r. stanowczo odrzucił oskarżenia o szpiegostwo informatyczne: „Powieś to wyraźnie: takie postępowanie jest niezgodne z chińskim prawem. Chiny tak nie postępują. Nie robiliśmy tego i nie będziemy tego robić w przyszłości”.

Dementi premiera w tym przypadku idzie za czynami; Chińczycy wręcz zachęcają adversarzy, by powiedzieli „sprawdzam”. W Niemczech, Wielkiej Brytanii oraz w Belgii działają centra cyberbezpieczeństwa Huawei, gdzie można urządzenia chińskiego producenta rozbierać na czynniki pierwsze i testować oprogramowanie pod kątem ewentualnych zagrożeń. Wśród klientów tych ośrodków znajdują się zarówno operatorzy telekomunikacyjni, jak i służby wywiadowcze.

Mimo to konkurowanie – głównie ze spółkami amerykańskimi – się ostrza i towarzyszy mu medialna oraz polityczna wrzawa. W Europie sensacyjna retoryka rezonuje jednak słabiej: – Wykluczenie Huawei z uczestnictwa w budowaniu w Niemczech sieci komórkowej następnej generacji 5G może przynieść szkody największej europejskiej gospodarce – uważa minister spraw wewnętrznych RFN Horst Seehofer. Jest to odpowiedź na ostrzeżenie służb wywiadowczych USA, że ograniczą one wymianę informacji z niemieckimi kolegami, jeżeli Berlin skorzysta z pomocy chińskiej firmy przy moder-

nizacji krajowej sieci bezprzewodowej do standardu 5G. Zapytana o to ostrzeżenie kanclerz Angela Merkel odpowiedziała asertywnie, że Niemcy określą własne standardy bezpieczeństwa dla nowej sieci komórkowej 5G.

Żaden z krajów Unii Europejskiej nie wykluczył Huawei z budowy infrastruktury 5G. Chińczycy mają na koncie w sumie 18 kontraktów na wdrożenie 5G na Starym Kontynencie. Prace nad modernizacją sieci do nowego standardu trwają w Wielkiej Brytanii, Niemczech, we Francji, Włoszech i w Czechach. Także wyjątkowo zamożny norweski operator państwowy Telenor testował sieć 5G w Oslo w partnerstwie z chińskim producentem. Polska czeka na swoją kolej za sprawą wyjątkowo ostrych krajowych wymagań środowiskowych, które muszą być dostosowane do standardów Unii Europejskiej.

Przez ostatnie lata Huawei wyrósł na największego globalnego producenta sprzętu sieciowego dla spółek telefonicznych i internetowych. To trofeum nie jest jednoznaczne z byciem Wielkim Bratem. Ten tytuł, wydaje się, przypadł już komuś innemu.

5G – PIĄTA FALA MOBILNEJ REWOLUCJI

Sieć 5G będzie oparta na nowych długościach fal i innowacyjnych technologiach przesyłowych, co pozwoli na ultraszybkie połączenie z internetem (10 Gbps), masowe połączenie urządzeń/sensorów (rząd 1 mln urządzeń na km kwadratowy) oraz bardzo niskie opóźnienia (1 ms). Innymi słowy: znajdujemy się na superszybkiej bezprzewodowej infostradzie. Połączy ona nie tylko ludzi, lecz także maszyny, roboty, pojazdy, różne sensory i zarządzające nimi systemy sztucznej inteligencji i będzie katalizatorem głębokich zmian społecznych i gospodarczych.

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Chcesz więcej, daj więcej

Druga „piątka” podarowana Polakom, nazwana tym razem „piątką Kaczyńskiego”, jest nie tylko ogromnym prezentem socjalnym dla obywateli, lecz również nieuchronnym bodźcem do eskalowania żądań finansowych innych grup społecznych. Coraz wyraźniej dochodzi do głosu opcja „skoro mają, niech dają”. Narracja, „piniendzy ni ma i ni bendzie” została skutecznie zneutralizowana decyzjami zwiększającymi udział Polaków w podziale wpływów do kasy państwa. Trudno to uznać za niesłuszne. Udział ten nie tylko działa kojąco na portfele rodzin, (w mniejszym stopniu) na kieszenie emerytów czy młodych obywateli wchodzących w życie zawodowe, lecz także przyczynia się do rozbudowania apetytów na współdecydowanie, komu i ile należy podwyższyć płacę. Jednym z przykładów na opisaną powyżej „reakcję podwyżkową” jest przedłużający się stan napięcia w oświacie. Oczekiwanie wysokiej podwyżki płac dla nauczycieli jest zapewne uzasadnione i słuszne, należy je jednak widzieć na nieco szerszym tle. I tu pozwolę sobie na przedstawienie kilku punktów takiej analizy.

Punkt pierwszy. Postulat finansowy został nagłośniony i przejęty przez ZNP. Jego polityczny charakter, czyli groźba odpalenia dotkliwego strajku w przededniu wyborów do PE, nie może budzić wątpliwości. To czysty szantaż polityczny.

Punkt drugi. Żądanie 1 tys. zł dla wszystkich nauczycieli jest postulatem zaporowym i przy wzięciu pod uwagę 700-tysięcznej cizby pedagogów – niemożliwym do zrealizowania. A to tylko podkreśla polityczny charakter sporu. Jakkolwiek obie strony (MEN i ZNP) udają, że tak nie jest.

Punkt trzeci. Ewentualny strajk nauczycieli zauroczonych Broniarzem miałby charakter absolutnie perfidny. W imię dokopania rządowi (a przy okazji urwania czegoś dla siebie) nauczyciele odmówiliby nie tylko spełnienia obowiązku nauczania, lecz również wpisanej w zawód funkcji wychowawczo-opiekuńczej. Ta ostatnia stałaby się problemem rodziców uczniów. To ich oprócz dzieci dotyczyłoby harcowanie ZNP. Musieliby oni zająć się dziećmi w czasie, gdy normalnie wykonują obowiązki zawodowe. To już nie tylko dokopywanie rządowi (a ściślej „Kaczorowi”), lecz całkiem pokażnej rzeszy Bogu ducha winnych współobywateli. Tych małych i tych dorosłych.

Punkt czwarty. Pensum pracy nauczyciela wynosi 72 godziny dydaktyczne miesięcznie. To znaczy 54 godziny zegarowe. Ośmiogodzinny dzień pracy każdego innego zatrudnionego daje 160 godzin miesięcznie. Uznajmy, że nauczyciele poza lekcjami



**Aleksander
Nalaskowski**

*Strajk nauczycieli
zauroczonych Broniarzem
miałby charakter perfidny*

pracują jeszcze 25 godzin zegarowych miesięcznie. Chociaż to zwykła bujda na resorach. Nawet jeśli istnieją te dodatkowe godziny, to nie są harówką w klasie. Ale niech tam. To daje w sumie 80 godzin pracy zawodowej w miesiącu. Ale to nie wszystko. Nauczyciel pracuje 10 miesięcy w roku. A tak naprawdę, po dodaniu ferii, długich weekendów, świąt etc., praca zawodowa w tym fachu to dziewięć miesięcy w roku. ZNP żąda podwyżki 1 tys. zł miesięcznie za 700 godzin pracy rocznie. Podczas gdy w pozostałych zawodach wymiar czasu pracy wynosi 1,7 tys. godzin rocznie! Prosto licząc – w grupach zawodowych nienauczyielskich podwyżka musiałaby wynosić ok. 2,5 tys. zł. Damy tyle urzędnikom, sprzedawcom, listonoszom, aktorom w prowincjonalnych teatrach, pielęgniarcom?

Punkt piąty. Postulat podwyżki płac nauczycieli nie jest w żaden sposób skorelowany z jakością świadczonych pracy. Powiedzenie „za dobrą pracę dobrą płacą” zostaje zamienione na „dobra płaca za każdą pracę”. O ile ZNP potrafi swobodnie żądać podwyżek, o tyle nie jest w sta-

nie bronić interesu tych najlepszych pedagogów i odmawiać pomocy osobom zupełnie do zawodu się nienadającym. Wystarczy spojrzeć na poziom egzaminów zewnętrznych, na kulturowe kompetencje uczniów, na język młodzieży, obyczaje czy czytelnictwo, na kandydatów na studia, aby dostrzec, że ogromna część nakładów na oświatę po prostu nigdy się nie zwraca. Czy ktoś daje podwyżkę ogrodnikowi, który zapuścił grządkę? Dlaczego zatem podwyższać pobory wszystkim nauczycielom? Czy wszyscy są geniuszami zawodu, tytanami pracy, charyzmatycznymi wychowawcami?

Punkt szósty. Dotąd nigdy ze środowiska związków zawodowych nie wypłynęła jakakolwiek koncepcja reformowania polskiej szkoły. ZNP bryluje w nedorzecznym żądaniach, jednocześnie nie próbując, w imię dobra dziecka (tego samego, którego w imię tego samego dobra nie chce egzaminować ani nawet promować), poprawić jakości szkoły, opracować dobrej koncepcji jej reformowania. To de facto lewicowa partia polityczna.

Punkt siódmy. Szantaże strajkowe, pogroźki ostatecznie uzmysławiają, że trzeba przestać truć o misji pedagogicznej, a zacząć mówić po prostu o profesji. Tym samym oceniać jakość wykonywanej pracy i jej skuteczność. Nagradzać dobrych i wyrzucać nieudaczników. A poza tym nie ma obowiązku bycia nauczycielem. Jeśli jest tak źle, to co was trzyma w szkole?

Muzeum w Auschwitzu zaapelowało do zwiedzających, by nie robili sobie tam wesołych fotek. Jak się okazuje, jakaś część turystów, przyzwyczajona do tego, że każda wycieczka musi się skończyć zabawną autofotografią, nie odpuściła nawet obozu zagłady, a w szczególności torów prowadzących do obozu. W sumie może nawet nie mieli złej woli. Po prostu tacy są. Pozwiedzali, a potem fotka. Selfie stick, głupia minka, fajny geścik i zabawne zdjęcie gotowe. Potem tylko to zdjęcie na Instagram albo Fejsa trzeba wrzucić. To się znajomi ubawia.

Przykład niestety idzie z góry, bo podobnie jest z niektórymi politykami, może chyba już nawet sporą częścią. Najbardziej chyba ekscentryczna posłanka lewicy, Joanna Scheuring-Wielgus, wsiadła z niejakim redaktorem Jarkiem do samochodu Onetu i opowiadała mu o swoim planie na przerabianie kościołów na knajpy, by było nowocześnie.

Zastanawiam się, co jest motywacją do takiego działania. Czy katolicy wybili jej rodzinę? Ktoś ją prześladował? Czy wszystkie religie potraktowałyby z podobną surowością i np. urządziłyby puby lub kluby nocne w synagogach, czy tylko dla jednego wyznania robi taki wyjątek?

PRZEZ ŚWIETLIK

Władcy much



**Wiktor
Świetlik**

Czy też może Wielgus szczególnie chce napluć na polską historię, na miejsca, gdzie chronili się choćby Żydzi i rozmaici, tak, tak, uchodźcy swoich czasów, a przecież pani poseł problem uchodźców jest taki bliski? Nic z tego. Jestem przekonany, że pani Joanna nie chciała źle. Po prostu nic z tego do niej nie dotarło i nie dociera. Stara się być modna, więc chciała błysnąć przed redaktorem Jarkiem, a oni oboje błysnęli nowoczesnością przed swoimi widzami.

W sumie możemy być wdzięczni, że ktoś wreszcie otwartym tekstem powiedział, o co chodzi tym wszystkim stroskanym reformatorem Kościoła. By ludzi wygnąć z kościołów, także tych samotnych, starszych, tragicznie doświadczonych – takich, dla których religia to jedyna opoka – i zagnać do knajpy. Byleby znenawidzonego 500+ tam nie przepijali.

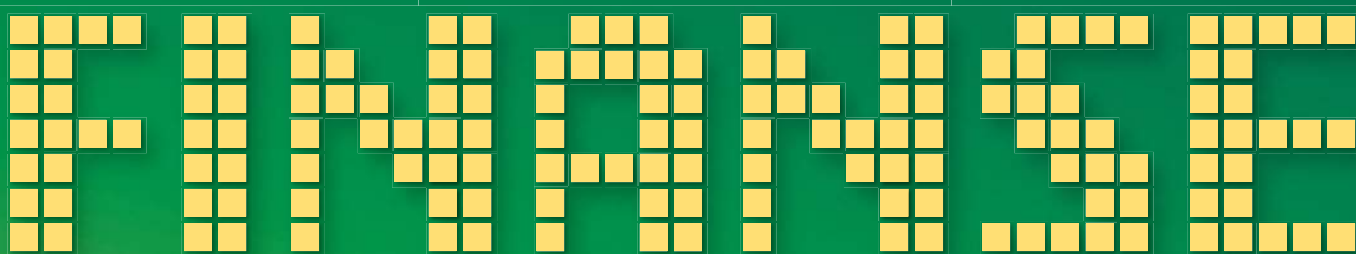
A wracając do kłopotów z empatią. Politycy – niestety prawicy – pojechali niedawno na Ukrainę, w miejsca, gdzie giną ludzie, i porobili sobie także męskie fotki w kamizelkach kuloodpornych i hełmach. Może to jeszcze nie poziom Wielgus, ale nie warto nurkować w jej kierunku.

Autor jest dyrektorem Programu 3 Polskiego Radia

REKLAMA

Dobrze poukładane

STEFczyk FINANSE



Sprawdź, ile możliwości czeka na Ciebie w placówce

✓ rachunki płatnicze
✓ doładowania energetyczne

✓ lokaty
✓ leasing
✓ pożyczki

✓ opłaty domowe
✓ ubezpieczenia

✓ fundusze inwestycyjne
✓ przelewy zagraniczne

Usługi dostępne w STEFCZYK FINANSE dzięki współpracy z:



WesternUnion WU



moje rachunki





JAN POSPIESZAŃSKI

Co mają wspólnego: ustawa o zamówieniach publicznych, podpisanie przez Polskę konwencji Rady Europy o przeciwdziałaniu przemocy wobec kobiet (tzw. stambulskiej) i gospodarka odpadami komunalnymi? Nic! Te sprawy nie mają z sobą nic wspólnego. A powinny. Dlaczego? Otóż w pozornie odległych obszarach rozgrywają się kwestie dotyczące bezpieczeństwa i przyszłości Polski. Zaczniemy od początku.

Nagłówki gazet informują, że na kilku odcinkach budowy autostrad wykonawcy zeszli z placu budowy. Problemem są rosnące koszty pracy i materiałów – brak możliwości realizacji inwestycji na przyjętych warunkach. Okazało się, że kontrakt (wygrany w przetargu według kryterium najniższej ceny) jest już nieopłacalny. Innym absurdem są regulacje, które prowadzą do uprzywilejowania wielkich zagranicznych podmiotów. Te zaś i tak wysługują się zwykle polskimi wykonawcami.

Dlaczego więc wielki strumień pieniędzy (polskich i unijnych) nie przyczynia się do rozwoju rodzimej branży budowlanej i tak jak za poprzednich rządów trafia do kieszeni zagranicznych przedsiębiorców? Czy nasze firmy, przy wsparciu polskiego banku, nie mogą stworzyć holdingu i konkurować jak równy z równymi? Chcę wierzyć, że winne jest tylko unijne prawo i złe na-

Mądry Polak po szkodzie

W pozornie odległych obszarach rozgrywają się kwestie dotyczące bezpieczeństwa i przyszłości Polski

pisana ustawa. To, że GDDKiA w czasach rządów Zjednoczonej Prawicy w sposób nieuzasadniony preferuje wielkie podmioty spoza Polski, z trudem mieści się w głowie. Pozostaje pytanie – skąd się bierze bezradność resortu infrastruktury?

Drugą kwestię – konwencji Rady Europy – opisałem w ubiegłym tygodniu. Wstrząs, jaki wywołało przebicie się do opinii publicznej treści zawartych w podpisanej przez władze stolicy Kartie LGBT+, przychodzi nieco za późno. Dokument ten w swej istocie nie różni się od przyjętej przez Polskę i obowiązującej w całym kraju (nie tylko w Warszawie czy Gdańsku) konwencji Rady Europy. Kraje sygnatariusze zobowiązały się do wprowadzenia zasad ideologii gender do programów edukacji na wszystkich stopniach kształcenia (również do przedszkoli). Gdy prezydent Komorowski podpisywał konwencję, posłowie, przedstawiciele obecnej władzy, protestowali, rozpoznając ją jako skrajnie ideologiczne narzędzie deprawacji dzieci i społecznego demontażu. Dziś nie zrobili nic (choć są takie prawne możliwości), aby ten dokument wypowiedzieć.

Trzecia kwestia – gospodarka odpadami. Przyjęta w 2013 r. ustawa doprowadziła do zmonopolizowania ogromnej wartości rynku przez zagraniczne firmy. Nie ma chyba pozycji w budżetach domowych Polaków, która by w ostatnich latach podrożała aż tak drastycznie. Ale podobno to nie koniec podwyżek. W tym roku należy się spodziewać kolejnych.

W kilku nielicznych miastach, m.in. w Ostrołęce, samorządowcom udało się stworzyć własne przedsiębiorstwa komunalne świadczące usługi czterokrotnie taniej, ale właśnie dowiadujemy się, że dziwnym zbiegiem okoliczności ich los jest zagrożony.

Pora na rozwiązanie zagadki. Wiele, wiele lat temu autor słynnego powiedzenia o państwie teoretycznym, które jest „kamieni kupą” jako młody, ambitny adept służb sformułował potrzebę stworzenia, na wzór poważnych krajów Zachodu, Strategicznego Centrum Państwa. Centrum, gdzie pracowałyby najteższe umysły służb i eksperci rozpoznający zagrożenia, analizujący sytuację, przewidujący niebezpieczeństwa – społeczne i gospodarcze konsekwencje przyjmowanych regulacji i ich wpływ na polską rację stanu. W latach 90. na bazie postkomunistycznej agentury wykluło się wprawdzie coś na kształt takiego centrum, ale z interesem publicznym nie ma nic wspólnego. Dla polskiej racji, jak się mogliśmy przekonać, jest raczej śmiertelnym zagrożeniem.

Dziś mafijne „deep state” nadal paraliżuje rozwój Polski. Pozwalamy kolonizować kraj agresywnym zewnętrznym podmiotom, zarówno w gospodarce, kwestiach nauki, jak i w świecie idei. Nasze służby wprawdzie zamykają złodziei, ale jest to działanie zawsze reaktywne, gdy szkoda już się dokonała. Natomiast rozpoznanie zagrożenia, tym bardziej w kwestiach światopoglądowych, niosących przecież konsekwencje społeczne, jest poza zasięgiem ich kompetencji.

Przekręt Broniarza

Jesteście politykami, nie aktorami – krzyczeli rozgoryczeni rodzice do pary aktorów opuszczających aulę liceum im. Lecha Wałęsy w Warszawie. Również w drodze do furtki skuloną dwójkę aktorów szkoły żegnały gwizdy. Z okna gabinetu dyrektora, znajdującego się na drugim piętrze, spoza odchylonych dyskretnie firanek scenę tę obserwowały jakieś dwie postaci.

Wszystko zaczęło się dwa tygodnie temu, kiedy po kilkudniowych negocjacjach ZNP pod kierownictwem jego szefa Sławomira Broniarza z przedstawicielami Ministerstwa Edukacji strajkujący zgodzili się na pewne ustępstwo. Podpisano umowę, wedle której brak do połowy marca decyzji rządu o podwyżce pensji dla nauczycieli spowoduje, że wprowadzić nie wszyscy, jak zamierzano pierwotnie, ale jednak część uczniów, a ściślej połowa, nie otrzyma promocji do następnej klasy. W przypadku ostatnich klas licealnych również tylko połowa nie zostanie dopuszczona do matury. Podczas negocjacji uzgodniono też, że uczniowie pozbawieni promocji wyłanianiani będą drogą losowania przeprowadzanego publicznie. W obecności



**Jerzy
Jachowicz**

zainteresowanych uczniów i ich opiekunów. Miało to zapobiec wzbudzaniu niezdrowych nastrojów, emocji, dyskusji lub nawet podejrzeń.

Ponieważ rząd nie spełnił żądań strajkujących, w zeszły piątek w renomowanym liceum warszawskim doszło do premiery realizacji podpisanego uzgodnienia. W dużej auli wypełnionej do ostatniego miejsca, przy dużej szklanej kuli ustawionej na scenie stała dwójka aktorów – Grażyna Wolszczak i Daniel Olbrychski, pełniąc funkcję mistrzów ceremonii losowania. „Kmicic” kręcił kulą, a delikatna dłoń aktorki wyciągała kolejne kartki z nazwiskami pechowych uczniów. Podawała je swym pięknym, altowym głosem, a po chwili ukazywały się one na telebimie. Nikt nie rozumiał, jak los mógł się okazać aż tak złośliwy. Na liście znaleźli się wyłącznie ci uczniowie, których rodzice byli zdecydowanymi sympatykami obecnej władzy.

Tymczasem spoglądający zza firanek Lech Wałęsa i Sławomir Broniarz, uśmiechając się z zadowoleniem, gratulowali sobie wzajemnie.

CO MNIE CIESZY

Kurier

Kurier z Warszawy” był pierwszą książką pochodzącą z tzw. drugiego obiegu wydawnictw podziemnych, którą przeczytałam. Miała dziwny format prostokąta, bardziej przypominała mały album. Okładka była niebieska, pod nią gruby, toporny papier. Była też podniszczona, co oznaczało, że wiele osób ją czytało. Pracowałam wtedy w Teatrze Ateneum i pamiętam, że któryś z aktorów przedwojennych ją u mnie zobaczył i chciał pożyczyć. Przewinęła się ona potem przez wiele rąk moich kolegów z teatru.

Musieliśmy czekać wiele lat, aby chociaż jeden z fragmentów bogatego życiorysu Jana Nowaka-Jeziorańskiego został pokazany w filmie. To dobrze, że powstał „Kurier”. Może zechcą go obejrzeć nie tylko Polacy, lecz również ludzie z USA, Europy.

Z Janem Nowakiem-Jeziorańskim los zetknął mnie, kiedy pozwolono mi po raz pierwszy przyjechać do Polski i miał na uniwersytecie spotkanie z młodzieżą. Dostałam się tam. Na stojąco, wciśnięta w kąt, słuchałam jego wykładu. Było to już po stanie wojennym. Wydawnictwo, w którym pracowałam, wydało jego książkę i z nią ustawiłam się w długiej kolejce po autograf.



**Katarzyna
Łaniewska**

Z wykładu zapamiętałam coś, co mi się sprawdziło w dalszym życiu. Cieszyliśmy się wtedy festiwałem „Solidarność”. Nowak-Jeziorański mówił nam, że wolna Polska będzie miała wiele partii kłócących się z sobą. Miał rację. My, Polacy, nie możemy się pogodzić.

Moi wnukowie chodzili do szkół, które przyjęły imię Jana Nowaka-Jeziorańskiego. W szkole młodszego z wnuków uczniowie zbierali pieniądze na sztandar Nowaka-Jeziorańskiego. Odegrałam wtedy przedstawienie z moim ówczesnym kolegą Stanisławem Górką i pianistką Ireną Kluk-Drozdowską oparte na poezji Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego. Cały dochód z biletów poszedł na sztandar. Już w III RP w „mojej” wsi powstawało gimnazjum i liceum. Tam oddałam książkę z autografem pana Jana, który zdobyłam. Mam nadzieję, że ktoś sięgnie do tej ciekawej książki, ciekawego człowieka o jakże ciekawym życiorysie.

Dożyłam czasu, kiedy pokazuje się wielkich Polaków i mówi się o ich osiągnięciach oraz przywraca pamięć o nich. Oby młodzież w szkołach pamiętała ich imiona, nazwiska i pseudonimy. To oni swoją postawą doprowadzili do tego, że żyjemy w wolnej Polsce.

Rysuje **Jerzy Wasiukiewicz**



TRENDY I OWĘDY

Drink bezradność

Czasem do człowieka docierają wiadomości obezwładniające

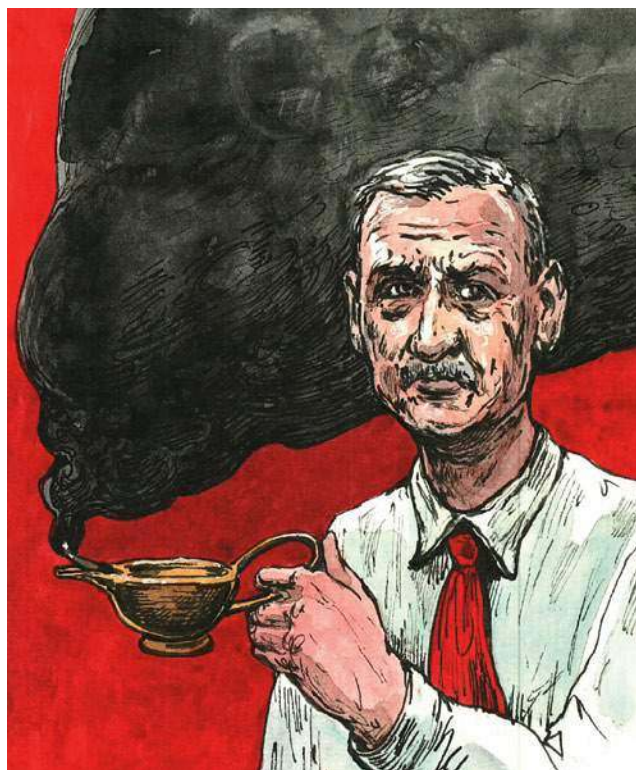
Znowu odżyła sprawa klubów go-go, gdzie żądni damskich uciech mężczyźni są w perfidny sposób okradani. Schemat jest prosty. Przekraczamy wrota erotycznego raję i rozanieleni zamawiamy piwo albo drinka, żeby nam się lepiej obserwowało wygibasy roznegliżowanych panienek. Jak zeznają poszkodowani, skład tych napojów musi być niezwykle interesujący. Po ich spożyciu tracą kontrolę nad rozsądną częścią swojego organizmu. Nagabywani udostępniają kartę płatniczą, podają PIN, a następnego dnia nie mogą się na swoim koncie dopatrzeć sporej kwoty. Rzekomo tak się dobrze bawili, że zaszaleli finansowo na całego.



Ryszard Makowski

Parę lat temu w takim klubie na Starym Rynku w Poznaniu wysoko postawiony pracownik jednej z firm stracił ze służbowej karty prawie milion złotych. Sąd stwierdził, że nie można przesądzić, że mężczyzna został oszukany. Teraz mówi się o zdecydowanie niższych kwotach, ale też znaczących. Prokuratura liczne zgłoszenia umarza, bo co ma biedna zrobić? Jest jednak element tego procederu, który mógłby być punktem zaczepienia. Drink!!! Poszkodowani twierdzą, że po spożyciu nawet jednego piwa praktycznie tracili film. Sprawa znana. To znaczy znana wszystkim poza tymi, którzy się powinni nią zająć. Żadnemu z naszych, za przeproszeniem, organów nie przyszło do głowy, żeby sprawdzić, co zawiera ten napój wysokowy, że katalizuje wyskakiwanie z forsy? To można w lokalu serwować klientom dowolne świństwo? Głupio pytam. U nas można.

Zawistowski prezentuje: **Oświata**



Wycinki z przeszłości

225 lat temu, 24 marca 1794 r., na Rynku Głównym w Krakowie naczelnik Tadeusz Kościuszko złożył uroczystą przysięgę, ogłaszając tym samym akt powstania narodowego, znanego w historii jako insurekcja kościuszkowska.

Stojąc przed czworobokiem żołnierzy, z uniesioną do góry szablą, wygłosił: „Ja, Tadeusz Kościuszko, przysięgam w obliczu Boga całemu Narodowi Polskiemu, iż powierzonej mi władzy na niczyj prywatny ucisk nie użyję, lecz jedynie jej dla obrony całości granic, odzyskania samodzielności Narodu i ugruntowania powszechnej wolności używać będę. Tak mi, Panie Boże, dopomóż i niewinna Męka Syna Twego”.

Do tego wydarzenia nawiązuje publikowana obok okładka „Płomyczek” z 1936 r. W środku numeru znajdujemy sztukę dla teatrzyków szkolnych autorstwa Anny Świerzyńskiej, a w niej piękne słowa przypisane Kościuszce: „Jam człek cichy, wziąłem władzę nie dla pychy, nie dla sławy – powiem śmieie na Ojczyźnie stoję czele. Tylko duszę radość pali, że chłop polski bił Moskali, że Głowacki Bartosz śmiało, na moskiewskie pobiegł działo”.

Insurekcja zakończyła się klęską, ale pamięć narodowa przechowuje do dziś wdzięczność za zryw, który zmył hańbę zdrady, jaka prowadziła do rozbiorów.

(mk)



Księdza Baki teatr grozy...

Urodzony w Mińsku, życie spędził na Wileńszczyźnie. Ksiądz jezuita. Przez wieki niemal dyżurne pośmiewisko w polskiej poezji. Symbol upadku z czasów saskich. Maniakalne rymotwórstwo, farsowa pedagogika, ustawiczne straszenie ogniem piekielnym. Ostatnie dziesięciolecie odkryły jednak w wierszach Baki prekursorskie walory nowoczesności – dziś jakże ceniony czarny humor, surrealizm, teatr okrucieństwa.



Leszek Długosz

X. Józef Baka (1707–1780), (muz. Leszek Długosz)
Przestroga damom

*Świetne damy świat was w ramy
Jeszcze w życiu, w dobrym byciu
Wyprawuje szacuje
Tak wzięte jak święte.*

*A śmierć ślepa jak szkulepa
Nic nie zważa, nie poważa
Chimera odziera, co złoto jej błoto
jej błoto.*

*Na fontaże Mars pokaże
Na fryzury głodne szczury
Gotuje pudruje
Świzną, zgnilizną.*

*Umysł hardy na kokardy
Fatów szpony, girydony
Tak szuby jak czuby
Zwlekają zdzierają.*

W lot kapturki podrą szczurki

*Tam bukiety i tupety
Salopy od ropy
Zbutwieją, struchleją.*

*Ej, boginie, wszystko zginie
Wasze imię w krótkiej stymie
Śmierć strzyże i krzyże
Manele rwie śmieie
Chimera odziera
Co złoto, jej błoto
Co złoto – jej błoto.*

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	69 zł	129 zł	229 zł
w SIECI HISTORII	21 zł	39 zł	75 zł
pakiet SIECI i w SIECI HISTORII	84 zł	158 zł	280 zł

*dane do przelewu na stopce redakcyjnej

Wolność nie jest abstrakcją. Istnieje tu i teraz. Albo jej nie ma. To znaczy jest – ale wyłącznie w pragnieniach.

ZNIKA, GDY NIE MA GRANIC

Wolność to swoboda w wybieraniu celów swego życia. I warunki, które umożliwiają osiąganie tych celów. Wolność to brak lęku, gdy te cele rozważasz, i spore szanse na sukces, gdy obrane cele już starasz się realizować.

Ale nie odniesiesz sukcesu, gdy będziesz chciał/a obierać cele bez żadnych ograniczeń. Gdy zechcesz zostać kosmitką, żabą, Napoleonem lub zbawcą naszej galaktyki – uznają cię za wariata. A więc wolność ma ograniczenia już w sferze wyboru.

Niemniej istotne są uwarunkowania, czytaj: ograniczenia w sferze realizacji. Gdy za cel wybierzesz sobie karierę w Hollywood, np. jako scenarzysta filmowych hitów, musisz (tak: *musisz*) opanować kod kulturowy, jaki w Hollywood funkcjonuje. A gdy chcesz w Los Angeles zamieszkać, musisz tam dolecieć, wynajmując mieszkanie i je opłacić.

To wszystko jest realne, realizowalne tylko wtedy, gdy działają liczne (niezliczone...) struktury społecznego, kulturowego świata. Gdy twoje pieniądze są twoje, gdy możesz kupić bilet lotniczy, gdy rezerwacja elektroniczna działa, gdy system bezpieczeństwa nie wpuści na pokład samolotu terrorysty.

Wszystko to opiera się na podstawowym fakcie społeczno-kulturowym – na przewidywalności ludzkich działań. Gdy nie potrafimy z dostatecznym przybliżeniem przewidywać działań innych ludzi, gdy te działania tracą swoją powtarzalność, wtedy pojawia się chaos. Wtedy nie możemy swoich celów realizować. Wtedy widzimy, że nasza zapisana w rozmaitych doktrynach i konstytucjach wolność jest pustym słowem.

LGBT PLUS... CHAOS

Wolność nie jest abstrakcją, wolność jest czymś, czym możemy się cieszyć tylko wtedy, gdy system społeczny względnie sprawnie działa.

Ludzie nie są przewidywalni, nie działają powtarzalnie z samej swojej zwierzęcej natury. Są tacy, gdyż zostali poddani procesowi tego, co nazywa się socjalizacją. Zostali uspołecz-

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Sprzeciw socjologiczny

*Program LGBT+ oznacza dalsze
osłabianie tego filaru społecznego ładu,
społecznej przewidywalności, którym
jest tradycyjna rodzina*



nieni. Nauczani empatii, współodpowiedzialności za innych; w tym rezygnowania ze swoich pragnień wtedy, gdy wiązałyby się to z krzywdą innych. Oczywiście nie działa to stuprocentowo, ale działa na tyle, że żyjąc *obok* siebie, możemy się cieszyć swoimi indywidualnymi – gdy muzyka dociera do nas przez słuchawki wepchnięte w ucho – albo wspólnymi strefami wolności – na koncercie.

Socjalizacja polega na tym, że ludzie są kulturowo *programowani* jako istoty przewidywalne. Jest tak dzięki temu, że podlegamy oddziaływaniu takich podstawowych instytucji

jak rodzina, szkoła (z programem kontrolowanym przez państwo), religia, wspólnota sąsiedzka.

Dziś powszechnie wiadomo, że wszystkie wymienione w powyższym akapicie instytucje przeżywają kryzys. Jeśli kryzys ten się pogłębi, instytucje te utracą zdolność programowania ludzi w stopniu minimalnie niezbędnym do tego, byśmy zachowywali wzajemną przewidywalność.

Wtedy wolność się skurczy. Przyjdzie chaos. A z nim przyzwolenie, ba, oczekiwanie na przemoc jako na koło ratunkowe, które chaos okiełzna.

PRZECIW – Z POWODÓW SOCJOLOGICZNYCH

Powyższy wywód to nasza perspektywa socjologiczna, za pomocą której patrzymy na projekt LGBT+. Jesteśmy przeciw tej ideologii z dwóch głównych powodów.

Po pierwsze, realizacja wizji aktywistów LGBT+ oznacza dalsze zwiększenie i tak nadmiarowej już złożoności społecznych procesów społecznych, które cywilizację Zachodu zbliżają do krawędzi chaosu.

Po drugie, program LGBT+ oznacza dalsze osłabianie tego filaru społecznego ładu, społecznej przewidywalności, którym jest tradycyjna rodzina. To ona daje oparcie w nadmiernie dynamicznym świecie.

Nasze socjologiczne rozumowanie jest takie: jeśli obszar wolności, z jakiej w demokratycznych społeczeństwach Zachodu środowiska nieheteronormatywne już korzystają, dalej miałby być poszerzany, to pod znakiem zapytania może stać przestrzeń demokratycznej wolności w ogóle.

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Już 1 kwietnia

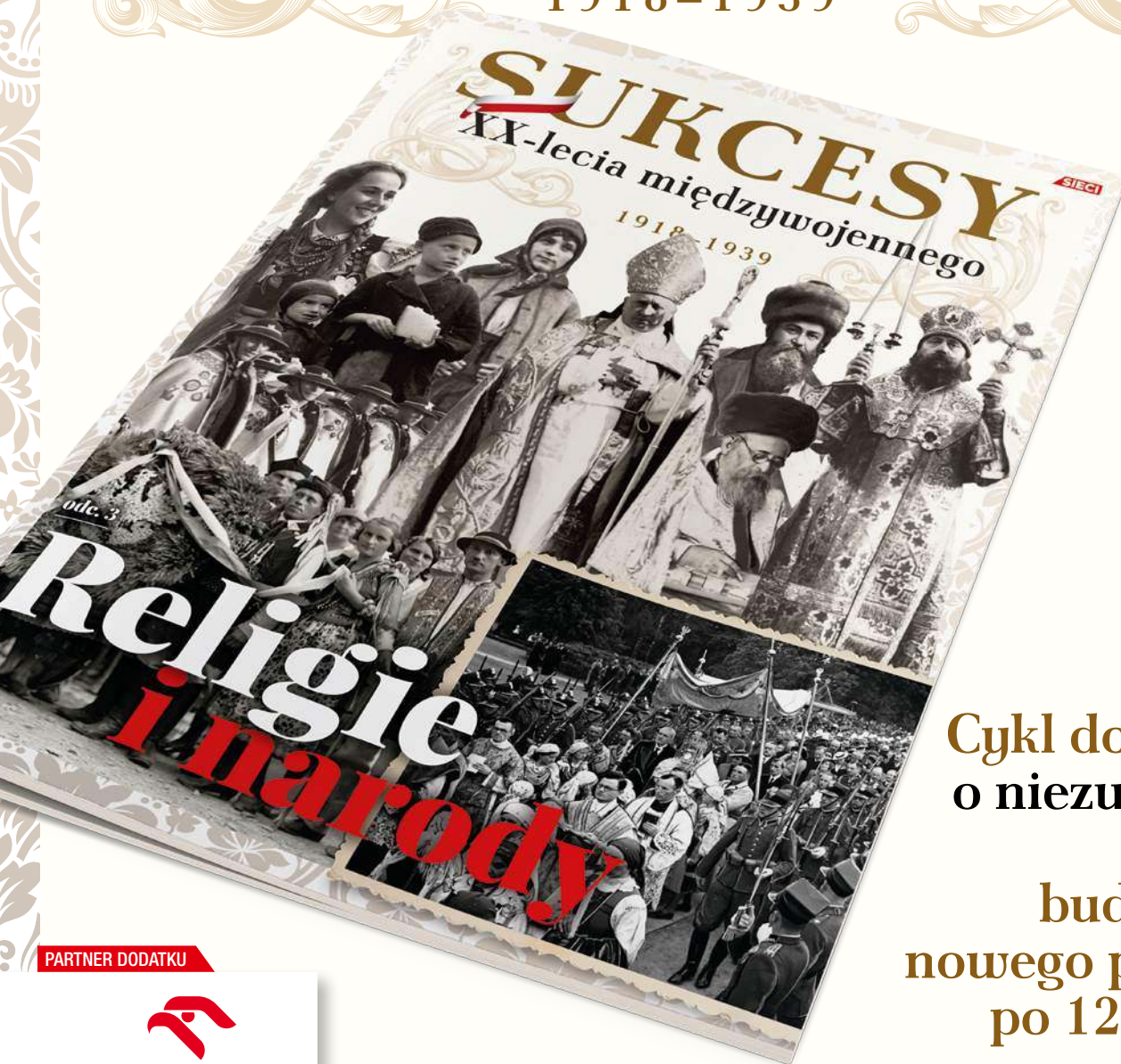
SIECI

i raz w miesiącu
do końca roku

SUKCESY

XX-lecia międzywojennego

1918–1939



Cykl dodatków
o niezwykłych
czasach
budowania
nowego państwa
po 123 latach
zaborów

PARTNER DODATKU



ORLEN



**DRAPIEŻNIKU
DRAP
I WYGRYWAJ**



DRAPIEŻNICY KOCHAJĄ

